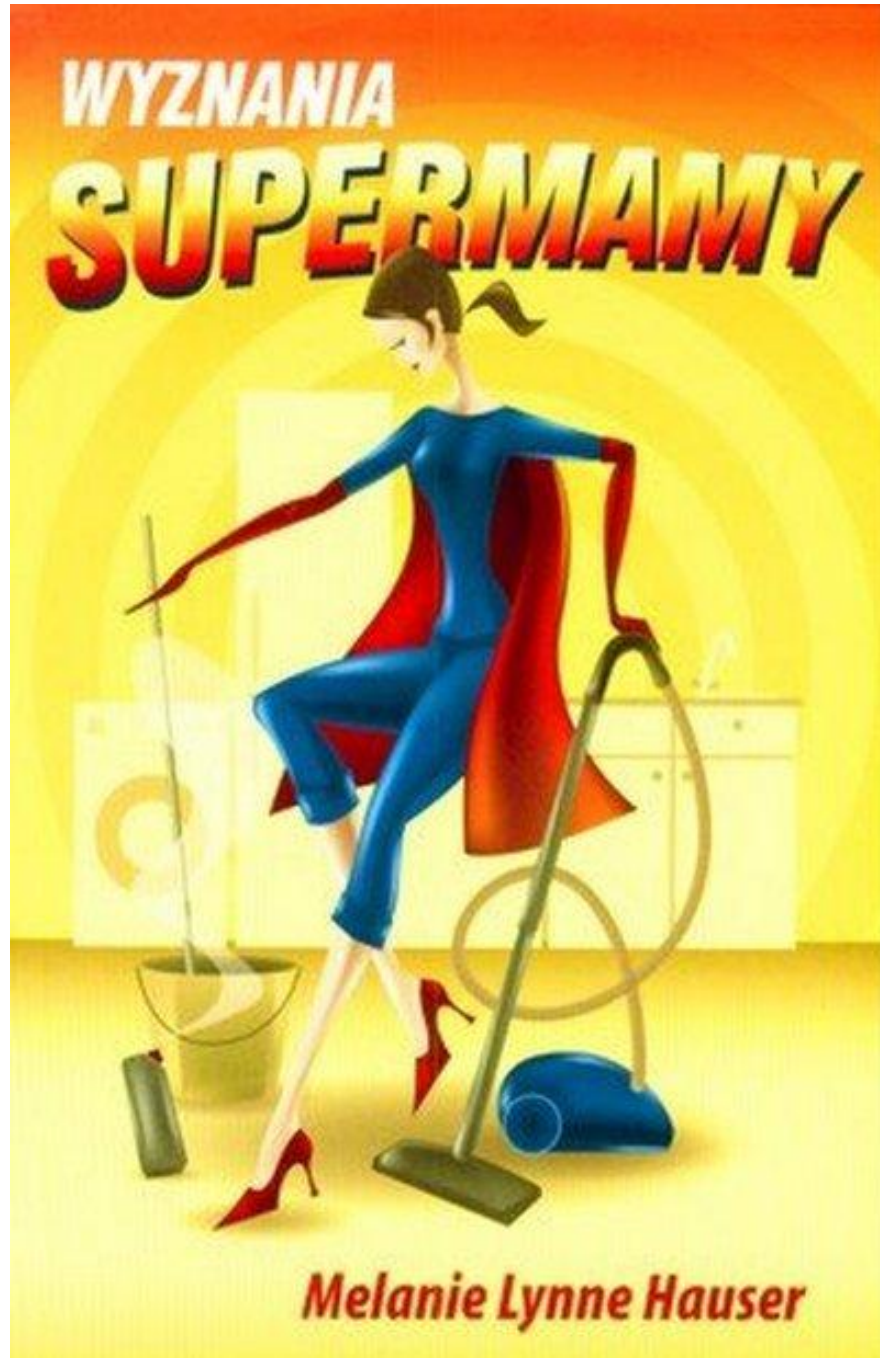




Melanie Lynne Hauser

Wyznania Supermamy



Dla Dennisa, Aleca i Bena, którzy nauczyli mnie fruwać

TLR

Rozdział 1

Każdy superbohater skądś się wywodzi.

Tak twierdzi Martin, a ponieważ jest trzynastoletnim mołem książkowym (zresztą dość niskim jak na swój wiek), jestem skłonna mu wierzyć.

Okej, więc proszę, za chwilę po raz pierwszy ujawnię...

Pochodzenie Supermamy. (To ja).

Prawdę mówiąc, prawda jest nieco zenująca. Nie zostałam wsadzona do rakiety i wysłana na Ziemię przez rodziców tuż przed eksplozją mojej rodzinnej planety. Obcy nie wpadli z wizytą i nie sprezentowali mi specjalnego pierścienia. Nie zostałam ugryziona przez radioaktywnego pająka.

Nie, nie wydarzyło się nic choćby w przybliżeniu równie efektownego, moje początki są raczej skromne. Ja zaledwie padłam ofiarą Straszego Wypadku ze Swifferem.

Wszystko zaczęło się w pogodny słoneczny wtorkowy poranek. Z miejsca zauważycie, że nie pasuje to do początków działalności żadnego innego superbohatera, a przynajmniej tak twierdzi Martin. Większość wydarzeń związanych z pojawieniem się superbohatera następuje w nocy, zwykle w laboratorium albo ciemnej uliczce. I niemal w każdym wypadku towarzyszą im jakieś dramatyczne okoliczności.

Ale nie. Moja historia zaczęła się w zwykły dzień tygodnia, rano, w czasie przerwy na reklamy w programie Today. Na podłodze mojej łazienki.

Był normalny szkolny dzień. Kelly i Martin snuli się po kuchni jak zombie, a ja deptałam im po piętach, przygotowując kanapki z masłem orzechowym, podpisując kartki z pozwoleniami na różne rzeczy i zapędzając dzieciaki do wyjścia, by zdążyły na autobus. Potem padłam na kanapę z drugą filiżanką kawy i załapałam się na kilka minut z Katie i Mattem".

To właśnie moja ulubiona pora dnia. Jedyna, kiedy mam parę chwil dla siebie, mogę po prostu się odprężyć i pozwolić myślom powędrować w strony, których już nikt nie chce ze mną odwiedzać. Czasami pozwalam sobie na zerknięcie w przyszłość, ale ostatnio, jako że dzieci rosną i dojrzewają, wyprawiam się w przeszłość — gdy moje dzieci były małe, łagodne i idealne, kiedy sięgałam w dół, nie w górę, żeby wygładzić kosmyk dziecięcych włosów.

W poranek moich narodzin usiadłam na kanapie i popijałam kawę, oglądając telewizję. Traf chciał, że Katie Couric^{**} przeprowadzała wywiad z Adamem Westem na temat jakiegoś beznadziejnego filmu o powrocie do czasów Batmana. Chichotałam przy wszystkich fragmentach starego filmu — bo wiecie, Adam West nigdy nie wyglądał dobrze w trykocie, nawet w latach sześćdziesiątych. Cierpiał na poważną przypadłość — męskie cycki.

I zanim zdążyłam się zorientować, podążałam ścieżką wspomnień, pełnym szczelin i dziur chodnikiem przed naszym dawnym domem. Biegłam za Martinem, który gonił Kelly. Miał na sobie swój „strój” Batmana — pelerynę, którą zrobiłam ze starej powłoczki. Wtedy nosił ją bez przerwy, spałby w niej nawet, gdyby nie moje przekonanie, że mógłby się udusić. Był taki słodki w tej pelerynie, taki odważny i pełen powagi.

W myślach goniłam tym chodnikiem Kelly i Martina. Ale dokąd wszyscy biegliśmy? Do lodziarza? Uciekaliśmy przed jakimś okropnym potworem? Byliśmy spóźnieni? Mieliśmy za dużo czasu? Czy po prostu dobrze się bawiliśmy? Nawet biegnąc za nimi we wspomnieniach, tak realnych, że widziałam wyblakłą kratkę na tej powłoczce i czułam zapach świeżego asfaltu ulicy, żałowałam, że nie pamiętam. Czasami wydaje mi się to takie smutne, fragmenty ich dzieciństwa, o których zapomniałam. Czasami patrzę na nich teraz — dużych i ponurych, ukrywających się niezdarnie za maskami okresu dojrzewania — i nie potrafię sobie przypomnieć, jak wyglądali, kiedy byli moimi maluszkami.

Ale otrząsnęłam się z zamyślenia, pociągnęłam kolejny łyk kawy i skupiłam się na telewizji, chichocząc, kiedy bardzo stary i bardzo brzuchaty Adam West próbował wcisnąć się do batmobilu. Zdaje się, że utknął, bo w tym momencie zrobili przerwę na reklamy. Potem zadzwonił telefon; była to kobieta z telesprzedaży i trochę sobie pożartowałam, mówiąc z płaczem, że właśnie zmarł mój mąż

^{**} Katie Couric, Matt Houston — prezenterzy porannego programu w NBC (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

i szykuję się do wyjścia na jego pogrzeb, więc to nie najlepszy moment na rozmowę o obniżeniu oprocentowania. I nagle moja ulubiona pora dnia dobiegła końca. Równie przelotna, równie krucha jak dzieciństwo.

A więc do pracy. Wstawiłam filiżankę po kawie do zmywarki, po raz ostatni przetałam blaty i poszłam na górę do łazienki. I tam stanęłam oko w oko z Plamą Nieznanego Pochodzenia.

Znajdowała się na środku podłogi, w połowie na dywaniku. Była fioletowo-brązowa. I obrzydliwa.

Na czworakach, z nosem przy ziemi węszyłam niczym pies myśliwski.

— Hmmm — mruknęłam, badając ją i cmokając jak zawodowiec, którym w istocie byłam. — Nie amoniak. Ani sól. Może coś węglowodanowego z odrobiną czerwonego barwnika numer dwa? Zdecydowanie nie maść na hemoroidy.

Wciąż pozostawało wiele możliwości, ponieważ to jedyna łazienka w domu i wszyscy musimy z niej korzystać. Odhaczyłam standardowych podejrzanych: błyszczak, wazelinę, farbę do włosów, lakier do paznokci, płyn do płukania ust, oranżadę, mleko czekoladowe, podkład, eyeliner, farbę modelarską, rozpuszczone kredki, długopis, który wylał, skamieniały batonik, krew. W końcu chwyciłam gąbkę i usiłowałam usunąć plamę zwykłą pocziwą wodą. Optymistyczne podejście, wiem. Ale trzeba próbować.

I nic. Zabrałam więc łazienkowy dywanik na dół i wrzuciłam do pralki, a potem chwyciłam swojego wiernego swiffera i wróciłam do linoleum.

Muszę dodać, że uważam swiffera za największy wynalazek w historii współczesnego sprzątania, razem ze ściereczkami do kurzu i wilgotnymi chusteczkami do wycierania toalety, które można wrzucać do muszli. Mam specjalną szafę wypchaną wszystkimi ulubionymi przyborami i swiffer zajmuje w niej honorowe miejsce, tuż obok lekkiej składanej drabinki.

Zbadałam plamę ze wszystkich stron, ustawiłam wiernego swiffera we właściwej pozycji, odciągnęłam dźwignię i wystrzeliłam silny strumień płynu czyszczącego. Trafił dokładnie w środek plamy i wtedy przejechałam po niej swifferem — delikatnie, acz energicznie. Cofnęłam się o krok, żeby zbadać swoje dzieło.

Plama wciąż trwała na miejscu.

Zmarszczyłam brwi. Psiknęłam trzema długimi strumieniami płynu, przejechałam swifferem nieco silniej i z większym wigorem, ponownie spojrzałam.

Plama wciąż tam była. Nawet nie zbladła. Właściwie to nawet pociemniała i bardziej się rozlała.

Ponownie uklękłam, wężąc, analizując. Zdecydowanie nie podkład ani oranżada czy kredki. Farba by zbladła. Krew... nie wyglądało mi to na krew. Ale tak na wszelki wypadek...

Pobiegłam po butelkę wybielacza i gąbką nałożyłam go na plamę. Żadnej poprawy.

W tym momencie czułam się jak nawiedzona. Nigdy wcześniej nie pokonała mnie żadna plama i nie zamierzałam pozwolić się wywinąć właśnie tej.

Podreptałam do szafy i zgarnęłam wszystkie posiadane środki: pine-sol, przemysłowy windex, ten nowy pomarańczowy płyn, który kupiłam w telesprzedaży, do tego staroświecki borox i clorox, a nawet mydło lava. Psikałam, tarłam, wycierałam i nasączałam — plama nawet nie zbladła. Szybko stało się oczywiste, że potrafi znieść każdy z moich środków. Oczywiście było także, że jeśli się nie pospieszę i czegoś nie zrobię, spóźnię się do pracy.

Oczywiście, przynajmniej dla mnie, nie było to, że zapomniałam włączyć wentylację.

Miałam ostatnią szansę na usunięcie tej nikczemnej, podłej plamy. Byłam zła, spocona, oszołomiona i spóźniona. Zrobiłam więc coś, czego nie robiłam nigdy wcześniej. Coś, o czym tylko szeptano na spotkaniach Stowarzyszenia Rodziców albo w odosobnionych częściach spożywczaka — to była jedna z tych „miejskich legend”. X

Nie miałam pojęcia, że sama zaraz stanę się legendą. A potem wydarzyło się właśnie TO. Tak zaistniałam. Stąd wzięła się moja superbohaterskość.

Wlałam wszystko — cały wybielacz, pinesol, borox, clorox i nawet przemysłowe mydło — do pojemnika swiffera. Potem wycelowałam, nacisnęłam spust i wpakowałam w plamę nie wiadomo ile strzyknięć. Nie przerywałam pryskania, palec mi drętwiał, aż plama wreszcie osłabła, ledwie zipała, ale trwała. Tarłam i tarłam swifferem, aż moje ramiona zaczęły żyć własnym życiem, zakręciło mi się w głowie i pomieszczenie zniknęło za mgłą. I nagle kwiaty na tapecie ożyły.

Zeskoczyły ze ściany, chwyciły się za płatki i otaczając mnie, zaczęły śpiewać *Stoi różyczka w czerwonym wieńcu*. Krzyknęłam i upuściłam swiffera, wdychając lotną ostrą smugę najsilniejszego znanego dotychczas ludzkości środka czyszczącego...

A potem zemdlałam.

Nie wiem, czy długo tam leżałam, chociaż pamiętam, jak myślałam, że powinnam wyczyścić spód toalety szczoteczką do zębów, gdyż z mojej perspektywy — na plecach — wyglądał trochę obskurnie.

Nie mogłam się jednak poruszyć, nie potrafiłam zmusić ciała, by działało jak należy. Przez chwilę czy dwie próbowałam. Wysyłałam pełne determinacji wiadomości do nóg, ramion, głowy, przynaglając je, by mnie poruszyły, ale odmówiły przykute po podłogi niewidzialnymi łańcuchami.

I nadal miałam halucynacje. Pogrążyłam się w obrazach i myślach: były tam stokrotki z tapety, wciąż tańczące i śpiewające, Adam West ze swoimi cyckami przemknął z rykiem w batmobilu, roześmiał się, a potem zatrzymał, żeby porozumiewawczo puścić do mnie oko, nawet plama, która teraz wyglądała jak unosząca się na niebie wielka meduza, tańczyła i kręciła biodrami. Powietrze było ciężkie od chemikaliów — sosnowy zapach, pomarańcza, wybielacz i amoniak — sapałam i dyszałam, aż wreszcie się poddałam i pozwoliłam oparom zaatakować płuca.

Następnie kwiaty zmieniły melodię, ich cienkie głosiki zaczęły *Dzielnego młodzieńca* na trapezie, piosenkę, którą śpiewałam Martinowi i Kelly, kiedy byli mali. Mknie w powietrzu z największą łatwością, ten młodzieniec na trapezie... i ja też leciałam — biegłam znajomym chodnikiem, goniąc Martina i Kelly, peleryna Martina powiewała za nim, tak samo mysie ogonki Kelly. Chodnik ciągnął się w nieskończoność i w miarę jak biegliśmy, stawał się coraz szerszy, a dzieci chichotały, gdy krzyczałam, żeby uważały i rozejrzały się w obie strony przed przejściem przez ulicę! Trzymajcie się za ręce, jeżeli idziecie do parku! Czy ktoś musi iść do łazienki? A one wciąż się śmiały i uciekały, goniłam je z wyciągniętymi ramionami, uważając, by je złapać, jeśli się przewrócą. Stawały się coraz większe i większe, przestały się śmiać, po prostu biegły dalej, aż wreszcie Martinowi spadła peleryna i uderzyła mnie prosto w twarz, tak że już ich nie widziałam. Nie widziałam, czy wszystko z nimi w porządku. Nie widziałam, dokąd biegły, i spadałam, spadałam — spadałam z trapezu. Wyciągnęły się do mnie ręce

dzielnego młodzieńca. Próbowałam je chwycić, ale zmienił się w Martina i Kelly. Sięgaliśmy ku sobie i... i...

— Mamo?

Twardo wylądowałam na podłodze łazienki. Próbowałam usiąść, ale uderzyłam głową w muszlę i znów upadłam do tyłu.

— Boże! Mamo? Nic ci nie jest? Mamo?

Otworzyłam oczy i zamrugałam. Nade mną ukazała się twarz Kelly, tak biała, że małe piegi na jej nosie odbijały się jak cętki na miedzianym pensie. Oczy miała ogromne, wyglądała, jakby zaraz miała się rozplakać.

— Kochanie? Kochanie... och, ochhhh. — Znów spróbowałam usiąść, ale głowa mi pulsowała.

— Martin! Nic jej nie jest! Martin! — Kelly krzyknęła mi w ucho.

— Cśśś — szepnęłam, siląc się na dziarski uśmiech. — Po prostu pomóż mi wstać, dobrze?

Wsunęła pode mnie rękę i pomogła mi stanąć na nogach, tak delikatnie, że na moment musiałam się zatrzymać i zagapić, zastanawiając się, kim była i co zrobiła z moją piętnastoletnią córką.

— Mamo? — Wbiegł Martin. Wycierał oczy rękawem i wyglądał tak dziecinnie i niepewnie, że chciałam go uściskać. Ale nie mogłam; ciało mnie bolało i pulsowało, wydawało się jakieś obce. Przez chwilę nie byłam pewna, czy pamiętam, jak się używa nóg.

— Która godzina, kochanie? Czemu tak wczesnie wróciłaś? Dlaczego nie jesteś w szkole?

— Jest czwarta trzydzieści — odparła Kelly.

— Co? — Nogi się pode mną rozjechały. — Czwarta trzydzieści? Jasna cho...! Nie poszłam do pracy! Straciłam cały dzień! Co się stało?

— Kiedy wróciliśmy do domu ze szkoły, byłaś nieprzytomna.

— No. Byłaś przykryta wszystkimi ręcznikami, pustymi butelkami i takimi różnymi. Co się stało, mamó? Zaszalałaś ze sprzątaniami? — Martin próbował się roześmiać, ale miał strach w oczach.

— Nie wiem... ja tylko... zaraz... ta plama! Czy plama wciąż tu jest? — Próbowałam się odwrócić, ale Kelly i Martin dalej holowali mnie w kierunku sypialni.

— Mamó, musisz się położyć — nalegała Kelly. — Czy trzeba zadzwonić po lekarza?

— Nie będę się kłaskać. Przecież leżałam przez cały dzień. O rany. Muszę zadzwonić do pracy. Zabiją mnie... daj mi telefon.

— Zaczekaj parę minut. Opary były dosyć mocne. Na pewno nic ci nie jest?

— Bo wiesz, te chemikalia potrafią naprawdę zmieniać fale mózgowie. Miałaś odjazd? — Martin okazywał zbyt duże zainteresowanie tą kwestią.

— Czy miałam co?

— No wiesz. Odjazd. Bo wiesz, wciągnęłaś tonę chemii, rozumiesz. I co widziałaś? Gadające świnię? Tęcze? Robale?

— Tańczące kwiaty — odparłam, opadając na łóżko.

— Tańczące kwiaty? Super! I co jeszcze?

— Adama Westa w batmobilu. Ciebie w tej starej pelerynie, którą miałeś, kiedy byłeś malutki, pamiętasz? Kelly miała mysie ogonki. I... i wielką meduzę.

— Rany! Ale super! Batmana? Poważnie? A ta meduza mówiła?

— Martin... — Kelly złożyła ręce na piersiach i pokręciła głową

Mama najwyraźniej doznała poważnego urazu głowy. Mam za— aptiar zadzwonić do taty.

— Nie! — O mało nie spadłam z łóżka. — Nie. Kelly, kochanie, nie uważam, że musimy dzwonić do waszego ojca. Nic mi nie jest, naprawdę. Po prostu trochę mi się zakręciło w głowie od tych wszystkich oparów i pewnie zemdlałam. Ale już się dobrze czuję. Naprawdę. W porządku. — Zmusiłam się do przywołania na twarz szerokiego kojącego uśmiechu mamy i skinęłam głową. Ale nie czułam

się dobrze. Kończyny i stawy miałam sztywne i ciężkie, w głowie mi dudniło, bolały bębunki w uszach. I miałam wrażenie, że krew gotuje mi się w żyłach, takie gorąco czułam pod skórą.

Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałam, była wizyta mojego eks, doktora Dana. Wolałam już wyobrazić sobie Adama Westa w beznadziejnym kostiumie.

— Uważam, że znakomicie sobie poradzimy, kochanie. Ale czy mogłabyś zrobić mi herbatę? I może grzanekę?

Córka zawahała się, stojąc w drzwiach, twarz miała dziecinną i bladą i w pamięci mignęła mi jej dawna dziecięca twarzyczka, zawsze taka poważna, z zaciśniętymi ustami i uroczystą miną, z szeroko otwartymi nieufnymi szarymi oczyma.

— Nic mi nie jest, kochanie. Naprawdę. Wypiję herbatkę, zjem grzanekę i znów będę sobą. Nie martw się.

— No dobra — mruknęła w końcu, odwracając się, żeby odejść. — Martin, nie zwracaj mamie głowy.

— Co za jęzda. — Martin podrapał się po nosie.

— Po prostu się martwi. Wiesz, co się z nią dzieje, kiedy się boi.

— Jasne. Rządzi się i jest wredna. Tak samo jak wtedy, kiedy się nie boi. Chcesz jeszcze jedną poduszkę? — Wepchnął mi pod plecy dodatkową, podpierając kręgosłup w taki sposób, że cały był powyginany, co, delikatnie mówiąc, nie wpłynęło dobrze na mój ból głowy. Ale wiecie co? Kompletnie mi to nie przeszkadzało.

Kiedy ktoś się o ciebie troszczy, robi się tak błogo. A kiedy jesteś matką — samotną matką — nie zdarza się to często. Chciałam tylko opaść na poduszki i poddać się trosce moich dzieci, pozwolić, żeby wykończyły mnie swoją dobrocią. Dosłownie — Martin wepchnął mi pod plecy następną poduszkę, tak że walnęłam głową w zagłówek.

— Uff! Dzięki, kochanie. Hej, mógłbyś mi przynieść kilka aspiryn i szklanek wody? — Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie, że wyleguję się w łóżku cały wieczór, kolacja zjawia się na srebrnej tacy, dzieci ocierają mi usta lnianą serwetką.

— Dobra, mammo! — Martin zerwał się z łóżka, rozrzucając poduszki i znów narażając moje plecy na szarpnięcie. Ale i tak się uśmiechnęłam, wiedząc, że przynajmniej w tej chwili moje dzieci o mnie pamiętały. Kochały mnie.

Umościłam się pod kocem i czekałam na herbatę, grzanekę oraz aspirynę. Czekałam i czekałam, i czekałam... Hałasy w kuchni. Ryk radia, pisk mikrofalówki, szcęk talerzy i garnków. Teraz dzwonił telefon, a moje dzieci krzyczały...

— Doskonale wiem, jak się robi w mikrofalówce ciasto z proszku, panno Mądralińska!

— Jasne, tylko najpierw musisz to włożyć do miski, durniu.

— Phi!

— Ładnie się wyrażasz, Einsteinie!

Westchnęłam. Odrzuciłam koc i potykając się, wyszłam na korytarz, zatrzymując się na szczycie schodów.

— Zaraz zejść — wychrypiałam. — Zjedzcie coś pożywne! — Ale nikt mi nie odpowiedział.

— Mną się nie przejmujcie — burknęłam. Pociągając nosem, i szurając nogami powlokłam się do łazienki. — Zostawcie mnie całkiem samą tu górze, osłabłą od toksycznych wyziewów. Mogę upaść, uderzyć się głową i mieć wylew, ale to nic nie szkodzi. Po prostu wystawcie moje zwłoki razem ze śmieciami, jeżeli nie dożyję do rana.

Otworzyłam szafkę z lekarstwami i wzięłam kilka aspiryn, a potem zagapiłam się w lustro. Oczy miałam przekrwione, twarz bladą i wielkie fioletowe półksiężycy pod oczyma.

— Boże — wzdrygnęłam się, odwracając wzrok od widoku w lustrze. Czterdziestojednoletnia kobieta raczej nie wygląda najlepiej po dniu spędzonym na leżeniu plackiem na podłodze w łazience.

Nagle potknęłam się o pustą butelkę: ten nowy pomarańczowy środek z telezakupów. Schyliłam się, żeby go podnieść i przeczytałam etykietę: UWAGA!

MOCNO STEŻONY. ROZCIĘNCZAĆ WODĄ. NIE MIESZAĆ Z INNYMI ŚRODKAMI, SZCZEGÓLNICIE WYBIELACZAMI.

— Na to już za późno — wymamrotałam. A potem wpadło mi w oko coś innego.

Ta plama. Podła nikczemna plama. Wciąż tam była. Szczyrzyła do mnie zęby w uśmiechu. Kpiła ze mnie.

Nie mogłam się opanować, opadłam na kolana i sięgnęłam po puste opakowanie boroksu.

Ale zanim udało mi się je chwycić, zaczęła mnie palić prawa ręka. Zdrętwiała i wskazała dokładnie na plamę, coś mokrego, gorącego i ziarnistego wystrzeliło z koniuszków moich palców, a potem ta prawa ręka znalazła się nad plamą i zaczęła ją szorować w takim tempie, że tylko migiała. Usiłowałam się powstrzymać, lewą dłonią chwyciłam prawą, ale ona nie przerywała szorowania, szorowała, w równych odstępach strzelając strugami płynu. Pomyślałam, że pewnie krwawię czy coś takiego, usiłowałam krzyknąć, ale nie wydobyłam z siebie żadnego dźwięku.

I nagle wszystko ustało. Moja prawa ręka wisiała bezwładnie przy boku. Potrząsnęłam nią i wydawała się w porządku, zgięłam palce, ale nie zauważyłam krwi.

No i nie zauważyłam też czegoś jeszcze. Plamy. Zniknęła. Prawdę mówiąc, cała podłoga była tak wypolerowana, że od jej blasku bolały oczy.

Jakoś się podniosłam. Spojrzałam na podłogę. Spojrzałam na swoją rękę. Uniosłam końce palców do nosa i powąchałam. Były lekko wilgotne i pachniały pomarańczą, wybielaczem i amoniakiem... i swifferem.

Jeszcze raz potrząsnęłam dłonią i na palcu wskazującym zalśniła kropla, przejrzysta niebieskawa kropla płynu. Kiedy wytarłam palec o koszulkę, materiał nagle pojaśniał i stał się sztywny jak nowy.

— Dzieci? — zdołałam wyszeptać, usta miałam suche i spękane. — Jest tu kto?

Nikt nie odpowiedział. Tylko podłoga łazienki wydawała się słuchać. Zalśniła w moim kierunku uśmiechem.

Potykaçąc się, wycofałam się do korytarza. Bałam się obejrzeć. Potem wpełzłam do łóżka i naciągnęłam kołdrę na głowę. Wiele godzin później, kiedy Martin i Kelly w końcu sobie przypomnieli, że trzeba do mnie zajrzeć, mruknęłam coś i udawałam, że śpię. Ale nie spałam. Badawczo przyglądałam się wnętrzu swoich dłoni. Było szorstkie, z maleńkimi wybrzuszeniami i rowkami, chropowate, ale delikatne.

Dokładnie jak spód mojego swiffera.

— Więc uderzyłaś głową w muszlę? Powiedz mi jeszcze raz, jakim sposobem w ogóle znalazłaś się na podłodze? — Carrie oparła się o swoją kasę.

— Nie włączyłam wentylacji, więc pewnie zemdlalam przez te opary. — Wtarłam w dłonie kolejną porcję kremu.

— Co się z tobą dzieje? Od przyjścia zużyłaś już pół butelki tego kremu, Birdie!

(No dobrze, teraz nadchodzi moment, w którym muszę ujawnić swoją sekretną tożsamość. W prawdziwym życiu jestem znana jako Birdie Lee, łagodna kasjerka w Marvel — znakomite przekąski i napoje. To krótsza wersja lady Bird Lee. Moja matka, w przeciwieństwie do wszystkich młodych kobiet we wczesnych latach sześćdziesiątych, nie znosiła Jackie Kennedy. „Jest taką snobką — mawiała mama, pociągając nosem. — Tak się pyszni swoimi strojami projektowanymi przez znanych projektantów. A weźmy lady Bird Johnsop, To prawdziwa osoba. Ktoś, kogo można by zaprosić na kawę i — zatem, w przeciwieństwie do reszty żeńskiej populacji urodzona w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim, dostałam imię po zwykłej tęgiej lady Bird, a nie wysokiej zachwycającej Jacqueline. Okazało się to przygnębiająco prorocze).

— Nie wiem — zmarszczyłam brwi, patrząc na swoje szorstkie dłonie — chyba mam wysypkę czy coś takiego. Może to od chemii?

— Trzeba było od razu pójść do lekarza. — Carrie odwróciła się, żeby przywitać klientkę. — Te chemikalia naprawdę mogą pomieszać w głowie. — Zaczęła nabijać na kasę ceny kolejnych produktów. Podeszłam do niej, żeby je pakować.

— Tak, wiem. Zostałam poinformowana przez mojego syna. — Nie opowiedziałam jej o tym momencie, kiedy moja ręka zmieniła się w maszynę czyszczą-

cą. Uznałam, że musiało mi się to przyśnić, pewnie należało to tego całego „odjazdu”.

Carrie podliczała, ja pakowałam. Jesteśmy zgrane i tworzymy niezły zespół. (A jednak nie pozwalamy, żeby Monty, to znaczy szef, zgłaszał nas do tych beznadziejnych konkursów szybkiego pakowania, o których czytuje się w lokalnej prasie. Mamy w końcu jakąś godność).

— O rany. I znów Patriotyczne Lizaki. — Sięgnęłam do pudełka. — Proszę nie zapomnieć o darmowej zabawce. Chce pani Teddy'ego Twardziela czy Waszyngtona Rzeźnika?

— Nie macie Lincolnatorów? — Klientka, pani Banks, schludna pulchna kobieta, której zawsze zależało na papierowych torbach zamiast plastiku, wyciągnęła szyję, by zajrzeć do pudełka. — To ulubieniec mojego syna.

Pokręciłam głową.

— Ulubieniec wszystkich. Skończył się w zeszłym tygodniu.

— No to... — Pani Banks przejrzała pudło pełne pluszowych zabawek wyobrażających postaci z najnowszej gry wideo, która podbiła Astro Park, Amerykańskiej sprawiedliwości. — Cały czas gra w tę grę. I po prostu uwielbia Patriotyczne Lizaki.

— Sto procent rafinowanego cukru w kształcie miniaturowych amerykańskich flag. Boże błogosław Amerykę. — Carrie westchnęła. — Chrissie też je uwielbia.

— Ale są produkcji Nowego Kosmosu. — Pani Banks wyciągnęła rękę i wszystkie trzy jednocześnie wyjrzałyśmy przez okno. Tam, po przeciwnej stronie ulicy, tkwił największy spośród klejnotów w korporacyjnej koronie Astro Parku w stanie Kansas: zakłady Nowy Kosmos. Ten dawniej niewielki zakład przetwórstwa cukierniczego przeszedł pozorną przemianę i w mgnieniu oka stał się symbolem amerykańskiej pomysłowości. Na rozległym terenie stało mnóstwo skrzących się budynków otoczonych pieczołowicie utrzymanym terenem zielonym, pociętym wijącymi się jak wstążki ścieżkami, a wszystko to dla tłumów szczęśliwych obywateli Astro Parku, świeżo zatrudnionych przy produkcji śmieciowego żarcia o patriotycznych konotacjach. Oranżady Wolności do zamrażania, czekoladowo-waniliowych Demokratycznych Dropsów, makaronowo-

ryżowej Betsy Ross w kubkach, żelkowych Flag Starej Gwardii, by wymienić choć parę. I wszędobylskich Patriotycznych Lizaków, które trafiły obecnie do promocyjnej sprzedaży związanej z grą wideo Amerykańska sprawiedliwość.

— Jestem dumna, że wspieram lokalną firmę. — Pani Banks promieniała. — I mój Frank jest taki szczęśliwy, że należy do „braci”.

— „Braci”? — Carrie uniosła brew.

— No wiesz. Tak teraz nazywają pracowników — wyjaśniłam.

— Słowo „pracownik” brzmi tak chłodno i korporacyjnie, a Nowy Kosmos to po prostu jedna wielka szczęśliwa rodzina! — Pani Banks pokiwała głową.

Spojrzałam w górę na główny budynek. Siedem pięter lśniącego szkła pod ładnie wygiętymi dachami i facjatkami. W dziennym świetle wyglądał jak narysowany kredkami zamek, do którego Kopciuszek pojechał w bal. Ale w nocy... Wzdrygnęłam się. Ilekroć wychodziłam z pracy wieczorem, zawsze świeciło się w dwóch oknach na szóstym piętrze. Światła przypominały oczy i mogłabym przysiąc, że śledziły mnie przez całą drogę do domu. Nawet teraz, kiedy o nich pomyślałam, zjeżyły mi się włoski na karku. Znow się wzdrygnęłam. A potem zapakowałam jakiegoś hamburgera do dwóch toreb.

— Carrie? Te marchewki źle weszły.

— Co?

— Nabiła ci się zła cena marchewek. Jest obniżka, czterdzieści dziewięć centów za funt. A weszły za siedemdziesiąt pięć centów.

— Skąd wiesz? Mój wyświetlacz nie działa. — Carrie zagapiła się na mnie. Podobnie pani Banks.

— Nie wiem. Po prostu... no wiesz, po prostu wiedziałam. Skaner zapiszczał jakoś inaczej. — Przerwałam pakowanie i zmarszczyłam brwi. Rzeczywiście zabrzmiał jakoś niewłaściwie, tylko nie potrafiłam wyjaśnić jak.

— Skaner zabrzmiał niewłaściwie? A jak on brzmi? Zawsze piszczy tak samo. Dobrze się czujesz?

— Tak, w porządku. Nieważne. Sama nie wiem, co mówię.

— Hm, zabawne. — Carrie jeszcze raz przeskanowała marchewki i sprawdziła wydruk z kasy. — Miałaś rację. Wyszło z błędem.

Wzruszyłam ramionami i dalej pakowałam. Carrie wróciła do skanowania.

— Te banany są po dwadzieścia dziewięć centów za sztukę. Zaznaczyłaś je jako zdrową żywność, a są zwykłe. — Włożyłam do wózka worek ze żwirkiem dla kota.

— Nie zaznaczyłam, a poza tym, skąd mogłabyś wiedzieć?

— Proszę sprawdzić — odezwała się pani Banks. Carrie rzuciła mi gniewne spojrzenie, ale spojrzała na paragon.

— O Boże. Przepraszam. — Zaczęła szarpać kosmyki grzywki jak zawsze w chwilach zdenerwowania. — Birdie, skąd wiedziałaś, że źle wcisnęłam?

— Powiedziałam ci, dźwięk był niewłaściwy. — Lekko potrząsnęłam głową, usiłując pozbyć się z uszu tego śmiesznego naglącego bzyczenia, którego wcześniej nie zauważyłam. Potem wróciłam do swojej kasy i wtarłam w ręce kolejną porcję kremu, a następnie chwyciłam najnowszy numer „National Enquirer”. (Czytam ten brukowiec tylko od czasu do czasu, bo leży tuż obok mojego stanowiska i czasami mi się nudzi, jasne?).

Carrie milczała, kończąc podliczać zakupy pani Banks. Potem wyłączyła światelko przy kasie i dołączyła do mnie.

— Hej, zobacz! — Pokazałam jej nagłówek. — „Rybak z Karoliny znajduje żywego Mojżesza w wieku niemowlęcym”. Popatrz! Rzeczywiście wygląda jak dziecko w koszyku, prawda?

— To lalka.

— Nieee. Prawdziwe dziecko, chociaż ta broda wygląda trochę sztucznie.

— Co się z tobą dzieje? Skąd mogłaś wiedzieć, że skaner He działa? Na pewno dobrze się czujesz?

— Tak, wszystko w porządku. Rany! Po prostu miałam wczoraj drobny wypadek i tyle. O, patrz! „Superman istnieje! Wynajmuje mieszkanie nad moim garażem — twierdzi Edna Mortar z Gainesville na Florydzie”. „To zboczenie! On

i to jego rentgenowskie spojrzenie — irytuje się babcia dwojga wnucząt". Zobacz, Carrie! Spójrz na to zdjęcie.

— Birdie! — Carrie wyjęła mi gazetę z ręki. — Przestań! Twoje dłonie wyglądają jak szmatki do szorowania. Na czole masz guza wielkości New Hampshire. Słyszysz odczyty skanera! Musisz iść do domu. Teraz. To polecenie.

— Carrie, nie mogę. Nie mogę sobie pozwolić na dwa wolne dni.

— Nic mnie to nie obchodzi. Mówię ci, że masz teraz...

— Proszę pani?

Chłopiec przebierał w batonikach na stojaku przy mojej kasie. Ciekło mu z nosa.

— Co takiego?

— Proszę pani, gdzie są te największe batony Hershey?

— Jadłeś już dzisiaj obiad?

— Co? — Podniósł wzrok i wytarł nos rękawem.

— Nie rób tego. Użyj chusteczki. — Opuścił rękę wzdłuż ciała. — Zjadłeś dzisiaj obiad?

— T... tak...

— Naprawdę? — Pochyliłam się w jego stronę, widząc błysk wahania w jego oczach.

— Tak? — Zaczęła mu drzeć dolna warga.

— Kłamiesz, młody człowieku — huknęłam z siłą, która wprawiła moją kasę w drzenie. — Nie jadłeś jeszcze obiadu, a twoja mama powiedziała, że nie możesz zjeść tego batonika przed obiadem. A teraz idź na warzywa po jabłko i poszukaj swojej mamy. Jest przy półkach z płatkami i cię szuka. Powinieneś się wstydzić, przez ciebie się martwi!

Wybuchnął łzami i uciekł.

Carrie szarpnęła grzywkę, a potem sięgnęła ręką i wyłączyła mój znak przy kasie.

— No dobra. — Wzięła mnie pod ramię, delikatnie, jakby się bała, że mogę się złamać. — Idziesz teraz do domu. Nie wiem, co się przed chwilą stało, ale śmiertelnie wystraszyłaś tego chłopca i pewnie nas pozwa, więc musisz pójść do domu.

— Ale Carrie, daj spokój, chyba widziałaś, że kłamał? Jakie dziecko potrzebuje wielkiego batona o wpół do jedenastej rano?

— Może kłamał, może nie. Ale ty napędziłaś mu niezłego stracha i ta kobieta, która maszeruje w naszą stronę, to pewnie jego matka. No idź. Wynoś się stąd. Ja się tym zajmę.

— Ale ktoś musiał mu powiedzieć, że nie zje potem obiadu.

— Idź! — Carrie mnie popchnęła, a ja podreptałam na nogach tak sztywnych, jakby w ogóle się nie zginały. Czułam się cała obolała i potłuczona, jakbym dopiero wypróbowywała nowe ciało. Światła były zbyt jaskrawe dla moich nowych oczu, dźwięki — stuknięcia puszek o metalowe wózki, stukanie obcasów o kafle — zbyt ostre dla moich wrażliwych uszu.

I wtedy to się stało. Szłam obok alejki z sokami i zobaczyłam, co się dzieje: mała dziewczynka sięgnęła po sok jabłkowy, butelka przechyliła się na półce, a potem wyslizgnęła z dziecięcego uchwytu, spadając na tę małą. Następnie zobaczyłam siebie. Zagarnęłam dziewczynkę i przekazałam matce, zanim butelka uderzyła dziecko. Ale nie zanim spadła na podłogę. Roztrzaskała się, bryzgi soku i kawałki szkła pokryły podłogę i półki.

I nim ktokolwiek zdążył się ruszyć, zanim ktokolwiek zdążył mrugnąć, bałagan zniknął. Dziewczynka i jej matka spojrzały na mnie. Ja patrzyłam na swoją prawą rękę, wciąż lepką od soku jabłkowego i tego płynu o mocnym zapachu z poprzedniego wieczoru. Bolały mnie mięśnie prawego ramienia. Ale podłoga lśniła, nowa i błyszcząca.

— Nic jej nie jest? — zapytałam matkę. Pokręciła głową, usta miała otwarte, mrugała. — Świetnie. — Trzęsłam się z nadmiaru adrenaliny, gotowa, napalona na to, żeby jeszcze coś wyczyścić. Sięgnęłam w stronę dziewczynki i drżącym palcem wskazującym usunęłam z jej koszulki ciemnoczerwony plamę, chyba po lizaku wiśniowym.

Przypatrywałyśmy się sobie, dziewczynka i ja. Patrzyłam jej w oczy, zajrzałam w duszę i zobaczyłam... Wszystko. Wszystko. Mapę jej życia — dzień, kiedy spadła ze stołka w kuchni i ukru— szyła sobie mleczny ząb z przodu, stary postrzępiony dziecinny kocyk, z którym wciąż spała; miał wytarty róg, bo co noc ścisnęła go w dłoni.

— Nie rób tego więcej — powiedziałam. Jej oczy, wielkie niebieskie i przeżone, wpatrywały się we mnie nieruchomo. — Pamiętasz ten słoik z ciastkami, który stłukłaś w zeszłym tygodniu? Musisz przestać sama po wszystko sięgać. Proś mamę o pomoc. I przestań wrzucać klocki lego swojego brata do ubikacji. — Kiwnęła głową, a ja przez chwilę czułam zadowolenie, że postąpi, jak jej kazałam. Przez chwilę czułam się najpotężniejszą matką we wszechświecie, a to było moje dziecko. Wszystkie dzieci były moje.

Ale potem spojrzałam na siebie oczyma tej matki: zwariowana kasjerka, której coś chlusnęło z ręki, bełkoce o klockach lego i ubikacjach. Cofnęłam się, gdy przyciskała dziewczynkę do siebie, i pobiegłam, pędem minęłam Carrie, Monty'ego i wściekłą matkę z płaczącym chłopcem, który między jednym szlochem a drugim wpychał sobie do buzi kawałki czekoladowego batona. Ale kiedy dotarłam do drzwi, zatrzymałam się i spojrzałam za siebie. Nie mogłam się opanować. Zaczęłam chichotać, kipiała we mnie strach i podniecenie — i poczucie władzy.

-Ja właśnie... właśnie... och, na litość boską!

— Co? Co się stało, Birdie? — Carrie szarpnęła grzywkę.

— Och, nigdy nie uwierzysz, ale... — Spojrzałam na swoje dziwne ręce, dziwne, przerażające i pełne mocy. Skóra swędziała mnie i piekła po szybkim rzucie adrenaliny. Przyłgnał do mnie mocny zapach pomarańczy, wybielacza, amoniaku i swiffera, wypełniając pory. Potem popatrzyłam na przyjaciółkę, która nie potrafiła robić tego, co ja właśnie zrobiłam. I nie wiem, której z nas było mi bardziej żal.

— Ale Carrie... Carrie... — Łzy napłynęły mi do oczu, szloch zmieszał się z chichotem przerywanym czkawką.

Odwróciłam się i uciekałam, moje białe tenisówki tworzyły rozmazaną smugę, piekące ręce miałam wyciągnięte przed siebie, jakbym chciała dać się unieść tajemniczemu prądowi, który pomoże mi zniknąć.

— Zdaje się, że właśnie urządziłam cholernie dobre sprzątanie w alejce czwartej! — powiedziałam do siebie.

A potem odjechałam swoim powgniatanym minivanem. I mogłabym przysiąc, że przez całą drogę do domu czułam, jak śledzą mnie te oczy z Nowego Kosmosu.

TLR

Rozdział 2

Od tamtej pory oczywiście przeredagowałam niesławną kwestię na „Sprzątanie w alejce czwartej” i wybrałam jako swój okrzyk. Martin zwrócił mi uwagę, że każdy superbohater ma okrzyk — „Shazam!” (Kapitan Marvel). „Up, up and away!” (Superman). „Do jaskini!” (Batman). „Wielka Hero!” (Wonder Woman).

Mój okrzyk stanowi część legendy, bo on właśnie znajduje się na drugim miejscu po pochodzeniu. Zdaje się, że niektórzy używają słowa „saga”. Nie jestem pewna. Czuję się trochę zmieszana, odkąd stałam się tematem... no, legendy. Dzięki Bogu, że mam Martina, który nad tym wszystkim panuje.

Ale w tamtej chwili nie myślałam o potomności i swoim miejscu w panteonie superbohaterów. Gnając z pracy do domu, wiedziałam tylko, że muszę się tam dostać i wezwać lekarza, ponieważ dzieje się ze mną coś bardzo złego. I zabrałam się do tego. Chcę przez to powiedzieć, że naprawdę chwyciłam słuchawkę i wykręciłam numer, ale kiedy czekałam na połączenie, stchórzyłam. Co miałam powiedzieć? Że potrafię przerazić małe dzieci jednym spojrzeniem? Że wyciekają ze mnie płyny? Że potrafię naprawdę znakomicie sprzątać?

Robiłam te wszystkie rzeczy, w tej czy innej formie, od lat. Prawda? Nagle jakoś nie mogłam sobie przypomnieć, co było normalne, a co nie. I bałam się, że ktoś miałby podjąć tę decyzję za mnie.

Dlatego nie zadzwoniłam do lekarza. Zamiast tego wypiłam kieliszek wina. Potem się zdrzemnęłam i kiedy dzieci wróciły do domu, często się uśmiechałam, rozmawiałam z nimi czystym dźwięcznym głosem, a one zamknęły oczy i uszy na moją olśniewającą osobowość.

Innymi słowy, był to typowy wieczór. A potem poszłam na spotkanie Stowarzyszenia Przyjaciół Dzieci. Życie, jak to się mówi, toczy się dalej. Nawet kiedy człowiek dochodzi do siebie po Strasznym Wypadku ze Swifferem.

— Co ty tu robisz? — Carrie zamrugła na mój widok zza okularów, kiedy spotkałyśmy się w głównym korytarzu Gimnazjum i Liceum Jerome'a Siegela.

— A jak myślisz? — Poklepałam ją po głowie. Uwielbiam to robić, ponieważ Carrie to jedyna osoba na świecie, dzięki której ja — tęga niska Birdie — mogę poczuć się wysoka. Carrie jest naprawdę malutka, o kruchych kosteczkach i delikatnych rysach ptaszka, ja jestem zaledwie niska.

— Co myślę? — Odtrąciła moją rękę. — Myślę, że powinnaś być w domu, w łóżku.

— Nie mogę. Jestem sekretarzem, pamiętasz?

— I co z tego? Więc dla odmiany nikt by nie protokołował. Kogo to obchodzi?

— Panią przewodniczącą, jakbyś nie wiedziała.

— Witam, moje panie.

Odwróciłyśmy się i ujrzałyśmy naszą nieustraszoną liderkę, odwieczną przewodniczącą SPD, Patty Osborne. Miała na sobie kostium, na twarzy perfekcyjną maskę z matowego podkładu. I jak zwykle, skonfrontowana z jej oczywistą nieskazitelnością, obciągnęłam swoją za dużą koszulkę, poprawiłam džinsy i poczułam, że na nosie zaczynają mi błyszczeć krople potu.

— Cześć, Patty — wymamrotałam, szurając po podłodze nogami w brudnych tenisówkach.

— Birdie, masz ze sobą magnetofon? I kopie protokołów z zeszłego miesiąca?

— Tak, Patty. Oczywiście. Zawsze je mam.

— Cóż, lepiej zapytać, prawda? Szczególnie kiedy chodzi o ciebie, moja droga. A poza tym starania nigdy za wiele! - Nagle dołączył do niej jej równie olśniewający mąż Lex. Tworzyli wizerunek tak doskonałego rodzicielstwa, że skreślił mi się żołądek. Lex z wprawą objął Patty, jakby pozowali do jednego ze swoich licznych zdjęć reklamowych (plotka głosiła, że zatrudniali profesjonalną firmę do zbierania wycinków): państwo SPD pod jemiolą na dorocznym przyjęciu gwiazdkowym; państwo Nowy Kosmos wręczający ubogim indyki na Święto Dziękczynienia. Lex i Patty jakimś sposobem przekształcili upodobanie do pieczenia ciasteczek w kształcie flagi w przynoszącą miliardowe zyski korporację, którą właśnie nominowano do zamieszczanej przez „Fortune” listy pięciu-

set najbogatszych w kraju. (Jakoś nie mogłam tego pojąć, bo wcześniej nikt nie kupował ich ciastek. Na festynach SPD większą popularnością cieszyła się nawet sałatka z kaszy i curry Marge Miller). A teraz ten nieudolny cukiernik został szefem fabryki Nowy Kosmos, wspaniałym wzorowym obywatelem, przewodniczącym Izby Handlowej, oddanym członkiem SPD — i ojcem nowego chłopaka mojej córki.

— O, witaj Birdie. Jak się miewa twoja czarująca córka? Minał już cały dzień, odkąd wpadła zobaczyć się z Harrym. — Lex zachichotał i dobrodusznie uszczypnął mnie w ramię.

— Ha-ha. A to dobre. — Roztarłam rękę, mnie to uszczypnięcie wcale nie wydało się zabawne. — Mam nadzieję, że się wam nie naprzykrza.

— Ależ oczywiście, że nie. Przepadamy za twoją dziewczynką, wiesz przecież. Jest uprzejma i urocza, ma taki dobry wpływ na Harry'ego.

— Niesamowite, jaka wspaniała dziewczyna z niej wyrosła, zważywszy na okoliczności, prawda? — Patty uśmiechnęła się mocno zaciśniętymi wargami.

— A co to ma znaczyć?— zjeżyła się Carrie.

— Nic. Zupełnie nic. Chodź, kochanie, musimy ustawić krzesła. — Patty skłębła na Leksa, oddalając się korytarzem, jej wysokie obcasy stuknęły na wypastowanej podłodze.

— Kto się ubiera w Chanel na spotkanie stowarzyszenia? Daj spokój. I czemu jej pozwalasz tak się traktować, Birdie?

— Jak?

— Właśnie tak! Jak zawsze. Odkąd, no wesz...

— Tak, wiem.

— Birdie, mówiłam ci tyle razy. To nie była twoja wina, że cała druga klasa, do której chodził twój syn, doznała wstrząsu i musieli następnego dnia wezwać specjalnych terapeutów. Byłaś ofiarą. Winę ponosi ta szacowna gnida, twój były mąż, doktor Dan. — Powietrze wokół nóg Carrie dosłownie furkotało, coraz szybciej i szybciej, gdy ogarniała ją coraz większa złość.

— No wiem — wydyszałam, usiłując dotrzymać jej kroku. — Ale niektórzy najwyraźniej wciąż uważają, że byłam za to odpowiedzialna.

— To dlatego, że im na to pozwalasz. — Carrie skinęła głową zadowolona z własnej diagnozy. Wróciła do szkoły, żeby zdobyć dyplom z psychologii, chociaż Howard, jej mąż, groził, że się wyprowadzi do czasu, aż Carrie znajdzie prawdziwych pacjentów. Piwo i tacos, do których jedzenia zmuszała go przed pójściem do łóżka, by miał dziwaczne sny, dobry materiał do analizy, przyprawiły go o wrzody.

— Wcale im nie pozwalałam!

— Owszem, Birdie. Cierpisz z powodu niskiej samooceny. I poważnego kompleksu męczennicy. Niektórzy traktują cię, jakbyś była wycieraczką, a ty po prostu im na to pozwalasz.

— Niektórzy ludzie to kompletni durnie — poinformował nas ciepły ironiczny męski głos. Obie z Carrie aż podskoczyłyśmy z zaskoczenia.

— Cześć, Carl — odezwała się Carrie tym dźwięcznym głosem, którego używa za każdym razem, gdy przypadkiem oboje się spotkamy: Carl Sayers, jedyny samotny ojciec w Stowarzyszeniu Przyjaciół Dzieci w okręgu Hawthorne, Birdie Lee, jedyna samotna matka w jak wyżej.

Carrie spojrzała na niego, a potem na mnie, przez twarz przebiegł jej delikatny uśmiech, po czym spojrzała na zegarek.

— Ojej — powiedziała, a jej twarz prezentowała wyraz zaskoczenia jak z kreskówki. — Muszę lecieć. Mam sprawy do załatwienia. Spotkamy się na miejscu! — I popędziła korytarzem.

— Carrie, zaczekaj... — Zrobiłam krok za nią, potem się zatrzymałam. Uśmiechnęłam się do Carla, który zrewanżował się uśmiechem. — Eee... cześć. Ładny wieczór.

— Tak, łaciny wieczór. Mogę ci to ponieść? — Wskazał na moją torbę z wizerunkiem Zielonego Olbrzyma reklamującego warzywa firmy Green Giant.

— Och, nie. Ale dzięki. Dam radę. — Poprawiłam torbę na ramieniu i ruszyłam w stronę kafeterii.

-Jaki jest plan na dzisiaj? — Carl dopasował tempo marszu do moich kroków. Usiłowałam nie myśleć o tym, jak łatwo się to nam udało.

— Och, to co zwykle. Sprzedaż wypieków, lista książek niedozwolonych w bibliotece. „Dziesięć najlepszych wskazówek wychowawczych dla rodziców nastolatków” autorstwa Patty.

— Cudownie — jęknął Carl. — Słuchaj, myślisz, że jest już za późno, żeby się stąd wymknąć i pójść dokądś na drinka?

— Ha-ha. A to zabawne! Wymknąć się! Jakbym mogła! — Twarz mnie paliła, za to żołądek zmienił się w kulę lodu, a mózg rozboleł, gdy usiłowałam się zorientować, czy aby właśnie nie mam do czynienia z flirtem.

— Pewnie masz rację. — Carl wepchnął ręce do kieszeni i zaczął pogwizdywać: Zerknęłam na niego, ale nie zdołałam dostrzec niczego poza zwykłym przyjacielskim wyrazem twarzy: czoło zmarszczone, ale kąciki ust uniesione w zakłopotanym uśmiechu. Zawsze wyglądał, jakby usiłował wymyślić puentę do dowcipu.

— A, eee, jak tam w pracy? W laboratorium? — zapytałam.

— Och, no wiesz. Nic nowego. Izopropyl i węglan wapnia z testami beta, a do tego parę laboratoryjnych myszy.

— Jasne... myszy...

— Co, nie obchodzi cię wpływ promieniowania ultrafioletowego na chemiczne składniki pigmentów w barwnikach? — Carl stanął i zmarszczył brwi, ale w brązowych oczach miał isierki.

— No, ja... nigdy nie byłam dobra z chemii.

— Nie szkodzi, ja też nie. I właśnie dlatego jestem jednym z wielu naukowców w firmie farmaceutycznej. Hej, widziałaś najnowsze dzieło Martina?

— Najnowsze?

— Komiks? Dla szkolnej gazetki? Całkiem niezły, powinnaś go przeczytać. — Carl był sponsorem klubu rysunkowego, do którego należał Martin. Razem z synem Carla Gregiem i zbieraniną innych niskich chłopców o nieskoordynowanych ruchach. Martin mocno zaangażował się w przygody Rapsta Gangsta, zwal-

czającego przestępczość rapera, którego zaprzysięgłym wrogiem był dyrektor pewnego gimnazjum, niepozwalający na odgrywanie piosenek bohatera na szkolnych imprezach.

— Och. Nie, jeszcze nie widziałam. Zawsze dowiadujemy się ostatni, prawda? — Wzruszyłam ramionami i pasek torby zsunął mi się z ramienia.

— Zawsze! — Carl uśmiechnął się i sięgnął, żeby przesunąć pasek na miejsce. Jego ręka, ciepła, silna i bardzo męska, zatrzymała się na moim ramieniu ułamek sekundy dłużej, niż to było konieczne. A może tak mi się tylko wydawało, kiedy stałam nieruchomo, obawiając się ruszyć, bojąc się podnieść wzrok albo spojrzeć w dół czy gdziekolwiek indziej niż na skrawek podłogi przede mną, przemysłowe niebieskie linoleum ze złotymi i srebrnymi plamkami. I w tym ułamku sekundy byłam świadoma tylko tego. Obecności linoleum. I ciepłej spokojnej obecności męskiej dłoni na moim ramieniu, ciepłego oddechu, mocnych mięśni.

— Hej! Wracaj tu! Daj mi to! — Dwaj chłopcy z łomotem gnali korytarzem w naszą stronę, ten z przodu trzymał wysoko nad głową plecak. — Kutas — sapął mniejszy chłopiec z tyłu. — Potrzebuję go! Mam jutro test!

— To masz przechlapane — zapał większy z przodu. -1 co chcesz zrobić, znowu pójdiesz się wyplakać do dyrektora?

Ogarnęła mnie gorąca fala złości. Poczułam, że zwężają mi się oczy, nozdrza drżą, a prawa ręka sztywnieje. Nagle chłopiec biegnący przodem poślizgnął się, przez chwilę jechał jak na łyżwach, podrzucił plecak do góry i ciężko wylądował na tyłku. — Co jest, do cholery? — Do oczu napłynęły mu łzy, gdy tak siedział na podłodze w kałuży...

Środka czyszczącego. Zagapiłam się na swoją rękę, krople płynu wciąż jeszcze zwisały mi z czubków palców. Podłogę pokrywał gęsty antybakteryjny środek czyszczący. Powietrze wypełniał zapach pomarańczy, chloroksu i swiffera.

— Ochhhh... oooo... nic się wam nie stało? — wyjąkałam.

Chłopcy nie odpowiedzieli. Mniejszy chwycił swój plecak. Zaczęłam się cofać.

— O-o, muszę już lecieć!

— Co takiego? — Carl schylił się, że podnieść chłopca z podłogi.

— Ja... eee... o rany!

— Dobrze się czujesz, Birdie?

— Tak, w porządku, po prostu muszę... tak mi przykro... muszę... pa!

Carl zaczął coś mówić, ale nie mogłam czekać, żeby go wysłuchać. Odwróciłam się i pobiegałam korytarzem, zostawiając za sobą smugę płynu do czyszczenia. Biegłam przez korytarze, ślepe zaułki i klatki schodowe, sprawdzając kolejne drzwi, ale wszystkie były zamknięte. Wreszcie znalazłam toaletę i wpadłam do środka — tylko po to, by stanąć oko w oko z brudem, plugastwem i niedopałkami papierosów w ilości, jakiej w życiu nie widziałam. Moje świerzbiące ramię wystrzeliło w przód, z końców palców popłynęły kolejne fale płynu do czyszczenia i było to takie przyjemne uczucie — och, jakie przyjemne. Szorowałam, czyściłam i wreszcie padłam na podłogę zaspokojona, wyczerpana. Przerażona.

Co się ze mną działo, do licha? Co ja takiego zrobiłam? Zamknęłam oczy, bo raziło mnie fluorescencyjne światło i poczułam, jak pomieszczenie wiruje. Potrząsałam prawą ręką, potrząsałam tak mocno, że mogłaby się urwać, ale w tym momencie powitałabym to z zadowoleniem. Lepiej mieć jedną rękę niż tę dziwną pryskającą czymś rzecz, która przyczepiła się do mojego ciała i nie chciała zniknąć.

— Odczep się! — Potrząsnęłam ręką i walnęłam nią o podłogę, przytrzymałam nad umywalką i próbowałam zmyć gorącą wodą, i to wiedząc, że poparzę sobie skórę. Ale nie. Dźgałam, dźgałam swoją gąbczastą dłoń i nic nie czułam. Niczego nie zdołałam poczuć. No i wybuchnęłam płaczem.

Po chwili potarłam oczy prawą ręką — tylko po to, żeby zaszlochać, bo poczułam coś jakby dźgnięcie rozpalonego pogrzebacza. Potykając się, podeszłam do umywalki i ochlapywałam zimną wodą piekące, łzawiące oczy, dopóki nie zmieniły się niemal w kostki lodu. Potem klapnęłam na podłogę, zbyt wyczerpana, zbyt przestraszona, żeby się ruszyć. Nie wiedziałam, co mogłoby ponownie wprowadzić moją rękę w ruch, a gdyby znów do tego doszło, chyba bym umarła.

I rzeczywiście zapragnęłam śmierci. Po prostu chciałam rozplynać się i zniknąć, przestać być zużytą, trzęsącą się masą dziwnego płynu. Z nerwowym skurczem żołądka uświadomiłam sobie, że właśnie zmoczyłam się na oczach

Carla Sayersa. Podciągnęłam kolana do piersi. Czułam się taka naga i wystawiona na widok publiczny jak w czasach, kiedy karmiłam piersią i mleko ciekło mi w niespodziewanych momentach. Wtedy cały czas się ze mnie sączyło, niekontrolowane i nie do ukrycia. Dokładnie jak teraz.

— Wspaniale — wyszeptałam. — Po prostu wspaniale. Jestem chodzącym pojemnikiem mydła w płynie. Chociaż ten łobuz zasługiwał, żeby wylądować na tyłku. — Siedziałam długo na podłodze łazienki, zastanawiając się, czy mogłabym zostać tam na całą noc. Być może dzieci wcale by nie zauważyły mojej nieobecności. Carrie też nie. Carl...

Zacząłam się zastanawiać, czy on by zauważył.

— Więc mu powiedziałam, słuchaj no pan, jeżeli pan sądzisz, że coś takiego może panu ujść na sucho... — Na korytarzu zabrzmiał kobiecy głos.

Ktoś szedł w kierunku łazienki. Wyprostowałam się i spojrzałam w lustro: czarne smugi pod zapłakanymi brązowymi oczyma, grzywka skrecona od potu, ciemniejsza z tego powodu niż mój zwykły mysi brąz. Próbowałam się ogarnąć, ale gdy prostowałam kołnierzyk brązowej sztruksowej koszuli, zdałam sobie sprawę, że nie istnieje najmniejsza nawet możliwość, aby Carl Sayers flirtował z taką tłustą, brązową, rozlazłą i cieknącą osobą jak ja.

Westchnęłam i poprawiłam torbę na ramieniu. Wychodząc, minęłam dwie kobiety zmierzające do łazienki.

— Och... popatrz tylko. — Usłyszałam głos jednej z nich. — Zobacz, jaka ta łazienka jest czysta!

— To pewnie nowy dozorca — odparła druga. — Czujesz zapach swiffera?

Wstrzymując oddech, na palcach ruszyłam w kierunku kafeterii. Carla i chłopców nie było. Zajęłam miejsce obok Carrie i włączyłam magnetofon. Patty właśnie miała walnąć młotkiem na rozpoczęcie.

— Birdie — wyszeptała Carrie.

— Co?

— Dobrze się czujesz? Wyglądasz trochę blado.

— W porządku.

— Jak poszło?

— Co jak poszło?

— Carl. Ty. Wiesz, że się w tobie podkochuje, Birdie. Od niepamiętnych czasów.

— Jasne, jasne. Cóż, wątpię, czy nadal... jeżeli kiedykolwiek. W co też nie wierzę. — Odwróciłam się, żeby zobaczyć, gdzie siedzi — przy stole po przeciwnej stronie sali.

— Birdie. Ile czasu minęło?

— Odkąd?

— No... wiesz:

— Od wypadku? Od czasu, kiedy cała druga klasa musiała przejść terapię? Od mojego rozwodu?

— Tak. Od tamtej pory.

— Nie wiem. Trochę. Parę lat.

— Cztery lata — poprawiła mnie Carrie.

— Sześć lat, sześć miesięcy, dwa tygodnie i trzy dni. — Tym razem ja poprawiłam ją. — A teraz cicho. Patty na nas patrzy.

— Upierdliwa suka. — Carrie skrzywiła się. Zachichotałam, czując ulgę, że jestem z przyjaciółką, że mogę śmiać się z kogoś tak głupiego jak Patty Osborne. Czułam się znów prawie normalnie. Ale usiadłam na swojej dziwacznej prawej ręce, tak na wszelki wypadek.

— A więc — Patty walnęła w stół drewnianym młotkiem — skoro zakończyliśmy już temat luster do makijażu z naturalnym oświetleniem w łazienkach dla dziewcząt i z przykrością stwierdzam, że po prostu nie mamy na nie środków w tegorocznym budżecie, przejdźmy do wyjątkowej nowej sprawy: gier wideo.

— O Jezu. — Carrie jęknęła.

— A zatem. Można uznać, że kwestia ta, jako taka, nie wchodzi w zakres kompetencji SPD. Jednakże trzeba robić, co w naszej mocy, więc biorąc pod uwagę wszystkie te okropne, moralnie podejrzane gry, kiedy trafia się na porząd-

na, uczciwą, patriotyczną grę, należy działać. Chciałabym więc przedyskutować uznanie *Amerykańskiej sprawiedliwości* za oficjalną grę wideo Stowarzyszenia Przyjaciół Dzieci okręgu Hawthorne.

— Co? — Carrie niemal zerwała się z miejsca.

— To coś w rodzaju oficjalnej certyfikacji przydatności. Wiem, że dyskutowaliśmy już wcześniej nad uznaniem pewnych gier za zabronione...

— Co jest faszystowskie i niezgodne z konstytucją — wykrzyknęła Carrie.

— No cóż, owszem. Niestety. — Patty zmarszczyła brwi. — Zatem czemu nie, zamiast zabraniać? Ta gra jest niezwykle kształcąca.

— Wolne żarty! — Carrie zaczęła się krzywić.

— Twórcy gry, kreując jej bohaterów, inspirowali się prawdziwymi postaciami historycznymi. Bohaterowie ci walczą z terrorystami w różnych zakątkach Ameryki, wiele ucząc dzieci o ich dziedzictwie. Nie wspominając o geografii. Chciałabym więc złożyć wniosek o rozważenie aprobaty SPD.

— Do tego do każdej gry dostaje się darmowe kupony na Patriotyczne Lizaki — zgłosiła swoje poparcie Mary Deton, która siedziała obok Carla. — Zgadzam się z panią przewodniczącą. Powinniśmy wspierać lokalny przemysł. A poza tym wszystkie dzieciaki i tak w nią grają, prawda? Wiem, że mój Jeffrey po prostu ją uwielbia.

— Jordan też — dorzuciła Marge Miller. — Odkąd ją dostał, nie może się od niej oderwać.

— Tak samo Miranda! — przyłączył się Terry Glass. Wszyscy rodzice w sali kiwali głowami i szeptali. Wszyscy oprócz Carla. On patrzył przed siebie ze zmarszczonymi brwiami.

— Cóż, oczywiście gdyby ktoś z państwa czytał moją broszurę „Dziesięć najlepszych wskazówek wychowawczych dla rodziców nastolatków autorstwa milionerów, którzy sami do wszystkiego doszli”, wiedzielibyście państwo, że wskazówka numer cztery podkreśla znaczenie kontroli wszystkich programów telewizyjnych i gier wideo.

— Patty uśmiechnęła się swoim dziarskim uśmiechem, co pozwoliło tym z nas, którzy zajęli trzy pierwsze rzędy, zerknąć na jej zęby mądrości. — To ideal-

ny przykład, pozwolić nastolatkom na swobodną zabawę grą tego rodzaju przy jednoczesnym wykorzystaniu naszego wpływu.

— *Byki czterdzieści osiem, Phoenix trzydzieści sześć przed przerwą!* — zawołał stłumiony odległy głos. Rozejrzałam się, żeby zobaczyć, kto rozmawia, jednak wszyscy patrzyli na Patty.

— Ale to po prostu niewłaściwe — zauważyła Carrie. — Grałaś kiedyś w tę grę, Patty... to znaczy, czy pani grała, pani przewodnicząca? Jest niezwykle brutalna.

— Nie zgadzam się. To przyzwoita gra, która wyraża wartości patriotyczne, propaguje czynną obronę naszej ojczyzny, walkę z terroryzmem. Ta gra sławi wartości, które w zakładach Nowy Kosmos podzielamy wszyscy: miłość matczyną, miłość ojcowską i przede wszystkim miłość do kraju.

— Prawda, sprawiedliwość i amerykańska droga — wyszeptała Carrie.

— To z Supermana — odszepnęłam.

— *Za minutę przegląd najważniejszych wydarzeń Konferencji Wschodniej, ale najpierw słowo od naszych sponsorów...* — Znów się odwróciłam. Ktoś słuchał radia.

— Słyszałaś? — Kuksnęłam Carrie.

— Cśśś, to ważne, Birdie.

— A więc czy popieramy propozycję? — Patty spojrzała na Mary, której mąż czekał w kolejce na awans na doradcę rodzinnego w zakładach Nowy Kosmos (dawniej dyrektora wydziału personalnego). Mary z miejsca wyraziła swoje poparcie.

— Dziękuję, Mary. Wszyscy, którzy chcą oficjalnie poprzeć Amerykańską sprawiedliwość, niech powiedzą „tak”.

Wszyscy to zrobili. Z wyjątkiem Carrie, która krzyknęła „nie”. Co do mnie, upuściłam magnetofon i podczas głosowania zanurkowałam pod stół, żeby go wydobyć. Przydatna technika, którą przez lata doprowadziłam do perfekcji.

— Wniosek przyjęty. — Patty walnęła swoim młotkiem. — Stowarzyszenie Przyjaciół Dzieci okręgu Hawthorne oficjalnie uznaje *Amerykańską sprawiedliwość*...

— *Pacers sto jeden, Milwaukee dziewięćdziesiąt cztery. New Jersey dziewięćdziesiąt osiem, Orlando osiemdziesiąt osiem...*

— Co do licha? — Wstałam i rozejrzałam się po sali. Carrie pociągnęła mnie w dół.

— A teraz chcę przypomnieć wszystkim o uczestnictwie w sobotnim wielkim otwarciu Parku Patriotów Zakładów Nowy Kosmos. Chciałabym podziękować dyrektorowi zakładów Nowy Kosmos za wyrażenie zgody, by SPD ustawiło swój punkt przy wejściu. — Mrugnęła do Leksa, on odmrugnął, a wszyscy się roześmieli. Z wyjątkiem Carrie, która zrobiła gest, jakby miała zwymiotować. — A teraz zakończmy zebranie, recytując tekst ślubowania. — Patty uniosła ręce, wszyscy oprócz Carrie i mnie zerwali się jednym płynnym ruchem. Nawet Carl otrząsnął się z transu i wstał nieco oszołomiony.

Głos rytmicznie skandujący słowa gwałtownie zamilkł. Potrząsnęłam głową.

— Chyba mam wodę w uchu — mruknęłam do Carrie, podnosząc się i kładąc dłoń na sercu. Carrie przewróciła oczyma i zrobiła to samo, chociaż po „oraz wolność i sprawiedliwość dla wszystkich” ciężko westchnęła.

— *Witamy po przerwie. Do wybicia piłki przygotowują się Darren Jameson i LaQuante Jones...* ,

— Carrie!

— Co?

— Nie słyszysz?

— Ale czego?

— Tego głosu. Radia czy czegoś. To chyba mecz koszykówki.

— O czym ty mówisz? Jesteśmy w kafeterii, sala gimnastyczna znajduje się na drugim końcu budynku, a poza tym dziś nie ma żadnego meczu koszykówki.

— No nie słyszysz? — Teraz głos przeszedł do transmisji na żywo z meczu: Byki właśnie wykonały rzut za trzy punkty.

— Ale czego? Birdie, nadal coś słyszysz jak dziś rano? — Carrie odwróciła się w moją stronę. Spotkanie się zakończyło, masa ludzi kręciła się wokół Leksa i Patty, wymieniając uściski dłoni i z podnieceniem opowiadając o zakładach Nowy Kosmos. Przypominało to spotkanie religijnego ruchu odnowy.

— Ee, nie, nie tak jak rano... — Ale zobaczyłam tę jej minę, to ostre przezywające spojrzenie, po którym człowiek się zastanawia, po co, do licha, Carrie nosi okulary. — No dobrze, słyszę. Słyszałam coś, jakby radio.

— Nie było włączonego radia. Siedziałam tu cały czas. Birdie, zaczynam się naprawdę o ciebie martwić. Nie wybierzesz się do lekarza?

— Nie mogę, Carrie... po prostu nie mogę. Nie umiem tego wyjaśnić.

— Może... — zawahała się, szarpnęła grzywkę — niechętnie o tym wspominałam, ale może... doktor Dan? Mogłabyś z nim o tym porozmawiać?

— Carrie. — Wepchnęłam magnetofon do torby i wstałam, prze-' wracając krzesło. Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałaś.

— Przepraszam. Przepraszam, Birdie, naprawdę. Po prostu... Nigdy nie widziałam cię w takim stanie. Wydajesz mi się taka inna...

— Jaka? — Zamarłam w pół ruchu, z jedną nogą uniesioną w powietrzu jak flaming. — Jak to „inna”? Możesz to określić? Co możesz powiedzieć? Czy widzisz...

— Dobranoc, Birdie. Carrie. — Carl stał między nami. — Zastanawiałem się, czy będziesz w tym roku pilnować dzieciaków na balu z okazji Święta Plonów, Birdie? Och, i Carrie?

— Ja, ee, cóż, ja...

— Tak — odparła Carrie. — Będziesz, prawda, Birdie?

Kiwnęłam głową.

— Ja też. To do zobaczenia.

— Okej — powiedziałałam i przełknęłam ślinę. Carl odwrócił się, żeby odejść, a Carrie chwyciła wszystkie nasze rzeczy i popchnęła mnie za nim. Nie dogoniłyśmy go, ale spędziłyśmy przyjemną chwilę, obserwując, jak idzie korytarzem. Musiałam przyznać, że jak na mężczyznę w średnim wieku miał ładny tyłek. Nie

jeden z tych płaskich, jak to bywa u niektórych. Przyjemnie zaokrąglony, we właściwym stopniu -j; wypełniający tylne kieszenie, z których zwisał cienki kabelek... cien— : j ki plastikowy kabelek podłączony do słuchawki podłączonej do...

— Radio — szepnęłam, ściskając ramię Carrie.

— Co?

— Patrz! — Wskazałam na tyłek Carla.

— No cóż, Birdie, bardo ładny, ale nie uważasz, że trochę za bardzo się spieszysz?

— Nie! Zobacz, radio! Ze słuchaweczką!

— A to cwaniak! — Carrie się roześmiała. — Cóż, to mu się udało. Żałuję, że sama o tym nie pomyślałam. Nic dziwnego, że zawsze sprawia wrażenie takiego spokojnego i pozbieranego po tych spotkaniach. Nie słyszy ani słowa!

— Nie! Pamiętasz, kiedy powiedziałam, że coś słyszę?

— Tak? I co?

— Założę się, że to było... nieważne. Nieważne, nieważne, nieważne! — Klepnęłam się w bok głowy. — Jestem niemądra. Oczywiście, że nie. Nie mogłam. Oczywiście, że nie. !

— Birdie, idź do domu. Porządnie się wyśpij. Jeżeli potrzebujesz, zrób sobie rano wolne. — Carrie wzięła mnie pod rękę, kiedy szłyśmy do samochodów. — Bo szczerze mówiąc, trochę się o ciebie martwię. Wykazujesz tendencje paranoidealne, a to w połączeniu z twoją i tak już niską samooceną mogłoby prowadzić do...

— Carrie. — Uśmiechnęłam się do przyjaciółki, która w światłach parkingu mrugała jak kret. — Sama idź do domu. Nakarm Howarda porcją taco i baw się dobrze, analizując jego sny. I przestań się o mnie martwić.

— Wiesz, mogłabym ci pomóc, gdybyś tylko...

— Dobranoc, Carrie. — Zatrzymałam się przy swoim minivanie.

— Cóż, życzyłabym ci słodkich snów, ale wiem, że to marnotrawstwo.

— Przepraszam. — Wzruszyłam ramionami. Nigdy nic mi się nie śni. Carrie mnie za to nie znosi, odbiera to jako osobistą zniewagę. Nie pamiętam żadnego snu, jaki miałam. Nawet koszmarów. I moim zdaniem świetnie się składa.

Stałam przy otwartych drzwiach samochodu, przyglądając się, jak odjeżdża. Pomachałam do paru innych osób, a potem uniosłam twarz ku gwiazdom, czując, że chłodne wieczorne powietrze składa na niej pocałunek. Zbyt wiele gwiazd, żeby je policzyć, ale to nic nie szkodzi, niebo było kojące i przynosiło pociechę. Jak śpiwór albo obraz, coś, w co mogłam wejść i nikt by mnie tam nie zobaczył.

Za rogiem zazgrzytał żółty mustang, okna otwarte, ryczące radio, rozdzierające nocną ciszę jak ostrze noża. Wstrząsnęło mną wewnętrzne drżenie. Czułam rezonans, wibrację, ostrzeżenie.

I zanim zdążyłam pomyśleć, co robię, wskoczyłam do swojego poobijanego minivana i z rykiem popędziłam za tym samochodem. Zatrzymał się przed znakiem stopu. Nacisnęłam klakson i błyskawicznie wysiadłam, biegnąc do otwartego okna kierowcy. W środku siedziało pięciu nastolatków. Żaden nie zapiął pasów.

— Ty! — Pogroziłam palcem kierowcy, wysokiemu i szczupłemu chłopakowi z różowymi włosami i kolczykiem w nosie. — Zwolnij! I zapnijcie pasy. Ale już.

— Co jest, kurwa? — Odwrócił się i roześmiał do przyjaciół. — Co to za babcia na sterydach? — Wyprostował się i uśmiechnął złośliwie. — Pierdol się.

— MŁODY CZŁOWIEKU! — Wibracja w mojej piersi z grzmotem odbiła się o żebra i z pełną mocą wyrwała mi się z gardła. Wycelowałam palec w czubek jego nosa. — Zapnijcie pasy. NATYCHMIAST. I zwolnisz, a potem będziesz przestrzegał ograniczenia prędkości. Bo jak nie...

— Bo jak nie, to co? — Grymas zniknął z jego twarzy, oczy pojaśniały i wypełniły się nieudawanym lękiem.

— Zabiorę ci kluczyki i uziemię na tydzień. I to dotyczy was wszystkich! — Wetknęłam głowę przez okno, obdarzyłam każdego drżącego nastolatka Bezlitosnym Spojrzeniem i kiwnęłam głową — tylko raz — dla wzmocnienia efektu.

I posłuchali. Wszyscy zapięli pasy. Jednocześnie.

— T... tak, proszę pani — wyjąkał kierowca, nie patrząc mi w oczy.

— Teraz lepiej. — Odsunęłam się i skrzyżowałam ręce na piersiach. — Możesz teraz jechać.

— Tak, proszę pani — powtórzył. Potem samochód wolniutko pokonał skrzyżowanie i popęzł dalej ulicą. Niespodziewany podmuch wiatru zaszeleścił w drzewach i owionął moje wciąż jeszcze drżące ; ciało. Mój wzrok znów przyciągnęły gwiazdy, dziwacznie żarzące się na atramentowym niebie. Uniosłam prawą rękę, badając jej kontur jak mapę tajemniczej wyspy z wystającymi przyładkami i wąskimi zatoczkami, czarną na de gwiazd. Czerpałam siłę z ich świetlanej energii i czułam, że sama jaśnieję tu na ziemi, wibrująca, połyskująca...

Pełna mocy.

A potem...

— Tracę rozum — wymamrotałam, kiedy coś potężnego się we mnie załamało. Wiatr ustał, gwiazdy zbladły i jakiś samochód zatrąbił, żebym zeszła z ulicy. — Kompletnie tracę rozum. — Powłokłam się z powrotem do minivana i ruszyłam do domu. W pewnym momen— j cie na światłach dogoniłam żółtego mustanga. Kierowca mnie zobaczył, j zbladł, a potem odwrócił wzrok. Kiedy światła zmieniły się na zie— i lone, zaczekał, aż ruszę, zanim sam pojechał, zachowując prędkość J nieco poniżej dozwolonego limitu.

Kiedy dotarłam do domu, długo siedziałam w samochodzie, gapiąc się na budynek z farbą obłazącą z okiennic, z jedną lampą krzywo wiszącą na ganku. Nie chciało mi się wchodzić do środka. Nie chciałam znów stać się mamą Kelly i Martina, nagabującą dzieci o lekcje, zrzedzającą z powodu bałaganu w pokojach i zgubionego kieszonkowego. Chciałam pozostać osobą, która zaczerpnęła siłę z gwiazd, która w zarysie własnej dłoni na tle rozświetlonego nocnego nieba odnalazła tajemniczą zaczarowaną przestrzeń. Uchyliłam okno, rozłożyłam siedzenie i na chwilę zamknęłam oczy, wdychając zapach dymu i wonne nocne powietrze — któryś z sąsiadów musiał uruchomić kominek. Była już prawie ta pora roku.

Przesunęłam się na siedzeniu i niechcący wcisnęłam guzik uruchamiający magnetofon. Nagle Patty znów waliła swoim młotkiem, Carrie ciężko wzdychała, szeptałyśmy na temat Carla. Ale było tam coś więcej. Znacznie więcej.

Usłyszałam różności. Takie, na które nigdy wcześniej nie zwróciłam uwagi: miarowe stuknięcia brzmiące jak bicie serca, oddechy, pisk tenisówek na pokrytej linoleum podłodze. Słyszałam ludzi rozmawiających w tle — nie ten zwykły pomruk, ale prawdziwe rozmowy.

— Bierzesz paczkę mrożonego makaronu — mówiła Marge — i dodajesz puszkę zielonej fasolki...

— A co z piątkiem? — pytała kogoś Terry. — Nie mogą tego załatwić w piątek?

— Byki czterdzieści osiem, Phoenix trzydzieści sześć przed przerwą... — Proszę! To właśnie słyszałam, radiowego spikera. A na taśmie Carl Sayers chrząknął i wyszeptał: — Dawać, Byki!

Więc rzeczywiście to słyszałam. Słyszałam jego radio, i to siedząc po przeciwnej stronie sali, mimo że używał słuchawek. I jakimś sposobem mój magnetofon to wychwycił, zarejestrował głosy, dźwięki, westchnienia i szmery wszystkich i wszystkiego w pomieszczeniu. Albo może...

— Birdie. Birdie ładnie dziś wygląda, prawda? — Podskoczyłam na dźwięk swojego imienia. — Zawsze wygląda tak ładnie i schludnie. — To był głos Carla.

— Tak, owszem — odparła Mary.

— Hmmmm — ciągnął Carl. Brzmiało to z namysłem. Był zaintrygowany. Był... zainteresowany.

Wyłączyłam magnetofon.

Ile to czasu minęło? Siedziałam w samochodzie i usiłowałam sobie przypomnieć.

Ile czasu minęło, odkąd przydarzyło mi się coś nowego i podniecającego? Ile czasu, odkąd czułam się tak jak teraz — inaczej, lepiej, odmieniona w jakiś znaczący sposób, dla mnie niepojęty? Nie pamiętałam. Czy w ogóle kiedykolwiek tak się czułam?

I ile czasu minęło, odkąd męski głos sprawił, że omal nie wyskoczyłam ze skóry, że zaczęłam się zastanawiać, jak by to było zrzucić ciuchy i wpaść w jego

ramiona? Ile czasu, odkąd dotykałam mężczyzny, całowałam mężczyznę, znalazłam się w męskich objęciach pieszczona i kochana?

Zbyt wiele. Dosyć, bym myślała, że zapomniałam, jak to jest. Że męski głos może wzbudzić tyle tęsknoty, tak cudownie rozżarzyć mnie od środka i sprawić, że myślę o kimś innym niż ja sama. Albo Kelly. Albo Martin.

Przewinęłam taśmę i puściłam jeszcze raz. „Birdie ładnie dziś wygląda, prawda?” zapytał głos Carla, miękki i ciepły jak łaskocząca mój kark letnia bryza. „Zawsze wygląda tak ładnie i schludnie”. Wyłączyłam magnetofon dokładnie w tym miejscu. Nie musiałam słyszeć niczego więcej.

Kiedy tamtej nocy wreszcie poszłam się położyć (wysprzątałam kuchnię, zanim zdążyłam się powstrzymać), usiadłam po turecku na łóżku, jedząc pomarańczowego loda, i w kółko puszczałam ten fragment nagrania. „Birdie ładnie dziś wygląda, prawda? Zawsze wygląda tak ładnie i schludnie...” Pauza, przewijanie, start. Kiedy zlizalam z patyczka ostatnią lepką kroplę, pozwoliłam sobie pomarzyć o następnym razie, kiedy moglibyśmy się spotkać, Carl i ja.

Wyrzuciłam patyczek i poszłam do łóżka z lepкими palcami, ze śladem pomarańczowego smaku wokół ust. Mogłam je wytrzeć do czysta jednym ruchem, ale nie chciałam.

Chciałam zasnąć ze wspomnieniem słodczy na wargach.

Rozdział 3

I tak minęło kilka pierwszych dni po moim Straszonym Wypadku ze Swifferem. Życie trochę się skomplikowało, cały czas popuszczałam (nie spodziewałam się, że do tego dojdzie, zanim skończę przynajmniej sześćdziesiąt pięć lat), ale biorąc pod uwagę poziom współczesnej dbałości o czystość, nie mogłam wejść do żadnego miejsca użyteczności publicznej i nie strzelić płynem. Zaczęłam więc nosić na prawej ręce plastikowy woreczek, a kiedy ktoś pytał mnie dlaczego, mówiłam, że mam wysypkę. Co nie było kłamstwem, ponieważ moja dłoń pozostała gąbczasta i chropowata, mimo że zużyłam na nią mnóstwo kremu do rąk. I nauszniki — tak, nosiłam też nauszniki. Zakładałam parę starych nauszników (z Tygryskiem, dokładnie rzecz biorąc), kiedy już miałam dość stale słyszanego mrużenia i szeptów.

Możecie sobie chyba wyobrazić, jak moje dzieci zareagowały na widok matki z torebką foliową na ręce i nausznikami z Tygryskiem na głowie. Kelly nie pozwoliła mi zbliżyć się do szkoły na odległość trzech kilometrów (naprawdę zaznaczyła teren na mapie czerwonym atramentem), Martin udawał, że mnie nie zna, nawet kiedy byliśmy w domu tylko we dwoje.

Jeśli chodzi o plusy tej sytuacji, nasz dom był naprawdę czysty. Pozbyłam się tej tajemniczej plamy w kształcie choinki na suficie w salonie, która znajdowała się tam, odkąd się wprowadziliśmy, usunęłam pomarańczowe plamy ze wszystkich plastikowych pojemników, wybieliłam kuchenne zasłony tak, że lśniły bielą niczym anielskie skrzydła. Wkrótce dom błyszczał jak nowa zabawka. I nikt poza mną tego nie zauważał.

Od czasu do czasu doznawałam wrażenia napięcia, jakby wibracji. Przypominało to odczucie, które miałam czasami na ułamek sekundy zanim wydarzyło się coś złego. No wiecie, człowiek patrzy na swoje dziecko, które wspina się na krzesło, żeby sięgnąć po szklanekę znad zlewu, i oniemiały mówi do siebie: „A teraz straci równowagę, spadnie, uderzy brodą o blat i będziemy musieli jechać zakładać szwy”. I ani się obejrzyj, lądujesz na pogotowiu.

Czasem miałam takie właśnie uczucie. I co naprawdę dziwne, za każdym razem, kiedy go doznawałam, rozglądałam się i dostrzegałam kogoś w niebezpie-

czeństwie. Dzieciaka, który już miał wypaść z wózka na zakupy. Dziewczynkę na ulicy jadącą na rowerze bez kasku. Grupę nastolatków tak pogrążonych w rozmowie, że o mało nie przeszli przez szlaban na torach w pobliżu szkoły. Posadziłam prosto szkraba w wózku, odprowadziłam do domu dziewczynkę i zmusiłam ją, żeby włożyła kask, krzyknęłam na nastolatków, by się ; zatrzymali, zanim z rykiem przemknął obok pociąg.

I na świecie panował porządek, a przynajmniej w moim zakątku świata. Dopóki byłam w pobliżu.

A potem, w sobotę rano, potknęłam się o coś, co leżało pod drzwiami sypialni.

— Kto to zostawił? — Podniosłam komiks. Na okładce Spider— man kołysał się w powietrzu. — Martin? To twój? — Rzuciłam pisemko przed jego sypialnią. A potem znów usłyszałam głosy. Tym razem dochodziły z pokoju Kelly, słabo słyszalne, monotonne staccato. Zupełnie jak głos, który słyszałam na zebraniu:

—*Jak leci?*

— *Okej.*

— *Do zoba?*

—*Okej.*

— *Kulowo. Mała, Kocham.*

—*Ja też.* —A potem doleciało do mnie radosne cieniutkie „dzyń”, Jakby dzwoneczek.

— Kelly? — Zapukałam do jej drzwi. Cisza. A potem: — Zara.

— Co mam?

— Kochanie, z kim tam rozmawiasz?

— Z nikim.

— Kelly. Słyszałam kogoś. Kto tam jest?

— Z nikim.

— Kelly. Słyszałam kogoś. Kto tam jest? ,

— Nikt! — Uchyliła nieco drzwi. Jedno szare oko wychynęło zza kurtyny piaskowych blond włosów.

— Kelly, wiem, co słyszałam.

— Mamo. Odbija ci. Idź męczyć Martina. — Zamknęła drzwi.

—Ale... Kelly...

— *Co jest?* — Szepczący monotony głos pojawił się ponownie.

— *Nic. Mama. Wiesz.*

— *Dramat.*

— Kelly! — Jeszcze raz zabębniłam w drzwi.

— Co?! — Otworzyła drzwi nieco szerzej. Doczekałam się pary szarych oczu wyglądających zza zasłony piaskowoblond włosów.

— Z kim tam rozmawiasz? — Wepchnęłam stopę w drzwi, zanim zdołała je zamknąć. Westchnęła głęboko, znacząco, a potem mnie wpuściła.

— Nikogo nie ma, widzisz? Boże. Z czym masz problem? Ostatnio zachowujesz się po prostu żałośnie. Zgubiłaś te swoje nauszniki czy co? — Kelly wykrzywiła się, siadając przy biurku. Ale potem podniosła głowę i spojrzała na mnie, obgryzając paznokieć, trochę zbladła. — Ale dobrze się czujesz, prawda? To znaczy po tym wypadku ostatnio, czy nie masz, no wiesz, jakichś odlotów?

— Wszystko w porządku, kochanie. Naprawdę. Po prostu zdawało mi się, że słyszałam... w każdym razie nie rozmawiałaś z niczym ani nikim, prawda?

— Nie, tylko czatuję z Harrym.

— Och! Z Harrym! No proszę, jak miło!

— Co?

— To znaczy, no wiesz, jak tam leci? W szkole i... z Harrym... i... jak leci? — Czy uprawiasz z nim seks? Czy jesteś ostrożna, kiedy to robisz? Czy on jest dla ciebie dobry? Czy go kochasz? Ale nie mogłam zadać tych pytań, za bardzo bałam się odpowiedzi. Największa śmiałość, na jaką mogłam się zdobyć, to założyć jej za ucho kosmyk włosów. Zesztywniała i odsunęła się.

— Świetnie. U niego też. I u mnie. Muszę się teraz ubrać.

— Przepraszam. Zostawię cię. — I ośmieliłam się złożyć pocałunek na czubku jej głowy, zanim zamknęłam drzwi, tak szybko, że oszczędziłam sobie widoku jej twarzy. Ale w korytarzu, za szczelnie zamkniętymi drzwiami, znów usłyszałam te głosy:

— *Znów twoja mama?*

— *Tak.*

— *Co się dzieje?*

— *Nic. Jak to z mamą. Nie mogę się doczekać weekendu z tatą!*

— *Twój tata jest kulowy. Mój tata tak mówi.*

— *Jest.*

— *Ale twoja mama...*

— *No. Wiem.*

Na chwilę zamknęłam oczy. Żałowałam, że nie mogę wmaszerować tam z powrotem i opowiedzieć Kelly — wszystkiego. Wszystkiego, czego nie wiedziała o mnie, o swoim ojcu, rzeczy, o których dziecko nie powinno wiedzieć. Czasami za ciężko było trzymać się tej zasady, nieść na plecach ciężar jej szczęścia nawet wówczas, kiedy ledwie mogłam ustać na nogach. W końcu zesłam na dół, ukrywając to, co się właśnie wydarzyło — głosy, to, co powiedziały — gdzieś w zakamarku umysłu jak wiewiórka orzech. Ostatnio gromadziłam poszlaki, wszystkie te dziwne rzeczy, które się wydarzyły — wciąż się działy — od Straszego Wypadku ze Swifferem. Ale do tej pory nie miałam czasu — ani odwagi — żeby je wszystkie zebrać razem.

Kuchnia była zabałaganiona po śniadaniu, więc błyskawicznie i bez namysłu ją uprzątnęłam. Zaczynało mi to wchodzić w krew, zdumiewająca umiejętność sprzątnięcia z siłą dziesięciu tysięcy swifferów. Eksperymentowałam nawet z nowymi technikami. Moją ulubioną był zabawny strzalik spod pachy połączony z siknięciem z lewej ręki.

— Mamo?

— Martin? — Odwróciłam się, ukrywając ciekącą dłoń pod pachą. Cholera, ten płyn był zimny!

— Mamo, czy ty właśnie...

— Przygotować ci przekąskę? Co, jesteś głodny? Może kanapkę? Masło orzechowe? Szynka? Mielonka? Masło orzechowe, mielonka i szynka? — Pobiegłam do spizarki i chwyciłam chleb.

— Dopiero jadłem śniadanie. Mamo?

— Hmm? — Przesunęłam gąbką po blacie, na próbę. Nie patrzyłam mu w oczy.

— Mamo... Nic. Chyba lepiej będę...

— Och! Wiesz co! — Odwróciłam się i klasnęłam w dłonie.

— Co?

— Ostatnio wieczorem rozmawiałam z panem Sayersem. O twoich komiksach. Powiedział, że ten ostatni był naprawdę niezły! Tak trzymać, kolego!

— Mamo! — Oczy Martina zwięzły się w szparki, podczas gdy jego brwi zbiegły się w jedną falistą linię ponad nimi. — Czemu rozmawiałaś z panem Sayersem?

— A czemu nie? Byliśmy na spotkaniu SPD, wspomniał o tobie i...

— Ale dlaczego z nim rozmawiałaś? O mnie? Nienawidzę, kiedy to robisz. To nie twoja sprawa, to tylko głupie rysunki i nie rozumiem, czemu z kimś o tym rozmawiałaś. Zawsze robisz takie rzeczy, rozmawiasz z rhoimi nauczycielami, pytasz, co się ze mną dzieje. Mamo, ja potrzebuję prywatności!

-Jestem twoją matką. Lubię o tobie rozmawiać. Lubię wiedzieć, co się z tobą dzieje. Pamiętasz, kiedy byłeś w trzeciej klasie i pojechałeś na tę wyprawę do...

— Mamo! Chyba nie chcesz znów tego robić?

— Czego?

— Zaczynać z tym „pamiętasz, kiedy”.

— Och. — Odwróciłam się i wbiłam wzrok w blat. — Tak robię? Często?

— Owszem. Robisz — potwierdził ze znużeniem. — A poza tym pan Sayers? Jest dosyć w porządku, chyba, ale... No, nie wiem. Po prostu dziwne, że z nim rozmawiałaś.

— Cóż, wiesz, rodzice ze sobą rozmawiają.

— Wiem. Ale to i tak dziwne.

Żadne z nas przez dłuższą chwilę się nie odzywało.

— No to już idę.

Usłyszałam w jego głosie wahanie, przeprosiny.

— Okej. Pa, kochanie. — Odwróciłam się i uśmiechnęłam. — Do zobaczenia później? Potrzebujesz więcej pieniędzy?

— Nie. — Jego twarz się rozluźniła, tak że znów miał dwie oddzielne brwi. — Nie, dzięki. Och i... mamó? Chciałem cię spytać...

— Tak? — Prawa ręka mi drżała i wepchnęłam ją do kieszeni džinsów.

—Przedwczoraj... czy ty... czy kupiłaś Patriotyczne Lizaki? Skończyły się.

— Patriotyczne Lizaki? Kupię dzisiaj, kochanie! Patriotyczne Lizaki! Nie ma sprawy! — Dłoń przestała mi drżeć w samą porę, żebym mogła pomachać na do widzenia synowi, kiedy dał susa za kuchenne drzwi.

A potem zadzwonił telefon.

—Halo?

—Birdie?

— Ochhhh, cześć... — Padłam na kuchenne krzesło, nagle zmiękły mi kolana. Kelly pędem zbiegła po schodach, nakładając na usta jeszcze jedną, ostatnią warstwę błyszczyku. Szarpnęłam ją za torebkę, kiedy przebiegała obok, niemal zwalając ją z nóg.

— Mamo!

— Dzięki — wyszeptałam, potrząsając w jej stronę słuchawką. — Twój ojciec. — Na lśniących wargach pojawił się pełen winy uśmiezek i wzruszyła ramionami. A potem powoli wyszła, nie oglądając się za siebie.

— Birdie, właśnie dzwoniła do mnie Kelly.

— Właśnie teraz?

— Tak. Tuż przed pierwszą wizytą, nawiasem mówiąc. Czy ona nie zna mojego planu dnia?

— Dan, Kelly ma piętnaście lat i jest twoją córką, nie sekretarką.

— Cóż, w każdym razie... — Słyszałam w jego głosie poważne rozczarowanie. Przygniotło mnie, zaciążyło mi w kościach. — Powiedziała, że miałaś ostatnio jakiś wypadek.

— Tak. — Wstrzymałam oddech i czekałam, aż zapyta, czy wszystko ze mną w porządku.

— Birdie? Birdie, jesteś tam?

— Nie, to nie był wypadek. — Wypuściłam powietrze. — Nawdychałam się oparów z wybielacza i czegoś tam jeszcze, kiedy sprzątałam łazienkę.

— Miałaś włączony wentylator?

— Nie, nie miałam.

— A to dlaczego?

— Nie wiem. Zapomniałam. Spieszyłam się i...

— Więc Kelly mówiła, że dziwnie się zachowujesz. Słyszysz różne rzeczy. Zachowujesz się paranoicznie. Podobno Martin jej wyznał, że parę dni temu widział cię w kuchni wieczorem, jak robiłaś coś dziwnego.

— Martin, tak? — Zamknęłam oczy. Czyżby Martin nie spał, kiedy śmigałam jak wicher po kuchni? Byłam pewna, że to sprawdziłam. Ale może nie. Może byłam zbyt zajęta rozmyślaniami o głosie Carla Sayersa.

— Tak, chociaż ten fragment wypowiedzi nie był dla mnie jasny. Ale nauszniki, Birdie? Naprawdę? Wysłałem ci czek z alimentami. Zawsze to robię. Więc czemu z takim uporem mnie kompromitujesz?

— Nie kompromituję cię, doktorze... Dan. Nie chodzi o ciebie, chodzi o...

— Wystarczy już, że znalazłaś pracę jako kasjerka. Wystarczy, że pakujesz moim pacjentkom mrożonki. Ale teraz jeszcze ubierasz się jak bezdomna? Birdie, dajże spokój.

— Ale to nie... ja nie próbuję...

— Posłuchaj, muszę kończyć, ale chciałem się upewnić, że w żaden sposób nie narażasz dzieci.

— Och, na litość boską. Narażam dzieci? Tak, Dan. Tak, narażam. Wkładam im żyletki do kanapek z masłem orzechowym. Dodaję strychniny do pasty do zębów! — Zerwałam się z krzesła i zaczęłam przemierzać kuchnię, a w mojej piersi wzbierało jakieś napięcie podsycane dziwną nową iskierką wściekłości. — Mówię im, żeby się bawiły na ulicy! Zabraniam jeździć samochodem, dopóki nie odepną pasów! Krochmalę im bieliznę, do licha!

— Birdie. Nie musisz być sarkastyczna, to do ciebie niepodobne. Po prostu uważaj, dobrze?

Zdawało mi się, że usłyszałam coś w jego głosie — jakąś miękkość albo pytanie. Coś, czego nie słyszałam od lat, i to mnie zważyło z nóg.

— Uważać? Chcesz, żebym uważała? Ależ jasne, zajmę się swoją...

— Po prostu uważaj, żeby nie zrobić czegoś głupiego. Uważaj, żeby nie przynieść mi większego wstydu. I jeżeli Kelly jeszcze zadzwoni w tej sprawie, zjawię się tam osobiście. Przed wyznaczonym weekendem. Rozumiesz?

— Tak. — Mój głos opadł do szeptu tak cichego, że ledwie rozchylił mi usta. — Rozumiem. — Ale on już się rozłączył. Doktor Dan nie musiał słuchać, co miałam do powiedzenia.

Siedziałam ze słuchawką w ręku i usiłowałam sobie przypomnieć chociaż jedną rzecz z nim związaną — związaną z nami — która była dobra. To sztuczka, której nauczyłam się dawno temu, drobiazg, który powstrzymuje mnie przed nastawianiem dzieci przeciw niemu. Zresztą i tak nie robiłabym tego. Jestem dobrą matką, co do tej jednej rzeczy w życiu mam pewność. Nawet doktor Dan to przyznawał, chociaż pełen pogardy sposób, w jaki to robił, oznaczał, że nie było to w jego mniemaniu jakieś wyjątkowe osiągnięcie.

Tak oto siedziałam w kuchni i wspominałam pierwszy raz, kiedy usłyszałam z jego ust swoje imię.

— Birdie — powiedział z uśmiechem Dan. Siedzieliśmy na murku wokół fontanny, przed salą wykładową w college'u. Czekałam na niego; wydaje mi się, że wtedy nie robiłam niczego innego poza czekaniem na niego. Czekałam długo, ale nie miałam nic przeciw temu. Nie przychodziło mi do głowy żadne inne miejsce, w którym chciałabym być.

Wreszcie wolnym krokiem zszedł ze schodów i zastał mnie cierpliwie siedzącą na ławce. Poznaliśmy się zaledwie kilka tygodni wcześniej, więc upajaliśmy się swoim widokiem.

— Birdie — powiedział, biorąc mnie za rękę i ujmując ją w swoje duże zręczne dłonie lekarza. — Takie śliczne maleńkie imię dla takiej ślicznej dziewczynki. Birdie. Mój brązowy strzyżyk.

A ja zachichotałam i spuściłam głowę. Wiedziałam, że do tej chwili nigdy wcześniej tak naprawdę nie słyszałam swojego imienia.

Było rzeczą, etykietą. Do tamtej chwili, kiedy Dan umieścił moją dłoń w swojej, jakby była delikatnym kwiatem, i wypowiedział moje imię, nadając mu znaczenie, dając mi życie.

— Birdie — wymówiłam je teraz, sama w lśniącej kuchni, z drobną ręką samotnie leżącą na kolanach. A potem przypominałam sobie inny głos wypowiadający moje imię i zaczęłam się zastanawiać.

Czy drugi raz — nadzieja, tęsknota, męski głos wymawiający moje imię — mógł być tak słodki i przejmujący jak pierwszy? Kiedy człowiek jest młody, wszystko ma o tyle większe znaczenie. Musi kochać albo umrze.

Teraz jednak, cóż, nie byłam pewna. Nie byłam pewna, czy ludzie w średnim wieku potrafią tak kochać. Jesteśmy o tyle bardziej... ustatkowani. Wiemy, że są ważniejsze sprawy niż śmierć z miłości, życie dla miłości, a potem śmierć na myśl o tym, że trzeba będzie żyć bez miłości. Na przykład kupienie córce do szkoły dzinsów właściwej marki, żeby nie znienawidziła człowieka na zawsze. Na przykład posiadanie dokładnie takiej ilości pieniędzy, żeby móc pomóc dzieciom idącym do college'u, nie niwecząc ich szansy na pomoc finansową. Na przykład wiedza, czy masz już w domu karton mleka, czy musisz go kupić, bo

jeżeli kupisz, a masz już jedno mleko w domu, możliwe, że to nowe się zepsuje, zanim zdążacie wszystko wypić.

Westchnęłam i weszłam na górę wziąć prysznic. Nie mogłam uwierzyć, że tak głupio się zachowywałam.

Kiedy człowiek jest zakochany albo ma nadzieję się zakochać, nie spędza czasu na rozmyślaniach o skwaśniałym mleku.

— No i jak się dziś czujesz? — Carrie ujęła mnie pod ramię.

Na chodniku tłoczyły się szczęśliwe rodziny, które nie mogły się doczekać, kiedy wreszcie zaczną celebrować wielkie otwarcie Patriotycznego Parku Zakładów Nowy Kosmos, podniecone możliwością skorzystania z darmowego wstępu dla dzieci poniżej dwunastu lat. Przechadzający się w kolonialnych kostiumach ludzie rozdawali darmowe próbki śmieciowego żarcia ery amerykańskiej rewolucji.

— W porządku. — Jak przystało na grzeczną rozwiedzioną matkę, w kwestii utrzymania dzieci zależną od pieniędzy byłego męża, zostawiłam w domu swoje nauszniki i plastikowy worek. W sumie dobrze się stało, nie sądziłam, by Patty i Lex pozwolili mi wejść, gdybym się w nich zjawiała. Właściwie cały tłum sprawiał wrażenie wypucowanego do połysku, praktycznie każdy tu był w jakiś sposób związany z Nowym Kosmosem, należał do „braci” albo był z „braćmi” związany. Całe rodziny przechadzały się z niemądrymi uśmiechami, obracając w ustach czerwono-biało-niebieskie cukierki.

—Więc?

— Co „więc”?

— Co myślisz o ostatnim zebraniu SPD?

— Patty i Lex przypominają mi kapuściane głowy.

Dziarska Abigail Adams oślepiająca bielą zębów wręczyła mi kubek Patriotycznych Lizaków.

— Nie o tym mówiłam.

— Poważnie. Zauważyłaś to już wcześniej? Oboje mają ogromne głowy.

— Birdie, mówiłam o Carlu. Tak mu zależało, żeby się z tobą pożegnać, a potem pytał, czy będziesz opiekunką na Święcie Plonów! — Oczy Carrie lśniły zza okularów jak błękitne gwiazdki.

— Pożegnał się z nami obiema, nie tylko ze mną. I ciebie też zapytał, czy będziesz pilnować dzieci. — Wzruszyłam ramionami z nadzieją, że Carrie nie zwróciła uwagi, że ułożyłam włosy i skropiłam się odrobiną perfum za uszami, tak na wszelki wypadek... no, tak na wszelki wypadek.

— Och, Birdie! Nie jesteś taka głupia. Wiesz, o co mu chodziło.

— Carrie — wgrzyłam się w malinową flagę, aż od tego cukru zabolowały mnie zęby — nie łączy nas nic oprócz faktu, że oboje jesteśmy rozwiedzeni i mamy synów kujonów. To idiotyczne. A poza tym chyba trochę się pospieszyłaś z wyciąganiem wniosków. On tylko odprowadził mnie na zebranie, zaproponował, że poniesie magnetofon, i powiedział do widzenia. To wszystko. Fúj. Pamiętasz, jak ludzie nie chcieli tego brać nawet za darmo na kiermaszach ciast? Smakują dokładnie tak samo.

— Nie zmieniaj tematu. I nie rób takiej miny, Birdie! Ludzie się gapią!

— Mówisz dokładnie jak doktor Dan. Który zresztą zadzwonił dziś rano.

— Gnojek. Czego chciał?

— Najwyraźniej dzwoniła do niego Kelly i opowiedziała o moim małym... eee... wypadku. Napomknęła, że zachowuję się nieco dziwnie, co wcale nie jest prawdą, tak nawiasem mówiąc. No i oczywiście wygłosił wykład o tym, jak to okrywam go hańbą, i zagroził przyjazdem, jeśli nie będę się grzecznie zachowywać. Och, i zaznaczył, że być może narażam dzieci.

— Narażasz dzieci! Co za dupek! — Carrie tak mocno szarpnęła grzywkę, że o mało jej sobie nie wyrwała. Uśmiechnęłam się szeroko i wyrzuciłam Patriotycznego Lizaka. Kiedy już weszła na temat doktora Dana, wiedziałam, że na jakiś czas mam spokój.

— Narażasz dzieci — mruknęła, podrygując jak marionetka. — Coś takiego! Przecież ty jesteś najlepszą matką, jaką znam! Nikt przy zdrowych zmysłach nigdy nie oskarżyłby cię o coś podobnego! Czy on nie zdaje sobie sprawy, czego dokonałaś mimo jego wysiłków zmierzających do tego, żeby zrujnować wam ży-

cie i zmienić dzieci w nakręcane mechaniczne zabaweczki? Ten to dopiero ma tupet! I po tym wszystkim, co ci zrobił, po tym incydencie w drugiej klasie...

— Hmmm, mmmm. — Kiwnęłam głową, prawie nie słuchając, zadowolona, że Carrie gardłuje w mojej sprawie. — Ooch! — Wskazałam na kolejkę Amerykańska Sprawiedliwość. Kilkanaście osób stało w ogonku, cierpliwie czekając, żeby przejechać się ogromnym Dzwonem Wolności nad mostem Golden Gate, zanim wysadzą go terroryści. Pracownik w kostiumie Abe'a Lincolnatora pozo-
wał do zdjęć w cylindrze (który w grze wideo zmieniał się w karabin maszynowy) skromnie umieszczonym na głowie. — Przejedźmy się tym, Carrie! — Zaciągnęłam ją na koniec kolejki.

— Za co powinien zostać powieszony za paznokcie u nóg — ciągnęła bez chwili przerwy. — Żeby narobić ci takiego wstydu na oczach dzieci...

— Święta racja, dziewczyno. -I wtedy zobaczyłam Kelly i Harry'ego czekających w kolejce na przejażdżkę Amerykańskim Dinozaurem. Tworzyli piękną parę, musiałam to przyznać, oboje wysocy i jasnowłosi. Harry nachylił się do Kelly, pogładził ją po policzku, szepcząc coś, a ona skinęła głową, taka szczęśliwa, taka zadowolona, prawie zahipnotyzowana. A mnie podskoczył żołądek. Ponieważ przypomniałam sobie, że też się tak kiedyś czułam — całkowicie ogłupiona przez mężczyznę. To przerażające — i podniecające. Nie sposób się opamiętać. Można tylko mieć nadzieję, że mężczyzna okaże się uprzejmy, pełen szacunku i nie wykorzysta twojej chęci — potrzeby — pójścia za nim, dokądkolwiek go oczy poniosą.

— I on ma jeszcze czelność pokazywać się z nią na dorocznym gwiazdkowym przyjęciu SPD, jakby był czułym, kochającym rodzicem... — Carrie wciąż wierciła się obok mnie.

— Jasne. — Kelly i Harry zniknęli pochłonięci przez tłum. Starłam się nie panikować. Miała piętnaście lat, on siedemnaście. Nie pozwoliłby, żeby stało się jej coś złego. Prawda? Przygryzając wargę, wiedziona rozpaczliwą potrzebą zjedzenia ciastek „Dla mnie wolność lub śmierć z czekoladowym precelkiem”, o mało nie pobiłam człowieka w kostiumie Patricka Henry'ego".*²

² * „Dla mnie wolność lub śmierć” — pointa patriotycznej mowy Patricka Henry'ego z 1775 r.

Nagle poczułam to kołysanie z tyłu głowy. Za chwilę stanie się coś złego. Zamarłam, prawie krztusząc się ciasteczkiem. Jakimś sposobem spośród całego tego tłumu, hałasu i wirujących kolejek wyłowiłam wzrokiem szkraba wspinającego się na poręcz kładki dla pieszych jakieś siedem metrów nad ziemią.

— Tak strasznie mnie wkurza... — Słyszałam, że Carrie to powiedziała, zanim wystartowałam w takim tempie, jakby moje tenisówki miały napęd rakietowy. Manewrowałam wśród tłumu i skokami pokonałam schody prowadzące na mostek dokładnie wtedy, gdy dziewczynka prześlizgnęła się przez niewielką szczelinę w ogrodzeniu z siatki. Nie miałam szans, żeby się tamtędy przecisnąć. Bez namysłu wyciągnęłam prawą rękę i potężnym strumieniem płynu czyszczącego wykroiłam w siatce dziurę własnego rozmiaru. Przepchnęłam się przez nią i chwyciłam małą, mgliście zdając sobie sprawę z niewyraźnego śmiechu tłumu wokół nas. Zupełnie jakby oni poruszali się na zwolnionych obrotach, a ja z przyspieszeniem. Zgarnęłam małą ramieniem dokładnie wtedy, gdy kawałek płotu, do którego przywarła, oderwał się od miejsca zamocowania. Serce biło mi tak głośno, że w uszach miałam tylko jego łomot i ciężki oddech dziecka. Huśtając się na drugiej ręce, przerzuciłam nas za ogrodzenie, świadoma tylko jednego — ufności w jej poważnych zielonych oczach. Przez chwilę istniałyśmy tylko my dwie, zamknięte w uścisku, intymnym, mocnym. A potem wszystko dookoła jakby nabrało normalnej szybkości. Zdażyłam tylko uścisnąć lepką łapkę, zanim matka dziewczynki odwróciła się, by ją chwycić.

— Och, dzięki Bogu! — zawołała, sięgając, żeby mnie dotknąć, kiedy usiłowałam uciec. — Jak ja się pani odwdzięczę? Kim pani jest?

— Ja... ja...

Nagle otoczyli mnie ludzie.

— Widzieliście to?

— Jak ona to zrobiła?

— Kto to jest?

Kręciłam się w kółko unieruchomiona przez głosy, spojrzenia, głodny wzrok tłumu. Ktoś chwycił mnie za ramię. Ktoś inny pociągnął za bluzkę.

— Nikim nie jestem. To nieważne. — Sapałam, usiłując przepchnąć się przez tłum. — Zostawcie mnie! Idźcie się najeść Patriotycznych Lizaków czy coś!

— Ale proszę poczekać — usłyszałam za sobą wołanie matki. — Chcę wiedzieć, kto uratował moją córeczkę!

— To był Superman — oznajmił jeden z zebranych. Ludzie zaczęli się śmiać.

Zatrzymałam się. Odwróciłam, zmrużyłam oczy i rzuciłam chichoczącemu tłumowi Bezlitosne Spojrzenie. Przeszli się śmiać jak na komendę.

— Nie — oświadczyłam. — To byłam ja. Po prostu... po prostu mama. Ale wiecie co, my też potrafimy być całkiem super. — Potem się odwróciłam i potruchtałam w stronę kolejki Amerykańska Sprawiedliwość.

— Gdzie się podziewałaś? — Carrie odwróciła się do mnie i mrugnęła. — I co się stało z twoją bluzką? Podarłaś ją?

Zerknęłam na rękaw rozerwany od łokcia do nadgarstka. Ukryłam rękę za plecami.

— Och, musiałam po prostu... ee... pójść do łazienki. Pewnie O coś zaczepiłam. Hej! — Wyrwałam jej puste pudełko. — Zjadłaś wszystkie moje ciastka!

— Przepraszam. — Uśmiechnęła się szeroko, cofając przede mną, i wpadła prosto na Leksa Osborne'a, któremu towarzyszył gigantyczny ochroniarz z blizną nad lewym okiem. Gęste siwe włosy Leksa, tak szokujące u kogoś w tym wieku, powiewały na wietrze, jego przystojna opalona twarz pociemniała z troski.

— Widziałyście, co się stało? Słyszałem, że jakaś dziewczynka miała wypadek?

— Niczego nie widziałyśmy, prawda Birdie? — Carrie spojrzała na mnie. Wzruszyłam ramionami.

— Zgłoszono mi, że coś się dzieje, jakaś tajemnicza postać dorwała dziecko. Nie możemy dopuścić, żeby działy się tu takie rzeczy.

— Och, nie! To nie było tak! — Pokręciłam głową. — To znaczy może i coś widziałam, ale wyglądało na to, że dziecko jest w niebezpieczeństwie. Chyba ogrodzenie było uszkodzone.

Lex spojrzał na mnie, mrużąc oczy.

— Cóż, wygląda na to, że muszę przeprowadzić dochodzenie. Chodź, Lars. — Odwrócił się na pięcie, wyszarpnął komórkę i coś wyszeptał. Tylko ja to usły-

szalam: „Przekup smarkulę rocznym zapasem Patriotycznych Lizaków. To jej da nauczke — syknął Lex, torując sobie drogę wśród tłumu. Za nim szedł potężny ochroniarz. — Ale chcę wiedzieć, kto jeszcze tam był. I bez wymówek! Znajdź go. Ale już!”.

Z trudem przełknęłam ślinę. Potem chwyciłam Carrie i zaczęłam biec w przeciwną stronę.

— Chodź. Muszę już iść. Właśnie sobie przypominiana, że zostawiłam mięso w piekarniku!

— Ale jest dopiero pierwsza! — Carrie dyszała za mną. — Birdie! Zaczekaj! Dokąd lecisz? Co się stało? Nie chcesz zobaczyć, co będzie dalej?

Ale ja nadal biegłam na drżących, choć mocnych nogach, adrenalina pulsowała mi w żyłach, więc bez trudu przepychałam się przez ciżbę. Wzrokiem badałam park rozrywki, szukając niebezpieczeństwa. Kłopotów. Dzieci w potrzebie.

Leksa i jego olbrzymiego pomagiera.

Zauważyłam Martina przy stoisku ze słodyczami opychającego się lodami Lemoniada Wolności. Popędziłam do niego.

— Hej, mamó. Ciociu Carrie. Słyszałyście o bohaterze? Który uratował tę dziewczynkę?

— Pan Osborne go szukał — powiedziała Carrie.

— Rany. Czemu wszyscy zakładają, że to był mężczyzna? — mruknęłam. — Martin, widziałeś Kelly?

— Jest z Harrym. Powiedziała, że odwiezie ją do domu.

— Ty w każdym razie idziesz teraz ze mną.

— Mamó!

— Zaraz, co ci się stało, Birdie? — Carrie się na mnie gapiła. — Wcześniej nie zauważyłam, ale teraz widzę, że dzinsy też masz rozdarte. Ależ wyglądasz, jakbyś...

— Właziła na plot — ocenił Martin, wskazując na moje nogi. Spojrzałam w dół. Dzinsy miałam podarte, nogi pokryte zadrapaniami i zaschniętą krwią. Nagle

zdałam sobie sprawę z bólu, czułam się, jakby mnie przeciągnięto po ciernistym zagonie.

— Och. Au. Ee... — Poklepałam skaleczenie na kolanie. — A torebkę zostawiłam w domu...

Carrie i Martin po prostu patrzyli na mnie z otwartymi ustami.

— Bo mam w torebce plastry — poinformowałam ich, starając się odegnać łyzy frustracji. — I antybakteryjne chusteczki. Więc muszę natychmiast iść do domu. Proszę. Teraz. Czy ktoś mógłby zabrać mnie do domu?

Martin milczał. Długo i z uwagą patrzył na moje zadrapania i skaleczenia. Potem wziął mnie za rękę i poprowadził przez tłum.

Kiedy dotarliśmy do domu, weszłam na górę, żeby się przebrać, zabandażować rozcięcia i poszukać w apteczce morfiny. Niestety właśnie się nam skończyła, ale mieliśmy stary zapas aspiryny dla dzieci. Przeżułam więc jakieś pięćdziesiąt tabletek, splukując je kieliszkiem wina. A potem potknęłam się o kolejny stosik komiksów przed drzwiami łazienki. To była kropla, która przepełniła czarę.

— Martin! — wrzasnęłam pełnym głosem.

Brak odpowiedzi.

— Martinie Stanleyu Lee, o co chodzi z tymi komiksami?

Brak odpowiedzi.

— Dość tego, koleżko, w tym tygodniu nie ma kieszonkowego. W przyszłym tygodniu też nie. Jeżeli myślisz, że będę po tobie codziennie sprzątać... — Zgarnęłam je i otworzyłam drzwi do pokoju Martina. Już miałam rzucić komiksy na łóżko, kiedy spojrzałam na ten z wierzchu. Rano znajdował się przed moimi drzwiami. Zdziwiający *Spiderman* numer 301. Wzięłam go do ręki i wbrew sobie musiałam się uśmiechnąć. Oto dowód, że mój kochający rocka trzynastolatek o miękkich włosach w głębi serca wciąż pozostał małym chłopcem. Nadal kochał swoich superbohaterów, na przykład Spidermana przedstawionego, gdy frunie z wyciągniętą ręką, z której tryska jakiś płyn.

Jakiś płyn. Tryska z jego ręki. Badawczo przyjrzałam się rysunkowi. Potem uniosłam prawą rękę, przybrałam dokładnie taką samą pozę i uwaga! Wytrysnął z niej płyn.

Odłożyłam komiksy, chwyciłam kolejny ze stosu; ten w tajemniczy sposób pojawił się przed moją sypialną wczoraj. *Zadziwiający Spiderman* numer 46. Strzeżcie się gniewu *Desperata*! Był tam *Spiderman* walczący harpunem z jakimś złoczyńcą. Rękę wysuwał z za pleców, strzykał z niej płyn.

Ooch. Czegoś takiego nie próbowałam — strzału z za pleców. Ustawiłam się, naśladowując pozę z komiksu, i *voilà*! Z mojej ręki trysnął płyn. Zupełnie jak u...

Spidermana.

Stałam w pokoju syna i przyglądałam się plakatowi wiszącym na ścianach. Fantastyczna Czwórka pozowała w grupie przy szafie, Superman frunął nad moją głową przymocowany do sufitu nad łóżkiem, *Wonder Woman* ze swoim biustem Amazonki w napięciu czekała nad komodą.

A nad komputerem wisiał *Spiderman*, kołysząc się w powietrzu, jedną ręką obejmując blondynkę, drugą wyciągając przed siebie, strzelając płynem... no wiecie.

W odległym narożniku okna błysnęła pajęczyna. Ukucnęłam, machnęłam ramieniem jak na plakacie i strzeliłam swoim płynem czyszczącym, patrzyłam, jak łukiem przecina pokój, przed zniszczeniem pajęczyny chwytając drobiny słonecznego blasku. Znów poczułam w ramionach ciężar dziecka, które zaniiosłam w bezpieczne miejsce na kładce; tylko my dwie w naszym własnym małym świecie zagrożenia. Prawie zdarzyło się coś złego. I tylko ja miałam moc zdolną temu zapobiec.

Zgarnełam stos komiksów. Szurając nogami, poszłam korytarzem do swojej sypialni i zamknęłam drzwi.

I zaczęłam czytać.

Rozdział 4

Dzięki studiom nad przeciętnym superbohaterem, usłużnie opisanym w seriach komiksów (głównie reprintów) od roku 1930 do dnia dzisiejszego, dowiedziałam się następujących rzeczy:

Superbohater/ka posiada na ogół zapasik świetnych zabawek i broni, które mu/jej pomagają. (Muszę jednak postawić pod znakiem zapytania złoty gorset Wonder Woman. Wątpię, by jego jedyną funkcją było zapewnianie jej siły godnej Amazonki. To gorset Przecież nikt nie ma takiej szczupłej talii!).

Ci superbohaterowie, którzy nie urodzili się z mocami ani nie pochodzą z mitologii, często odkrywają swoje zdolności dzięki jakiemuś przypadkowemu zdarzeniu podczas badań naukowych, któremu zwykle towarzyszy wszędobylska błyskawica. Czasami ma w tym udział radioaktywność, szczególnie jeżeli dany superbohater urodził się po roku 1945.

Superbohater zawsze ma śmiertelnego wroga. Kogoś, czym wyłącznym życiowym celem jest pozbycie się superbohatera, i to tak staranne, żeby nie zostało z niego nic oprócz drobinek DNA. Przyznaję, że gdy dokonałam tego właśnie odkrycia, mina mi zrzędła.

A zrzędła mi dlatego, że gdy przeczytałam o Flashu i jego Straszny Wypadku Chemiczny, o usiłowaniach Clarka Kenta, by zachować posiadane moce w sekrecie przed przybranymi rodzicami, o strachu Petera Parkera, który po raz pierwszy musiał ratować Mary Jane przed jakimś strasznym losem, uświadomiłam sobie, że jestem superbohaterką. Ja. Mała Birdie Lee z Astro Parku w stanie Kansas.

— O do licha. — Odłożyłam ostatni komiks, wysączyłam resztę wina i przez chwilę tylko siedziałam, pozwalając, by pełna świadomość tego, co się stało podczas Straszego Wypadku ze Swifferem, obmyła mnie jak lodowata woda. Zadrżałam, zastanawiając się, czy kiedykolwiek jeszcze znajdę ciepłe bezpieczne miejsce. Potem podbiegłam do okna i z obawy, że złoczyńcy o gadzich nazwiskach już biorą mnie na cel, zaciągnęłam zasłony.

— O do licha — powtórzyłam. — I co teraz? — podniosłam komiks o WonderWoman, przez chwilę badawczo mu się przyglądałam, a następnie pobiegłam przed swoje duże lustro. Wzięłam głęboki wdech, oparłam pięści na biodrach i stanęłam w rozkroku. Wciągnęłam brzuch. Wypchnęłam pierś.

— Shazam — powiedziałam. — Do nieskończoności i dalej!

Potem wypuściłam powietrze i wszystko (biodra, nogi, brzuch i piersi) wróciło do swojej normalnej, ciastowatej i wyraźnie niesuperbohaterskiej formy.

— Spandeks — oznajmiłam swojemu odbiciu, które w odpowiedzi z namysłem kiwnęło mi głową.

W tym momencie usłyszałam hałas w kuchni.

— Martin?

— Mamo?

Chwyciłam konkretny komiks — Zadziwiający Spiderman numer 301. On właśnie znalazł się rano przed moimi drzwiami. Ktoś musiał go tam położyć. Ktoś musiał położyć te pozostałe przed drzwiami łazienki. I dotarło do mnie, że ktoś jest na dole i opycha się płatkami oreos.

— Martin?

-Hmmm?

— Możesz tu na chwilę przyjść?

— Mmmfwam prrmmmę dommhą...

— Nie mów z pełnymi ustami!

— Pffmmmszam!

— Przyjdź tu, proszę.

Głębokie westchnienie. Dudnienie stóp na schodach. Wreszcie pchnięciem otworzył moje drzwi i ujrzałam piaskowe włosy opadające na oczy, ramiona zgarbione pod zieloną wojskową kurtką.

— He? — Widać było czarne okruszki wokół ust. Zadrżała mi ręka, ale schowałam ją do tylnej kieszeni.

— Zauważyłam, że ostatnio ktoś zostawia pod moimi drzwiami komiksy.

— Tak?

— Czy ty jesteś tym kimś?

— Może. — Szurał butami po podłodze, zostawiając na niej wyraźny tłusty czarny ślad. Ręka mnie bolała i paliła, kieszeń dżinsów zrobiła się mokra i tak bardzo pragnęłam sobie na to pozwolić, być sobą, tym, kim teraz byłam, i usunąć ten ślad, wyjawić komuś swój sekret. Komuś, kto nie kazałby mi iść do lekarza ani dzwonić do byłego męża, komuś, kto by mi uwierzył. Komuś, kto czytał komiksy i rysował komiksy, porozumiewał się za pośrednictwem komiksów ukrytych pod komodą, pozostawionych przed drzwiami mojej sypialni, żebym odkryła... siebie.

— Czy próbowałeś mi coś powiedzieć, kochanie?

Wzruszył ramionami.

— Może coś o czymś, co robiłam, a ty to widziałeś?

— Nie wiem.

— Może chodzi o moją rękę? I o sprzątanie?

Ponownie wzruszył ramionami.

— Martin. — Usiadłam na łóżku. — Chodź tu.

Podszedł, szurając, oczy miał wbite w podłogę. Usiadł sztywno jak mały starszerek na parkowej ławce.

— Zostawiłeś te komiksy ze Spidermanem, jakbyś próbował mi coś powiedzieć. I chodzi o to, że ja też chyba mam ci coś do powiedzenia. — Wzięłam komiks z rysunkiem Spidermana lecącego w powietrzu z wyciągniętą ręką. — Czy to nie wygląda znajomo? Może widziałeś, że robię coś podobnego... och, nieważne. To głupie. Głupie, prawda? Za głupie, żeby w ogóle o tym myśleć. Sama nie wiem, co wyprawiam. Może Kelly ma rację. Może wasz tata ma rację. Może...

— Nie! — Martin tak mnie przestraszył, że umilkłam. Wpatrywał się we mnie szeroko otwartymi oczyma, młodymi, pełnymi nadziei i pragnienia, żeby mi uwierzyć. — Nie — powtórzył głosem cichszym od szeptu. — To znaczy, o

czym myślisz? Co chciałaś mi powiedzieć, mamó? Bo cokolwiek to jest, może zrozumieć.

Spojrzałam na swojego syna. Kiedyś myślał, że potrafię zmieniać noc w dzień. Byłam ostatnią osobą, którą widział przed pójściem do łóżka, i pierwszą po obudzeniu. Ja zawieszałam księżyc, wyczarowywałam słońce. Byłam jego idolką. A potem urósł.

Chodzi o jego ręce, pomyślałam. To jego, ręce do mnie przemówiły. Duże dłonie z wydatnymi kostkami, twarde, muskularne. Pamiętałam jego dziecięce rączki, takie miękkie i pulchne, z dołeczkami, tak małe, że mogłam objąć dłonią jego piąstkę czule, jakbym trzymała kurczątko, i spokojnie trzymać ją na wieki. Teraz te dłonie były większe niż moje. To one pewnego dnia obejmą moje drobne sękaty ręce, szybciej, niż nam się wydaje. Zostało niewiele czasu. O tym właśnie myślałam w tamtej chwili. Zostało niewiele czasu, żeby być jego idolką.

— No dobrze. — Zrobiłam wdech, wstałam. — Przyniesz szklanek mleka.

Martin nie zadawał pytań. Po prostu pobiegł na dół i dysząc, wrócił ze szklanką mleka.

— Postaw ją na komodzie.

Postawił.

— A teraz ją przewróć.

Wahał się przez moment; w końcu przez całe życie wysłuchiwał mojego gadania, żeby niczego nie rozlewać. Ale jego oczy, niebieskie i ufne, wpatrywały się w moje bez jednego mrugnięcia, kiedy zepchnął szklanek z komody. Potem cofnął się i patrzył.

A ja poczułam przebiegającą przez moje ciało falę dumy, płynącą przez kręgosłup i pierś, i ramiona, aż wystrzeliła z mojej prawej ręki połyskującym łukiem, silnym strumieniem płynu, który schwytał spadającą szklanek i wepchnął ją z powrotem na komode, zanim zdążyła spaść na podłogę i się potłuc. A tymi kilkoma kroplami, które chlapnęły na podłogę, zajęła się moja chwytna gąbczasta prawa dłoń, która zabrała się do dzieła, idealnie i finezyjnie łącząc ruch wirowy i szorowanie, na zakończenie dodając dramatyczny teatralny gest, który dosyć mnie zaskoczył. A potem przyszła moja kolej, żeby się cofnąć. I patrzeć.

— Jasna cholera — powiedział mój syn, moje maleństwo, z twarzą pałającą podnieceniem i niedowierzaniem oraz czymś, czego nie umiałam nazwać.

— Owszem, mój drogi. Jak powiedziałaś. Fajne, co?

— Zajebiste!

— Martin!

— Jakbyś była nadludzką maszyną — wybuchnął. — Wiedziałem! Wiedziałem cię wtedy wieczorem, ale nie byłem pewien, czy mi się nie wydaje, potem ten poranek w parku... to ty uratowałaś tę dziewczynkę, prawda?

— Tak. — Skromnie spuściłam głowę.

— Rany! Kiedy to się stało? Jak? Dlaczego?

— Nie wiem. — Uśmiechnęłam się szeroko, ponieważ właśnie się zorientowałam, co zobaczyłam w jego oczach: podziw. — Myślę, że to się zaczęło po tym wypadku w łazience.

— Tak, opary, to musiało być to. — Martin potrząsnął miękkimi włosami i zaczął chodzić po pokoju. — Jakiś wypadek chemiczny. Tak samo miał Barry Allen.

Barn- Allen?

— Flash.

— A, jasne.

— Co jeszcze umiesz robić?

— Trudno powiedzieć. Potrafię jakby wyczuwać różne rzeczy, na przykład kiedy ludzie pakują się w kłopoty. Głównie dzieci, jak dziś. Czuję coś, jakby wstrząs wzdłuż kręgosłupa, a potem się odwracam i wiem, że zaraz stanie się coś złego. I jak to powstrzymać. Och, i najwyraźniej posiadam umiejętność terroryzowania małych dzieci, bo wiem, co im chodzi po głowie.

— Superspiderozmysł. — Martin kiwnął głową, jakby dokładnie tego się spodziewał.

— He?

— Superspiderozmysł. Jak u Spidermana. Rozwinał się u niego po.

— Ugryzieniu radioaktywnego pająka! — Strzeliłam palcami. Martin z aprobatą skinał głową.

— Więc masz jakby supermamosmysł, prawda? No wiesz, mamy czyszczą różne rzeczy, wiedzą, kiedy dzieciaki pakują się w kłopoty, kiedy kłamią...

— Supermamosmysł — potwierdziłam. — Super!

— Coś jeszcze?

— No, głosy. Słyszę głosy. I nie jestem pewna, co to takiego.

— Głosy? Naprawdę? Masz supersłuch, jak Spiderman ma rentgenowski wzrok?

— Niezupełnie. Tak naprawdę nie słyszę, co ludzie mówią, chyba że... nie, to zabrzmiał głupio.

— Co? — Martin usiadł obok i skrzyżował ręce na piersiach. Wyglądał wtedy dokładnie jak doktor Dan, co do ostatniego dołączka w policzku.

— No więc słyszę ludzi nagranych na taśmie, ale nie słyszałam ich na zebraniu. Z tym wyjątkiem, że słyszałam radio Carla... pana Sayersa... chociaż...

— Co?

— Zaczekaj chwilę. — Chwyciłam magnetofon ze stolika przy łóżku i wciśnęłam „play”. — Posłuchaj tego. Co słyszysz?

-Jakaś pani gada o sprawach SPD. Słyszę, że ciocia Carrie nazywa ją suką. Słyszę...

— Ale czy słyszysz te inne głosy? — Doszłam dokładnie do tego miejsca, gdzie Marge mówiła o mrożonym makaronie.

-Nie.

— Hm. — Podrapałam się po głowie. — „Birdie ładnie dziś wygląda, prawda?”. Ups! — Zacerwieniłam się i wyłączyłam magnetofon.

— Co „ups”?

— Naprawdę niczego nie słyszałaś?

Pokręcił głową.

— Dobrze.

— Zrób to jeszcze raz — nalegał Martin z zawstydzoną miną.

— Co takiego?

— Ten jakby wyrzut w stylu Spidermana.

— Ale nie ma nic do sprzątanania.

— Cóż, ty jesteś dobra w sprzątananiu, a ja nie najgorszy w robieniu bałaganu!

— To prawda. — Uśmiechnęłam się do swojego syna, który wstał, wziął mnie za rękę i wyprowadził mój talent z ukrycia. Spędziliśmy razem niezapomnianą godzinę. Martin rozrzucał, a ja sprzątałam. Całkiem po prostu. I nie pamiętałam, kiedy równie dobrze się bawiłam.

— Powiedz mi — zapytałam, pozbywając się szczególnie wymyślnej kombinacji żelu do włosów, ziemi doniczkowej i masła orzechowego — co teraz.

— Hm... — Martin ustawiał właśnie piramidę z otwartych po— jemniczków na farby do modeli. Chwycił piłkę do bejsbolu, starannie wymierzył i rzucił.

— Co mam teraz robić? — spytałam, strzelając płynem czyszczącym na wszystkie strony. Wyłapałam całą paletę kolorów, zanim krople dotarły do podłogi.

— No jak to co? Pewnie czyścić różne rzeczy. Ratować dzieciaki. — Martin wzruszył ramionami i pociągnął solidny łyk coli. Potem zgniótł puszkę w dłoni, posyłając strumienie napoju na wszystkie strony.

— Ale jak? — Wychwyciłam je błyskawicznie prostym machnięciem dłoni. — Mam przemierzać świat jak ten facet z Kung-fu, szukając miejsc, gdzie coś się dzieje? Czy po prostu zachowywać się zwyczajnie?

— No, to by chyba było marnotrawstwo, co?

— Tak właśnie myślałam. I co z całą resztą? Podśluchiowaniem, dostrzeganiem różnych rzeczy, doprowadzaniem dzieci do łez?

— Z wielką władzą przychodzi wielka odpowiedzialność — oznajmił sentencjonalnie Martin, idealnie imitując doktora Dana (czego rozsądnie udało mi się nie skomentować).

— Wiem, wiem. Głupi Peter Parker. — Klapnęłam na przeznaczony do siedzenia wypełniony plastikowymi kulkami worek.

— Hej!

— Co hej?

— Umiesz latać?

—Hej?

— No wiesz, według większości komiksów wydawanych przez Marvela i wszystkich z DC powinnaś umieć latać. Może mogłabyś czasem podlecieć ze mną do szkoły? Ten fiut w autobusie, Jamie Flugał, ten kompletny dupek, który zawsze się mnie czepia, poszczałby się w gacie, gdyby to zobaczył!

— Martin, jak ty się wyrażasz! Latać? — O tym nie pomyślałam. Czy umiałam latać? Ja? Birdie? Dawno, dawno temu byłam czymś brązowym strzyżnikiem. Może to znak? — Nie wiem. — Popatrzyłam na Martina, który poblądł z emocji. To z pewnością było coś znacznie poważniejszego niż strzelanie z palców płynem czyszczącym. — Może powinnam spróbować?

— Jasne! Chodźmy! — I Martin podbiegł do okna, po czym je otworzył.

— Rany. Zaraz. Chwileczkę. — Podeszłam do parapetu i spojrzałam na ziemię, od której dzieliło mnie kilkadziesiąt metrów, przynajmniej tak się wydawało moim pełnym powątpiewania oczom. Do tego jeszcze sypialna Martina znajduje się nad patio. Ułożonym z płyt chodnikowych. Stoją na nim ogrodowe meble. I kwietnik. Z ostrymi zardzewiałymi rogami. Które prawdopodobnie by mnie zraniły, gdybym jakimś sposobem się na nie nadziała.

— Może powinniśmy spróbować znacznie... niżej — zasugerowałam.

— Dlaczego? Boisz się? — Martin wydawał się szczerze zdumiony, opadła mu szczęka, a brwi uniosły się tak wysoko, jak tylko mogły. Chyba w tamtej chwili zapomniał, że nadał jestem jego matką, tą samą kobietą, którą przerażają pająki, karaluchy i gąsienice, kobietą, która wciąż śpi przy zapalanej nocnej lampce.

— Nie, nie, nie boję się. Niezupełnie. Raczej jestem ostrożna. Tak. Ostrożna! Nie chcemy się zdradzić przed sąsiadami, prawda? Co by było, gdyby pan Shoemaker wyjrzał przez okno i zobaczył, jak latam nad jego domem?

— Słusznie, słusznie — Martin z namysłem skinął głową.

— A może — rozglądałam się po podwórzu — ze szczytu tylnego ganku?

—Mamo. Daj spokój. .

— No dobra. Co powiesz na dach ogrodowej szopy?

— To się powinno udać! — I Martin już zbiegał ze schodów i wypadł na dwór szybciej niż Flash.

A ja poszłam za nim, bo chęć odkrycia kolejnej nowej supermocy przewyższała pragnienie zachowania czystego konta w zakresie połamanych kości. I prawdę mówiąc, nie mogłam się doczekać, żeby to zrobić — polecieć. Nie mogłam się doczekać chwili, gdy poczuję się lekka, gibka i... pierzasta. Nie mogłam się doczekać, kiedy popłynę nad moim skrawkiem świata i popatrzę na wszystkich z góry, z pewnym politowaniem. Ale przede wszystkim nie mogłam się doczekać, kiedy znów poczuję się młodo. Bo czy umiejętność latania nie zapewnia, no, może niezupełnie nieśmiertelności, ale czegoś zbliżonego do wiecznej młodości? Nigdy nie wyobrażamy sobie, że fruwać starsi ludzie, prawda? To zawsze są młodzi — drobne rosyjskie gimnastyczki, Piotruś Pan, ten śmiały młody człowiek na trapezie — to ich wyobrażamy sobie tańczących w powietrzu "bez obaw czy lęków, które mogłyby zatrzymać ich na ziemi.

I właśnie wtedy, patrząc w górę, w puste bezchmurne niebo, gdzie mieszczą się wszystkie marzenia, które bałam się zrealizować w całym swoim wcześniejszym życiu, zapragnęłam pofrunąć.

— Dobra, mamo! — Martin zamachał ze szczytu ogrodowej szopy. — Właz na górę.

— Ee, jak?

— Drabina jest z tyłu!

— Okej. — Dotarłam do drabiny. Sprawdziłam, czy solidnie opiera się o szopę. Zrobiłam krok w górę. Zastanowiłam się, ile czasu minęło, odkąd wspinałam się na drabinę. Uznałam, że ostrożnie licząc, jakieś czternaście lat.

Ale mój syn czekał na mnie tam na górze. I chciałam pofrunąć.

— Cześć, kochanie. — Stęknęłam, przełaząc przez najwyższy szczebel.

— Świetnie tu jest, co? — Obejrzeliśmy podwórze z tyłu: ogród warzywny zarośnięty chwastami, miejsce za garażem, dokąd zanosiliśmy różne sprzęty, żeby dokonały żywota. Widziałam stary ekspres do kawy i maszynę do szycia, którą matka dała mi kiedyś na Gwiazdkę.

Widziałam tył domu, patchwork niedobraniych zasłon, kratę z pnącym bluszczem, zestaw mebli ogrodowych ze spłowiałymi poduszkami w paski.

I wszystko to wyglądało bardzo kojąco. Przytulnie. Domowo.

— Często tu przychodzisz? — Dołączyłam do Martina, starannie unikając patrzenia w dół, poza krawędź dachu.

— Aha — przyznał z pełnym zadowolenia prychnięciem. — Ciagle. Lubię to.

— I co tu robisz całkiem sam?

— Po prostu myślę. O różnych rzeczach. Mężczyzna potrzebuje czasami chwili tylko dla siebie, mamó.

— Och. — Usta mi drgnęły, ale wciągnęłam policzki i udało mi się powstrzymać uśmiech. — Nie wiedziałam.

— No cóż. Bo wiesz, z tobą i Kelly... chyba potrzebne mi miejsce, gdzie mogę po prostu zachowywać się po męsku.

— Pewnie tak. — Zmarszczyłam brwi, kiedy odwrócił twarz. Mój syn. Nie był gadatliwy, wydawało się, że poza trampkami i hamburgerami niczego specjalnie nie pragnął. Ale tu się pomyliłam. Była jedna ważna rzecz — czy raczej osoba — której potrzebował. I nie potrafiłam zrobić nic, co mogłoby mu to zapewnić, nawet teraz, gdy zostałam superbohaterką.

— No to jak? Zamierzasz po prostu zeskoczyć?

— No jasne. — Wstałam, nieco się chwiejąc. A potem spojrzałam w dół.

Naprawdę nie było zbyt wysoko. Gdybym przypadkiem spadła. Najwyżej półtora metra czy coś takiego. No może trzy. Nie więcej. Trzy metry. To wszystko. I trawa w tej części podwórza była ładna i bujna... co przypomniało mi, że

Martin nie skosił jej w tym tygodniu. Ale nie zamierzałam teraz poruszać tej kwestii.

— Może zejdziesz na dół, tak na wszelki wypadek?

— Jaki wszelki wypadek?

— No wszelki, wiesz. Jakby mi się nie udało?

— Ależ mam. Uda się. Jesteś teraz superbohaterką. — w jego głosie brzmiała taka spokojna pewność, taka ufność. Nie było żadnego problemu. Potrafiłam latać. Sama prawie zdołałam w to uwierzyć.

— No, w każdym razie lepiej bym się czuła. Okej?

— Okej. — Błyskawicznie zsunął się po drabinie. — Dobra, mam. Już jestem! — Pomachał do mnie z bezpiecznego miejsca na twardym gruncie. — Ruszaj!

— Jasne. Ruszam — wyszeptałam. — Okej! — Zamachałam. Uniosłam rękę nad głowę. Zgięłam kolana. Przechyliłam się w przód.

Spadłam na ziemię.

— Nic ci nie jest? — Martin stał jak wrośnięty w tym samym miejscu, najwyraźniej zbyt zaskoczony, żeby się ruszyć.

— Taak... — Podniosłam się. Na kolanach dzinsów miałam ogromne plamy z trawy, których pozbyłam się jednym ruchem palców.

— Nie poleciałaś.

— Tak, wiem.

— Jak to?

— Pojęcia nie mam. — Sprawdziłam nogi i ręce, potrząsając nimi, idąc kawałek. Wydawało się, że nic nie jest złamane, chociaż wszystko mnie bolało.

— No wiesz, może źle się do tego zabrałaś.

— To może mnie poinformujesz, jak to się robi. Chciałabym wiedzieć.

— Rany, mam, nie wściekaj się na mnie. To nie moja wina.

— Przepraszam. Przepraszam, kochanie. Wiem. Po prostu... no więc, co teraz powinniśmy zrobić?

— Spróbować jeszcze raz? Hę? — Martin pokręcił głową.

— Och. Słusznie. — Z powrotem wspierałam się po drabinie. Martin został na dole, chodząc niecierpliwie jak ojciec czekający na poród.

— No dobra, mamó. Myśl. Co robisz, zanim wystrzeli twój płyn czyszczący? Co mówisz, o czym myślisz?

— O niczym. Nie wiem. Widzę bałagan, a potem po prostu na niego wskazuję i wiem, że zniknie. Widzę, jak znika, wszystko robi się czyste, jak nowe.

— Dobra. Wspaniale! Więc po prostu zobacz siebie, jak fruniesz. Wskaż w niebo i zobacz samą siebie, gdy fruniesz, a potem leć!

— To się może udać. — Stałam prosto, wskazałam na niebo, zobaczyłam siebie unoszącą się nad drzewami...

Zobaczyłam siebie spadającą na ziemię. W zwolnionym tempie. Miałam dość czasu, żeby policzyć guziki na bluzie Martina — siedem.

— Rany. — Martin gwizdnął chrapliwie. — To musiało boleć.

— Tak. Owszem, bolało. — Jeszcze raz się podniosłam i błyskawicznie usunęłam trawiaste plamy z tenisówek. — Czy w ogóle przyszło ci do głowy, że może nie będę w stanie latać?

— No jasne. To znaczy Batman nie lata.

— Batman nie lata? No to czemu mi nie powiedziałeś? Dzięki, Martin. To nie każdy superbohater potrafi fruwać, huścić się na linie oraz skakać?

— Nie każdy. Wszystko zależy od ich mocy. I technicznie rzecz biorąc, Batman nie ma prawdziwych mocy, ale naprawdę niezłe gadzety, do tego trenował sztuki walki i ma lokaja imieniem Albert.

— Cóż, to wiele wyjaśnia. Lokaj? Skąd kogoś takiego weźmiemy?

— Chyba trzeba się urodzić w bogatej rodzinie, być świadkiem zabójstwa rodziców, a potem wszystko odziedziczyć.

— Och. — Usiedliśmy razem w wysokiej trawie. Spojrzałam w górę, w niebo, i przepełniła mnie tęsknota i żal po marzeniu, z którego nawet nie zdawałam sobie sprawy. Do tej pory. — Może... może później odkryję, jak się lata? Czy coś takiego się wydarzyło?

— Chyba tak. Czasami superbohater nabiera siły.

— Dobrze — wyszeptałam.

— Wiesz — Martin pokręcił głową, włosy wpadły mu do oczu — nie mogę uwierzyć, że ze wszystkich ludzi, których znam, akurat tobie trafiają się moce superbohatera. No bo wiesz, bez przesady.

— To znaczy?

— To znaczy, że jesteś mamą. Tak naprawdę to nie za wiele robisz. Po prostu sprzątasz i tak dalej. Nie jesteś wcale silna, nawet nie umiesz zmienić żarówki w lampie na ganku, zawsze mnie zmuszasz, żebym...

— Twoim zdaniem każę ci to robić dlatego, że sama nie potrafię? — Zmrużyłam oczy.

— No wiesz, to znaczy potrafisz. Prawdopodobnie. — Uniósł podbródek, który przez chwilę wyglądał na silny i mocno zarysowany, zupełnie jak u jego ojca. Zupełnie jak u mężczyzny.

— Nie ma tu żadnego „prawdopodobnie”, koleżko. Nie zapominaj o tym. Ale to wciąż pozostaje twoim, nie moim obowiązkiem.

Zerwał źdźbło trawy i wetknął między przednie zęby. — Więc jak się będziesz poruszać?

— He?

— Jak się będziesz dostawać na miejsce przestępstwa? Jak będziesz ścigać bandziorów?

— Jakich bandziorów?

— Tych, których musisz złapać. Teraz jesteś superbohaterką, mamo. Pamiętaj, co powiedziałem? „Z wielką władzą łączy się wielka odpowiedzialność”.

— Głupi Spiderman.

— No więc jak się będziesz przemieszczać?

— Kochanie, nie wiem. Chyba po prostu będę musiała jeździć tym. — I wskazałam na swojego minivana. Który był nowy. Kiedyś. Teraz pozostała tylko rdza, trudności w jeździe po lodzie i jakieś osiemdziesiąt pięć tysięcy mil na liczniku.

— Tym? — Martinowi załamał się głos. — Och nie. W życiu sobie nie poradzisz. Potrzebujesz czegoś w rodzaju batmobilu.

— Cóż, nie mam lokaja, pamiętasz? Ani nie odziedziczyłam milionów. Mamy, co mamy, i będziemy musieli sobie poradzić.

— O rany. Już sobie wyobrażam, jak pyrkasz tym gratem za bandziorami.

— Nie podoba mi się ta rozmowa o bandziorach. Zaczynam się robić nerwowa. — Zadrżałam wśród trawy.

— Ale będziesz musiała mieć śmiertelnego wroga.

Pomyślałam o Leksie, jego zwalistym pomagierze i poczułam lekkie mdłości. Chociaż mogło mi być niedobrze po aspirynie dla dzieci pomieszanej z winem. — Może teraz o tym nie myślm. Będziemy się tym martwić we właściwym czasie.

— Okej. A co z twoim strojem? Jakiego rodzaju kostium chcesz...

— Mamo? Martin? — Usłyszeliśmy, jak Kelly trzaska drzwiami w domu, wróciła z parku.

— Kel? Hej, Kelly, tutaj...

Zacisnęłam dłoń na ustach Martina.

— Zaczekaj — powiedziałam. — Pomyśl tylko. Jesteś moim zaufanym adiutantem, zgadza się?

Skinął głową, w oczach mignęło mu nieśmiałe zadowolenie.

— Czyli mogę ci zaufać. Ale swoją tożsamość muszę zachować w tajemnicy, zgadza się? Jak cała reszta. Peter Parker nie zdradza ciotce May, że jest Spidermanem, prawda?

Martin zaprzeczył ruchem głowy.

— Okej. Dlatego nie mówmy nic Kelly, dobra? Nie możemy pozwolić, żeby wszyscy wiedzieli. A Kelly, cóż, może nie zrozumieć tego tak jak ty. Może...

— Chcesz powiedzieć, że może wygadać tacie?

— Owszem — westchnęłam. — Dlatego na razie zachowajmy to w tajemnicy, dobrze? — Ośmieliłam się objąć syna ramieniem. A on się nie odsunął.

— Okej, mamó. To znaczy... Supermamó.

— Och, nic mi o tym nie wiadomo. — Ale uśmiechnęłam się od ucha do ucha. Supermamó. Słyszeliście? To byłam ja. Mój syn właśnie to stwierdził.

— To był miły dzień, prawda? — Martin ruszył w stronę domu, a ja poszłam za nim, ale wolniej, z nogami wciąż sztywnymi i zgiętymi po silnym zderzeniu z ziemią.

—Był.

— Możesz mnie czasem odebrać ze szkoły? W ramach tajnej misji czy coś? Albo może będzie wielki wyciek chemiczny i będziesz potrzebowała pomocy. Albo możesz wysłać Jamiego Flugala, tego kompletnego dupka, do superkąta! Super! Umiesz to robić? Posyłać do superkąta?

— Nie wiem. Nigdy nie próbowałam. Jest masa rzeczy, których jeszcze nie próbowałam.

Zmierzchało. Kelly zapaliła światło w kuchni, latarnię morską, która miała nas poprowadzić do domu. Martin truchtał przede mną, znikając w ciemnościach, ale wciąż go słyszałam.

— Co jeszcze robisz... och, wiem! Zrzedzisz! Cały czas zrzedziłaś, jeszcze przed tym. Myślisz, że będziesz urządzić jakieś super— zrządzenie? Ciekawe, jak by to było. Mogłabyś to wypróbować na mnie, wiesz. Nie miałbym nic przeciw. Jak chcesz, mogę być próbnym złoczyńcą. To by było super! Och... superlanie! To by było boskie! Chociaż to może wolałabyś wypróbować na kimś innym...

— Może.

Widziałam, jak Kelly wyjmuje talerze i sztuce, nakrywa stół do kolacji. Uśmiechała się do siebie, a ja zastanawiałam się nad tym, jaki sekret hołubi. Mia-

łam nadzieję, że jakiś dobry, czuły. Taki do umieszczenia dziś w nocy pod poduszką, żeby pomógł nabrać kształtu snom.

— I superuziemienie! Rany! To by mogło być fantastyczne! Tylko nie próbuj tego na mnie, dobrze mam? Superuziemienie! Rozkoszne...

— Uhm. — I uśmiechnęłam się w ciemnościach do swojego syna, ale tego nie zobaczył.

TLR

Rozdział 5

DZIEWCZYNIKA URATOWANA PRZEZ TAJEMNICZĄ

MAMĘ! — krzyczał nagłówek.

„Wielkie otwarcie Parku Patriotów Zakładów Nowy Kosmos zepsuł wypadek, który mógł się okazać tragiczny. Na szczęście sytuację uratowała pewna kobieta — znana tylko jako ktoś w rodzaju supermamy. Przeskoczyła przez zabezpieczające ogrodzenie i uratowała dziewczynkę, której upadek z pewnością zakończyłby się śmiercią. »Całe szczęście, że znalazła się ta bohaterka — powiedział Lex Osborne, człowiek, który dorobił się milionów, i dyrektor generalny Zakładów Nowy Kosmos.

— Pragniemy tylko, żeby się ujawniła, abyśmy mogli należycie jej podziękować. Bezpieczeństwo i świętość rodziny są dla Nowego Kosmosu sprawą priorytetową, a ten bezinteresowny akt matczynej miłości zasługuje na nagrodę«.

Dziewczynka, trzyletnia Hannah Hayes, ma się dobrze. Nie wiadomo, jak przedostała się przez ogrodzenie zabezpieczające. Trwa śledztwo w sprawie tego wydarzenia".

TOALETA NA DWORCU AUTOBUSOWYM ZYSKUJE W NOCY NOWE OBLICZE — oznajmiał kolejny nagłówek kilka dni później.

„Zdumieni urzędnicy działu transportu zastanawiają się, jak i dlaczego ktoś wszedł do budynku ostatniej nocy i wyszorował łazienkę tak, że lśniła jak nowa. »Nawet krany zostały wypolerowane. A pisuary — o rany! Nie miałem pojęcia, że były z białej porcelany« entuzjasmował się pełen wdzięczności Dean Kimball, szef sprzątaczy".

TAJEMNICZA KOBIETA WKRACZA NA SEKSPARTY NASTOLATKÓW — trąbił następny.

„»Koleś, byliśmy na parkingu przy szrocie, kumasz? — oświadczył Darren Sorkin, uczeń ostatniej klasy liceum. — No i nagle zjawia się ta wariatka w minivanie, — ciśnie na klakson. Zaczęła pukać do wszystkich wozów — stary! Bo wiesz, jak bryka bryka, to się nie puka. Ale ona i tak pukała. I krzyczała: *Wiem, co tam robicie! Jesteście za młodzi na takie zachowanie! Pomyślcie o chorobach,*

młodzi ludzie. Pomyślcie o AIDS! A myśmy, jakby, no wiesz, chcieli, żeby baba wyluzowała. Ale ona nas stamtąd wywlokła i powiedziała, że wygada wszystko naszym rodzicom, jeżeli z mety nie skończymy. No i nie wiem, człowieku, ale coś było w jej spojrzeniu. Nie czułem się taki winny, od kiedy miałem sześć lat i ukradłem mamie pieniądze na autobus».

Zapytany, jak wyglądała tajemnicza rzeczniczka ochrony zdrowotnej, pan Sorkin odparł: »Dziwnie, człowieku. Znaczy miała te wszystkie torebki na zamek pełne różnych rzeczy — mokre chusteczki, nitka do zębów, plastry. I taką dziwną pelerynę z poszewki na poduszkę. A, i na głowie papierową torbę z wyciętymi dziurami na oczy«".

— Muszę się postarać o lepszy kostium — mruknęłam, składając gazetę.

— Co? — Carrie podniosła wzrok znad zaczytanego egzemplarza Interpretacji snów.

— Nic! — Schowałam „Astro Daily World" wśród stron „National Enquirer" z tego tygodnia. — Tylko ten artykuł, sama zobacz!

— Birdie. — Carrie ciężko westchnęła i wróciła do swojej książki.

GIGANTYCZNE KULE PTASICH ODCHODÓW ZAGRAŻAJĄ OKOLICY — CZY WINĘ ZA TO PONOSI ZŁOŚLIWY SUPERBOHATER?

„Zdaniem pani Elmore Duffey z Shakerville w Kentucky nagłe pojawienie się ptasich ekskrementów w kawałach wielkości piłki nie jest żadną tajemnicą. »To ten ptakoczek, co mieszka w tych mieszkaniach — oświadczyła drobna kobieta, babka dwanaściorga wnuków. — Myśli, że mu to ujdzie na sucho, ale nie wie, że kupiłam se teleskop w Wal-Marcie. Co jak co, ale wiem, o co mu idzie. Wypije pięćdziesiątkę jacka danielsa, a potem se idzie i wszędzie lata, chichra się przy tym po diabelsku. A potem — chlup! Ale trzeba powiedzieć, że coraz lepiej mu idzie z tym celowaniem. Widziałam, jak wcelował w kota Portillów. Bidna Fifi! Dostała w czubek głowy. Pijaczysko i drań z tego superbohatera«".

Zachichotałam.

— Hej, Carrie; posłuchaj tylko... — Ale po chwili przestałam się śmiać. Przyjrzałam się uważnie rozmazanej fotografii mężczyzny ze skrzydłami stojącego za wpółprzymkniętymi drzwiami, z ręką uniesioną w stronę aparatu, kiedy machał. Potem cichutko złożyłam i schowałam gazetę.

— Dzień dobry — powiedziałam, gdy klientka rozładowywała wózek. Włączyłam taśmę przy kasie i zaczęłam podliczać. Zatrzymałam się przy paczce orzeszków. Pochyliłam głowę w stronę skanera. Uśmiechnęłam się.

— W piątek będzie wyprzedaż, dwa za dolara — wyszeptałam.

— Ochhh! Birdie, dziękuję. Po prostu... mogłabyś może odłożyć je za mnie na miejsce?

— Z przyjemnością!

— Birdie, czemu masz ostatnio taką długą kolejkę klientów? Hej, ludzie, ta kasa jest otwarta! — Carrie zamachała rękoma całkiem sama przy kasie.

Sześcioro stałych klientów przy moim stanowisku tylko się uśmiechnęło. Nikt się nie ruszył.

— Nie mam pojęcia — odparłam, skanując karton lodów. Skaner zapiszczał, cienki głosik, który tylko ja mogłam usłyszeć, zdradził mi tajemnicę. — W przyszłym tygodniu ta marka będzie tańsza o pięćdziesiąt centów — wyszeptałam.

— Birdie, jesteś aniołem! — Pani Townsend, o której z całą pewnością wiedziałam, że korzysta z pomocy społecznej, pochyliła się i chwyciła mnie za rękę. — Niech cię Bóg błogosławi.

— Nie ma o czym mówić — powiedziałam, nie przerywając skanowania. — To mój obowiązek!

— Okej, więc co masz?

— No wiesz, tak sobie bazgrałem na zajęciach klubu rysunkowego — powiedział Martin, przyciskając notatnik do piersi. Byliśmy w garażu, naszej tajnej kryjówce. Kelly nigdy nie postawiła swojej wypielegnowanej stopy wśród wszystkich tych zardzewiałych narzędzi i pajęczyn, oświetlonych samotną żarówką zwisającą na kablu z krokwi.

— Tak? No to pokaż, pokaż!

— Zaczekaj, mamó. — Martin uśmiechnął się szeroko, przeciągając chwilę niepewności. — Muszę najpierw wyjaśnić parę rzeczy. Po pierwsze, wiem, że chciałabyś wyglądać ładnie, ale spójrzmy prawdzie w oczy. Nie jesteś Wonder Woman. Ani Supergirl. Ani Batgirl. Ani...

— Dobra, dobra. — Uniosłam rękę. — Rozumiem. Wciąż jestem czterdziestoletnią matką dwójki dzieci. To co, żadnych krótkich spódniczek? Żadnych staników wysadzanych drogimi kamieniami?

— Mamo! Fuuu!

— Przepraszam, co dalej?

— No, następna sprawa jest taka, że kostium superbohatera jest bardzo ważny. Musi być łatwy do narysowania w komiksie, ale dość praktyczny, żeby wytrzymać walkę i takie tam. I powinien nawiązywać do pochodzenia bohatera, na przykład peleryna Supermana jest zrobiona z kocyka, w który zawinęli go rodzice, kiedy wkładali go do rakiety, którą odleciał z Kryptona tuż przed wybuchem, zanim wszyscy się usmażyli. Więc starałem się o tym pamiętać.

— Pokaż mi, pokaż! — Sięgnęłam po notatnik, ale klepnął mnie w rękę.

— Ostatnia sprawa: ważne jest zachowanie tajemnicy. To znaczy Superman wygląda dokładnie jak Clark Kent, oprócz okularów i tego loka na czole. Moim zdaniem ludzie w Metropolis muszą być dosyć tępi, skoro nie wiedzą, że to Superman. Uważam, że w Astro Parku są sprytniejsi, więc musimy być ostrożni. No i wiesz, jest tata. On na pewno nie może się dowiedzieć. Musiałem się nieźle wysilić.

— Martin! Pokaż mi to! Ta niepewność mnie zabije!

— No dobrze. — Martin zaczął przerzucać strony notesu, ale potem się zawahał. — Pamiętaj, mam tylko trzynaście lat — powiedział nagle zawstydzony.

— Ale jesteś bardzo utalentowanym trzynastolatkiem. — Uśmiechnęłam się i zmierzwiłam mu włosy.

— Mamo! — Wygładził fryzurę. — Okej. Proszę! — I zaprezentował mi pierwszą artystyczną wizję mnie. Supermamy. W całej mojej macierzyńskiej chwale.

Ubrana w zieloną podomkę w kolorze swiffera, z ogromnym fartuchem z wielkimi kieszeniami, wiązany w pasie, rysunkowa ja miałam na szyi pojedynczy sznurek pereł, w uszach kolczyki i szpilki na nogach. Na wyraziście płaskiej piersi (lekka dowolność ze strony artysty, której nie skomentowałam) znajdowało się duże pomarańczowe „S”. Twarz Supermamy zakrywała zwykła czarna ma-

ska, taka jak u Samotnego Jeźdźca, tylko jej końce nieco wyginały się w górę, co przypominało kocie okulary popularne wśród starszych pań. Uzupełnienie stroju stanowiła mała pelerynka ze ścierki, dość niegustownej, z frędzlami, przytrzymywana dwiema wielkimi klamerkami do bielizny.

— Wyglądam jak June Cleaver*³ na sterydach — orzekłam z bólem serca. Mogłam sobie wyobrazić, co powiedziałyby o tym kostiumie Wonder Woman. Jej był taki szykowny! (Nawet z gorsetem).

TLR

3 June Cleaver — postać z amerykańskiego serialu komediowego *Leave It to Beaver* z lat 50.

— Dokładnie! To pewnie najślawniejsza mama na świecie i skoro twoje moce są dokładnie takie jak jej, tylko jakieś dziesięć milionów razy większe, pomyślałem, że to byłby dobry pomysł. Bo wiesz... spójrz tylko! Każdy, kto ma chociaż pół mózgu, pozna, że to Supermama! A to naprawdę ważne, rozumiesz. Twój image musi być rozpoznawalny.

— Ale jak mam walczyć z przestępczością na wysokich obcasach?

— Och, pomyślałem o tym. Poduszeczki doktora Scholla!

— Och. A co z tymi perłami? Jak zdołam je w porę założyć? Widzę tu nadmiar dodatków.

— Nie podoba ci się? — Martin się zgarbił i wepchnął ręce w kieszenie wojskowej kurtki.

— Och, kochanie, nie! Oczywiście, że mi się podoba! Jest wspaniały! Naprawdę podobają mi się te klamerki do bielizny... to ładny akcent. Dokładnie odpowiednia dawka humoru!

— No wiesz, pan Sayers trochę mi pomógł z tą częścią.

— Tak? — Carl to widział? Pomógł zaprojektować? Dla mnie? Ale przecież nie wiedział, że dla mnie. Myślał, że chodzi o kolejny komiks, nad którym pracuje Martin. Ale jednak. Po plecach przemknął mi lekki dreszcz na myśl, że przyłożył do tego rękę, do stworzenia mojej nowej tożsamości.

— Och, kochanie. — Wyciągnęłam ręce do syna i szybko go uścisnęłam. — Jest wspaniały. Naprawdę. I co teraz?

— Cóż. — Wywinął się z mojego uścisku. — Chyba robisz kostium.

— Hmm. — Wyciągnęłam rysunek w kierunku żarówki. — Jakiego rodzaju materiał miałeś na myśli?

— No, coś przemysłowego, jak szmatki do sprzątnia czy coś.

— Jak tkane szmatki do kurzu?

— Tak... coś w tym rodzaju! To by było super, co? Cały brud po prostu by do ciebie przylegał, jakbyś była Magnetem!

— Kim?

— Z X-Mena. To taki zły mutant.

— Och. Zobaczę, co się da zrobić. — Już oddawałam mu rysunek, ale się zawałam. — Czy jest mój? Mogę go zatrzymać?

— Jasne.

— A mógłbyś... zaczekaj chwilę. — Otworzyłam pudełko z narzędziami i pogrzebałam w środku. — Proszę! — Wyciągnęłam zatłuszczony ołówek. — Mógłbyś go podpisać? Dla mnie? Bo wiesz, to pierwsze wydanie.

— Jasne. — Martin pochylił głowę, ale udało mi się zauważyć szybki uśmiech. Potem napisał swoje nazwisko Martin Stanley Lee, tymi drobnymi słóczonymi literami, tak że podpis wyglądał jak rozgnieciony robak na dole strony.

— Dzięki, zaufany adiutancie. — Pociągnęłam za łańcuszek, żeby wyłączyć żarówkę.

— Ależ proszę! — Martin opuścił za nami drzwi garażu.

— Gdzie byliście? — zapytała Kelly, kiedy Martin i ja weszliśmy do kuchni, mrużąc oczy w nagłej jasności.

— Och, eee, w garażu. Pokazałam Martinowi, co ma zrobić.

— No, w każdym razie spędziliście tam masę czasu.

— Nie, właściwie nie, kochanie. Wcale nie. Prawda, Martin?

— Nie. — Martin ruszył w stronę piwnicy. Usłyszałam, że włącza telewizor, po czym odezwał się znajomy hymn *Amerykańskiej sprawiedliwości*.

— Nie graj zbyt długo!

— Mamo, możesz mi przynieść na dół trochę Patriotycznych Lizaków?

— Co to jest? — Kelly sięgnęła po rysunek.

— Nic. — Wepchnęłam go do kieszeni. — Pokazywał mi swój rysunek.

— Hm — prychnęła. — Naprawdę, mamo, nie powinnaś mu pozwalać na takie marnowanie czasu. Ani na gry wideo. Ani na czytanie komiksów. To nie-

zdrowe, cała ta fantazja. Powinien otworzyć oczy i dla odmiany pożyć w prawdziwym świecie, bez superbohaterów, złoczyńców i bitew.

— Och, kochanie. — Usiłowałam się uśmiechnąć, ale wyglądała tak poważnie. Zawsze wyglądała tak poważnie. Czy choć czasem niemądrze się śmiała, chichotała bez powodu jak inne dziewczynki? — Nie masz nigdy ochoty wyrzucić po przygodę? Nigdy o tym nie myślisz?

— Ale to nie jest rzeczywiste. — Obgryzała paznokieć. — Ludzie nie są bohaterami, wiesz. To po prostu ludzie. Głupio jest pragnąć rzeczy, które nie są realne.

— Może. — I prawie jej powiedziałam, w tamtym momencie. O mało jej nie powiedziałam, że w krajobrazie są przesunięcia, których nie widać, uskoki i zapadliny, rzeczy, które mogą zmienić otoczenie w tak subtelny sposób, że człowiek nie dostrzega ich, dopóki nie potknie się o nie i nie przekona, że nieznacznie stracił równowagę. Albo że czasami zmiany mają charakter sejsmiczny — spadają na człowieka wielkie zwały kamieni lub ziemi, wstrząsając zmysłami, wywracając świat do góry nogami, aż nie sposób stwierdzić, co jest prawdziwe.

O mało nie zdradziłam jej swojej tajemnicy.

Ale tego nie zrobiłam. I powstrzymując się przed tym, w pewien sposób stworzyłam kolejną granicę, dokładnie tam, we własnej kuchni, tak samo, jakbym narysowała linię na linoleum: Kelly i jej ojciec kontra Martin i ja.

— No cóż... — Spojrzałam na córkę przygnębiona kolejną sprawą, o której nie mogłam jej powiedzieć. — Potrzebujesz pomocy przy pracy domowej?

— Nie. Już skończyłam. — Odwróciła się, żeby pójść na górę.

— Kelly... zaczekaj... czy Harry zaprosił cię na Święto Plonów?

— Tak. — Była już w połowie schodów.

— Och. No tak, to miło. Ale... jesteś pewna, że tego chcesz? Jego? Tego pragniesz? Kelly, czy on jest dla ciebie dobry?

Trzasnęły drzwi do jej pokoju. Nie odpowiedziała mi na pytanie. I w sumie na nic lepszego nie zasłużyłam.

Westchnęłam, wzięłam pudełko Patriotycznych Lizaków i zeszałam do piwnicy. Mój zaufany adiutant siedział na fotelu-worku wypełnionym kulkami zajęty bitwą: Teddy Twardziel i Waszyngton Rzeźnik toczyli kickboxingowy pojedynek ze złoczyńcami — w czerni, ciemnoskórymi i ciemnowłosymi, paru w turbanach — na trawniku Białego Domu.

— Martin, zdejmij nogi ze stolika. Ile razy mam ci mówić. — A potem zamarłam w pół ruchu. Ponieważ telewizor przemawiał do mnie, jakby w tle ryków i eksplozji z rysunkowej gry wideo. Był tam jakiś podskórny prąd, bzyczenie, inne głosy. Jak wszystkie, które słyszałam od czasu Straszego Wypadku ze Swifferem. Ale kiedy podeszłam bliżej, krew stężała mi w żyłach. Te głosy nie były takie jak inne, zupełnie nie.

— *Jedz Patriotyczne Lizaki* — szeptały z podnieceniem. — *Marzysz o Patriotycznych Lizakach. Mmmmm. Chrupiące, słodkie. Ślinka ci leci. Jedz Patriotyczne Lizaki.*

— Mamo, mam ochotę na te Patriotyczne Lizaki — jęknął Martin. — Daj mi je.

— *Poproś rodziców, nich kupią więcej Patriotycznych Lizaków* — nuciły głosy. — *Patriotyczne Lizaki ci służą! Mają wapno i witaminę D! Jedz Patriotyczne Lizaki!*

— Wiesz, że mają wapno? — zapytał Martin. -I witaminę D?

Zignorowałam go, ściskając pudełko w nagle drżących dłoniach, i natychmiast wyłączyłam grę w samym środku spektakularnej bitwy na szczycie Kapitolu.

— Mamo! — Martin w zdumieniu upuścił kontroler. — Czemu to zrobiłaś?

Z powrotem włączyłam grę. Martin szybko przewinał napisy i zaczął od początku.

— *Jedz Patriotyczne Lizaki* — zachęcały głosy. — *Marzysz o Patriotycznych Lizakach!*

— Słyszysz to? — zapytałam Martina. Pokręcił głową. — Nie?

— Co mam słyszeć?

— Ten... te głosy — Zagapiłam się w telewizor. Abe Lincolnator biegł przez nos Tomasza Jeffersona na Mount Rushmore, strzelając z cylindra ognistymi pociskami. — *Patriotyczne Lizaki, jedź Patriotyczne Lizaki* — bzyczały głosy. Znow wyłączałam, a potem włączałam grę.

— *Marzysz o Patriotycznych Lizakach.*

Przyjrzałam się Martinowi skulonemu nad kontrolerem, z językiem wystającym z ust. Czyżbym zauważyła wałek tłuszczu na jego brzuchu? — Jak długo grasz w tę grę?

— Jakieś pięć minut.

— Nie. Chodzi mi o to, kiedy ją kupiłeś?

— Był na nią kupon w pudełku Patriotycznych Lizaków.

— Myślałam, że w grze wideo był kupon na Patriotyczne Lizaki.

Martin wzruszył ramionami.

— Co było pierwsze, jajko czy kura?

— No właśnie, co? — W zamyśleniu postukałam się po nosie.

— *Mmmmm. Chrupiące. Słodkie. Patriotyczne Lizaki. Ślinka ci m nie leci.*

— Mogę dostać te Patriotyczne Lizaki?

— Nie — odparłam. — Właściwie to nie. I wyłącz tę grę.

— Ale...

— Nie ma żadnych ale. I nie nalegaj, bo cię postawię do superkąta.

— O rany. — Martin rzucił kontroler. — Matka superbohaterka jest do kitu.

— Cóż, spróbuj na to spojrzeć z mojego punktu widzenia.

Pomaszerowałam na górę z zamiarem wyrzucenia wszystkich pudełek lizaków i dropsów do śmieci, ale zamiast to zrobić, klapnęłam na kuchenne krzesło. Ponieważ właśnie coś sobie uzmysłowiłam.

W całej tej historii z superbohaterstwem skupiałam się tylko na cudzych dzieciach. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że moje własne mogłyby potrzebować ochrony Supermamy. Ale teraz uświadomiłam sobie, że niebezpieczeństwo czy-

hało wszędzie — w oczach przystojnego młodego człowieka, w zaciszu naszego salonu — i nawet superbohater nie mógł ich przed tym ochronić, nie w stu procentach. Było tego po prostu za dużo. Łatwiej mi się żyło, kiedy nie umiałam tego wszystkiego dostrzec, nie potrafiłam wszystkiego usłyszeć. Kiedy byłam za ledwie śmiertelną matką i martwiłam się sprawami, którymi martwią się wszyscy: seksem, narkotykami, stopami procentowymi. Ale nie mogłam się cofnąć, te lęki wzrosły do potęgi przy okazji zwiększenia się moich mocy.

Mogłabym tu zacytować swojego zaufanego adiutanta, ale daruję to sobie.

TLR

Rozdział 6

Och, ta magia idealnego jesiennego wieczoru! Suche liście, rześkie powietrze, obietnica pożądania w gwiazdach, pierwszy taniec, pierwszy pocałunek. Pierwsza noc.

— Jak ładnie wyglądasz, kochanie! Prawda, Martin?

— Aha. — Nie podniósł wzroku znad komiksu, który kupiłam w ramach rekompensaty za to, że *Amerykańska sprawiedliwość* znajdowała się w pudełku po butach na najwyższej półce w mojej szafie. — Ładnie.

— Martin!

— Powiedziałem, że wygląda ładnie! Rany.

— Dzięki. — Kelly bardzo się starała zmarszczyć brwi, ale nawet ona nie potrafiła być tego wieczoru sztywna. A mnie od jej wdzięku zakłuło w sercu. Lśniące włosy zebrała z tyłu, nie licząc kilku luźnych kosmyków, nieskazitelne młode ramiona, idealnie proste, z gracją i swobodą podtrzymywały wąziutkie ramiączka sukienki.

— Mógłby się pospieszyć!

— Kto kochanie? Harry?

— Nie, tatuś. Powiedział, że przyjedzie i zrobi zdjęcia, pamiętasz?

— Tak, pamiętam.

— Idziesz w tym? — Kelly obrzuciła mnie niespokojnym spojrzeniem.

— Taaak, a co w tym złego? — Obciągnęłam zamszową spódnicę, wygładziłam nowy kaszmirowy sweterek.

— Nic. To naprawdę dziwne, mamó. Dla odmiany ładnie wyglądasz. Po prostu to trochę dziwne.

— Właśnie. I co masz na ustach? — Martin rzucił na mnie okiem znad okładki komiksu.

— Tylko trochę szminki.

— A na oczach?

— Tylko trochę cienia.

— Dziwne. — Kelly i Martin powiedzieli to jednocześnie.

— Wcale nie. — Odwróciłam się i uśmiechem skwitowałam swoją nową sekretną tożsamość: elegancka mama.

Dzwonek.

— Ja otworzę! — Kelly tanecznym krokiem podbiegła do drzwi. — Tatuś! — Pисnęła jak mała dziewczynka, którą już nie była, i padła wprost w jego ramiona. Które, czego nie udało mi się przeoczyć, niezupełnie były gotowe do uścisku.

— Kochanie — mruknął doktor Dan ponad jej ramieniem, spoglądając na salon i korytarz, sprawdzając, czy nie zobaczy czegoś nowego, co nie powinno się tam znajdować, lub nie odkryje jakichś niepożądanych braków.

— Hej, tato. — Martin nie oderwał wzroku od komiksu. Dan delikatnie odsunął Kelly.

— Hej, stary — odparł tym głębokim serdecznym głosem, którym zaczął się posługiwać, odkąd... no, odkąd Martin był w drugiej klasie i stał się świadkiem... no, od tamtej pory.

— Cześć, Dan — odezwałam się. A potem ponownie wygładziłam sweterek, bo czemu nie.

— Cześć, Birdie — odparł, unosząc brwi. — No cóż. Chyba nie... nie zamierzasz... to znaczy, czy wychodzisz? — Odgarnął z czoła popielatoblond włosy, które miały tendencję do opadania zupełnie jak u Martina.

— Jestem opiekunką na zabawie. -I nie zdołałam ukryć uśmieszku zadowolona, że się zastanawiał, czy idę na randkę, i że ta myśl jakby lekko wytrąciła go z równowagi.

— No, no, to dlatego inaczej wyglądasz. To znaczy ładnie. Prawda, stary?

— Aha. — Martin nadal wpatrywał się w komiks.

— No to ruszajmy. — Doktor Dan zatarł ręce, przygotowując się do przejęcia dowodzenia, odegrania roli patriarchy, zakończenia tej „chwili z Kodakiem”, żeby popędzić z powrotem do swojego nowego dużego domu po przeciwnej stronie miasta.

— Gdzie Dixie? Nie chciała zobaczyć Kelly? — zapytałam.

— Ma dziś spotkanie rady. Pracuje do późna, rozumiesz. Jest bardzo zajęta swoją karierą.

— Szkoda, że straciła dzisiejszy wieczór.

— Są sprawy ważniejsze niż przegapienie szkolnej potańcówki, Birdie. Sprawy w rodzaju podatków i dróg, sprawy, którymi kobieta pokroju Dixie jest oczywiście bardzo zainteresowana.

— Z pewnością miasto Astro Park po prostu nie może bez niej funkcjonować. — Z uwagi na dzieci zachowałam przyjemny uśmiech.

— Owszem, nie może, Birdie. Tak samo jak sklep Marvel — znakomite przekąski i napoje z pewnością splajtowałyby bez twojej niezwykle cennej umiejętności pakowania papierowych toreb.

Martin ukrył twarz w komiksie. Kelly zaczęła obgryzać paznokcieć.

— Och, Kelly! Kochanie! Nie rób tego. — Ruszyłam w jej stronę. — Przed chwilą pomalowałaś paznokcie! Czemu nie zrobisz jej zdjęcia, Dan?

— Dobry pomysł — uznał, wyduszając z siebie kolejny serdeczny uśmiech. — Uśmiech do obiektywu, dobrze, Kelly?

— Dobrze, tatusiu. — Stała przed kominkiem, zamruwała i się uśmiechnęła, Dan pstryknął aparatem. I już je miał, kolejne idealne zdjęcie do postawienia na biurku w pracy, żeby pacjenci mieli nad czym cmokać. „Och, doktorze Lee! Ma pan taką piękną córkę. Musi ją pan bardzo kochać!”. I kochał. Szczególnie kiedy tak stała zatrzymana w czasie w małej srebrnej ramce i mogła pojawiać się i zniknąć według jego uznania.

Ponownie odezwał się dzwonek. Doktor Dan urządził wielkie przedstawienie, otwierając drzwi i rzucając Harry'emu poważne ojcowskie spojrzenie. — Nie od-

prowadzaj jej za późno, synu. To moja mała córeczka. — Przemowa ta, nawiasem mówiąc, doprowadziłaby Kelly do samozapłonu, gdybym ja ją wygłosiła. Ale teraz nawet nie mrugnęła okiem, nawet zachichotała, rozkoszując się byciem w centrum uwagi. Nie mogłam mieć do niej pretensji. Była śliczną piętnastolatką, bardziej niż trochę samolubną. No i cieszyłam się z jej radości.

— Miło mi pana widzieć, doktorze. A pani prześlicznie dziś wygląda, pani Lee.

Skrzywiłam się gniewnie. Harry był przystojny, uprzejmy, opanowany. I właśnie dlatego mu nie ufałam. Większość chłopców w jego wieku była zbyt zestresowana, żeby swobodnie oddychać w towarzystwie dorosłych, nie wspominając już o rozmowie. Ale nie Harry, spokojny, wyćwiczony, dokładnie jak jego ojciec Lex Osborne. I jeśli już o to chodzi, dokładnie jak doktor Dan.

Nic dziwnego, że chłopakowi nie ufałam.

Doktor Dan zrobił jeszcze jedno zdjęcie tamtej dwójki, ramię idealnie uśmiechniętego Harry'ego władczo oplatało talię Kelly. Nadszedł czas wyjścia. Dan oddalił się, obdarzając Martina kolejnym okrzykiem „na razie, stary!”, mnie zimnym oceniającym spojrzeniem, a Kelly sztywnym uściskiem. Harry poprowadził moją córkę do drzwi. Pobiełam za nimi.

— Kelly?

— Co mam? — Odwróciła się do mnie, twarz jej płonęła, oczy żarzyły się jak srebrne gwiazdy. Harry mocno obejmował ją w pasie.

— Po prostu baw się dobrze, kochanie. — Ucałowałam ją, uważając, żeby nie rozmazać makijażu. -I... bądź grzeczna. — Spojrzałam Harry'emu w oczy, odwzajemnił mi się z beztroską arogancją.

— Proszę się niczym nie martwić, pani Lee — mruknął. — Nie pozwolilibym, żeby coś się stało mojej Kelly. — A potem wyciągnął ją z mojego domu w noc.

Przyglądałam się, gdy odjeżdżali, przez chwilę żałując, że nie mogę pojechać z nimi. I nie tylko dlatego, że samochód Harry'ego był ładniejszy niż mój. Po chwili pobiegłam na górę do sypialni. Zawsze tak reagowałam na wizyty doktora Dana, gnałam na górę, żeby poprawić włosy albo zmienić ubranie, przeklinając zdradzieckie lustro, pewna, że mój wizerunek, który widziałam w jego oczach, był tym prawdziwym i nie mogę ufać swojej pamięci co do własnego wyglądu.

Ale tym razem lustro pokazało mi odbicie osoby, jaką byłam, zanim się zjawił: pewnej siebie kobiety o błyszczących brązowych oczach i różanych policzkach, z włosami, które ładnie wiły się na ramionach, prawie jak u gwiazdy filmowej z lat czterdziestych. Usta rozchylone, zadyszane w oczekiwaniu. Posłałam pocałunek swojemu filmowemu ja, chichocząc, że byłam taka niemądra.

Kiedy zeszałam na dół, Martin już czekał. Wskazał na papierową torbę, którą ściszałam w rękę.

— To to? — Nadal nie patrzył mi w twarz. Nie wiedziałam, że makijaż tak skutecznie odstrasza dzieci. — Niczego nie zapomniałaś, prawda?

— Chyba nie. — Zawinęłam mocniej brzeg torby, ciasno, żeby nikt nie mógł zajrzeć do środka.

— Jesteś gotowa?

— Nie — przyznałam, myśląc o wszystkim, co mogło się tej nocy wydarzyć. — Ani trochę.

— To w porządku, mamó. — Syn poklepał mnie po ramieniu i uśmiechnął się. — Postaraj się, jak umiesz.

Zdarzyło się wam pełnić rolę opiekuna na licealnej zabawie?

Cóż, to piekło. Jest dokładnie tak, jak sobie wyobrażacie, tylko gorzej.

Seks. Seks. I więcej seksu. Myśli o seksie, zapach seksu, dreszcze i szepty o seksie. I narkotyki. I picie. I złamane serca, zmiażdżone pod wielkimi niezgrabnymi butami, starte na miazgę o kłujące pozostałości zarostu.

Złe rzeczy, które właśnie się dzieją. Złe rzeczy, które zdarzą się później. Złe rzeczy, które właśnie się zdarzyły na parkingu.

Wszystkie moje zmysły drżały w napięciu — tam rozlany poncz; chłopcy z na wpół opróżnionymi srebrnymi piersiówkami w tamtym kącie; para, która planuje seks bez zabezpieczenia w szatni — cóż, mogę tylko stwierdzić, że w chwili, gdy weszłam do sali gimnastycznej, poczułam się, jakbym miała eksplodować. Każde moje zakończenie nerwowe krzyczało, myślałam, że zaraz wyskoczę ze skóry.

— Halo, Birdie.

Krzyknęłam i podskoczyłam, szczęśliwie skóra pozostała na miejscu.

— Och! Cześć, Carl.

— Ładnie dziś wyglądasz. — „Birdie ładnie dziś wygląda, prawda? Zawsze wygląda tak ładnie i schludnie”.

— Ty też... to znaczy dzięki. Dziękuję.

— Co masz w tej torbie?

— Och, nic. — Przycisnęłam ją do piersi. — Coś dla Kelly.

— Witaj na Święcie Plonów Zakładów Nowy Kosmos. — Carl wskazał wielki baner zwisający z tablicy wyników: ZAKŁADY NOWY KOSMOS Z DUMĄ SPONSORUJĄ DOROCZNE ŚWIĘTO PLONÓW GIMNAZJUM I LICEUM JEROME'A SIEGELA. — I zgadnij, co mamy na przekąskę?

— Patriotyczne Lizaki i Demokratyczne Dropsy?

— Skąd wiedziałaś?

— Przypadkiem zgadłam.

Carl odwrócił się i badawczym wzrokiem obrzucił parkiet do tańca, udałam, że robię to samo. Chociaż tak naprawdę przyglądałam się jemu. A potem zachichotałam na tę myśl — w moim wieku obcinam faceta wzrokiem!

— Mówiłaś coś?

— Nie! — Znów zachichotałam. Był taki słodki! To znaczy... eeehm... był taki przystojny. Miał łagodne oczy, takie brązowe i miłe, i te dwie głębokie bruzdy po obu stronach ust, wzdłuż których tak bardzo chciałam przesunąć palcem. Włożył ładną zamszową koszulę i bojówki, włosy uczesał z przedziałkiem, co sprowokowało mnie do uśmiechu, bo wyglądał trochę głupio. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby chesał się z przedziałkiem, więc pomyślałam, że może dziś wieczorem specjalnie się postarał. Co z kolei sprawiło, że serce zabiło mi mocniej, gdy rozważałam, o czym — lub o kim — myślał, kiedy zanurzał grzebień w wodzie i wyznaczał staranną prostą linię w gęstych czarnych włosach.

— Ładna fryzura — wypaliłam.

— Dzięki. — Carl wydawał się zmieszany, a potem potargał czuprynę jak mały chłopiec. Musiałam się uśmiechnąć.

Obok przeszedł zabawny dzieciak ze szklanką ponczu, w T-shircie udającym smoking. — Hej, panie Sayers — odezwał się najwyraźniej uszczęśliwiony, że widzi kogoś, kto z nim porozmawia. — Klub rysunkowy był dzisiaj fantastyczny.

— Hej, Stevie. Tak, niezły — odparł Carl. Chłopak uniósł szklankę ponczu w toaście i w tym samym momencie jakiś wielki zwałisty facet wpadł na niego z tyłu.

— Hej, matole! Dla takich żalonych typków jak ty pan Osborne urządził salę, gdzie można pograć w *Amerykańską sprawiedliwość*. I tak nikt z tobą nie za-
tańczy.

Żalony typek czknął i porozlewał poncz, gdzie się dało.

A ja stałam idealnie spokojna. Ręka trochę mnie swędziała, ale to wszystko. Bo widzicie, ćwiczyłam. Nauczyłam się kontrolować wszystkie swoje wypływy — sztuczka polegała na tym, żeby uszczypnąć się w mięsistą część prawej dłoni, między kciukiem a palcem wskazującym. W najgorszym razie wyglądałam, jakbym usiłowała kichnąć. Nikt nie podejrzewał, że byłam kimś innym niż Birdie Lee, łagodną z natury kasjerką w Marvel — znakomite przekąski i napoje, członkinią Stowarzyszenia Przyjaciół Dzieci okręgu Hawthorne.

I tak wyglądał mój plan na wieczór. Te inne niedawne wyjścia — opisane w gazecie — stanowiły próbne występy wykonane pod osłoną ciemności. Ale dziś nadszedł czas wielkiego sprawdzianu. Czy potrafię sobie poradzić jako superbohaterka? Czy umiem być Birdie Lee, łagodną z natury opiekunką SPD, i Supermamą, niezłomną obrończynią dzieci? I co najważniejsze, ten wieczór miał przynieść odpowiedź na palące pytanie, czy zdołam walczyć z przestępczością na szpilkach.

— Pójdę po woźnego — powiedział Carl do chłopca, który westchnął najwyraźniej przyzwyczajony do tego typu wydarzeń. — Chodź, Birdie.

— Och! Jasne — odparłam zaskoczona. Co to miało znaczyć? Zostaliśmy mianowani parą opiekunów czy coś w tym rodzaju? Przegapiłam tę część, kiedy on wybiera mnie albo ja jego?

Ale gdy ręka Carla przywarła do moich pleców, wywołując drobne wstrząsy, które kołysały kręgosłupem, sprawiając, że zadrżałam aż po koniuszki włosów, a potem w postaci dreszczy spływały w dół, do miejsca, gdzie spoczywała jego dłoń, spokojna i opiekuńcza, poczułam pewność. Niczego nie przegapiłam.

— Nie graj w tę grę wideo — zawołałam jeszcze do żalostnego typka, ale nie wyglądało na to, że mnie usłyszał. Jednak Lex Osborne, który w tamtej chwili pozował do zdjęcia dla szkolnej gazety, owszem. Jego majestatyczna głowa z dużą grzywą siwych włosów odwróciła się w moją stronę. Czułam na sobie jego oczy, dziwnie jasne w półmroku sali gimnastycznej, obserwowały mnie przez całą drogę przez parkiet. Zupełnie jak oczy z Zakładów Nowy Kosmos, śledzące mnie wieczorem w drodze z pracy do domu.

— Och, cześć, Carl, Birdie! — Carrie patrolowała teren przy stole z ponczem, ale odeszła stamtąd w samą porę, żeby niepostrzeżenie podejść w naszą stronę i przewracać oczyma, dopóki nie nadepnęłam jej na nogę. — Au!

— Oj! Przepraszam, nie zauważyłam twojej stopy. — Szeroko się uśmiechnęłam i poklepałam ją po głowie.

— Jasne. Howard! — warknęła. Howard podbiegł truchcikiem, jego łysa głowa lśniła jak dyskotekowa kula zwisająca z sufitu. — Howard, spójrz, jest Birdie! Ładnie dziś wygląda, prawda?

— Chyba. Cześć, Birdie. Hej, Carl. — Howard i Carl uścisnęli sobie dłonie.

— No więc, co mamy robić? Po prostu chodzić tu i tam i udawać, że mamy jakiś autorytet? — zapytałam Carrie.

— Och, więc nie dostałaś jeszcze żadnego zadania?

— Zadania? Nie.

— Birdie, miło mi widzieć, że dotarłaś. Trzeba być punktualnym za wszelką cenę, prawda? — wycedziła Patty Osborne, olśniewająca w wieczorowym kostiumie i pasujących do niego czółenkach od Ferragamo. — Ponieważ zjawiasz się jako jedna z ostatnich, postanowiłam przydzielić ci łazienki. Wszelkie podejrzane zachowania zgłaszaj mnie albo dyrektorowi Davisowi. Myślisz, że dasz sobie z tym radę?

— Właśnie szukaliśmy woźnego — odezwał się Carl, patrząc na mnie. Otworzyłam usta, by potwierdzić, ale Patty okazała się szybsza.

— Świetnie. W takim razie poszukajmy go razem, dobrze? A potem mam dla ciebie specjalne zadanie! — Patty wzięła Carla pod rękę i odciągnęła. Patrzyłam, jak się oddala, ze wszystkich swoich supersił pragnąc, żeby się odwrócił. Stałam zupełnie nieruchomo, bojąc się poruszyć, bo gdybym choć drgnęła, na pewno przegapiłabym to spojrzenie. Ale się nie obejrzał. I nagle nie byłam już niczego pewna.

— No cóż. — Z uśmiechem odwróciłam się do przyjaciół. Howard cmoknął językiem i wręczył mi szklaneczkę ponczu. Potem pobiegł z powrotem do stołu, gdzie grupa podejrzanych chłopców okrążała wazę z napojem.

Carrie cała się trzęsła, pomyślałam, że za chwilę z uszu buchnie jej para. — Co za suka! Jak ona śmie? Zobacz tylko, jak porwała biednego Carla! Kiedy było takie oczywiste, że chciał być z tobą! I żeby władować cię do łazienki... dobry Boże!

— Nic nie szkodzi, Carrie. Jesteśmy tu, żeby pilnować porządku, pamiętasz? Ktoś musi być w łazience. — Ale ramiona mi opadły, podobnie jak rajstopy. Poczulałam się równie wymięta jak torba, którą ściskałam.

— Ale czemu zawsze to musisz być ty?

Nie umiałam jej odpowiedzieć, więc wychyliłam poncz jednym szybkim łykiem, ze stuknięciem odstawiłam szklankę na stół, otarłam usta rękawem i odmaszerowałam na posterunek. I właśnie wtedy zrozumiałam, że to będzie długa trudna noc: łazienka dla dziewcząt stanowiła centrum grzechu. Nie jeśli chodzi o faktyczne jego popełnianie, ale w zakresie metodycznego planowania.

— Więc po zabawie przychodzicie, tak? Rodzice wyjechali z miasta, a brat powiedział, że kupi piwo...

„Jennifer Brown, Sequoia Street 255 — zanotowałam w pamięci. — Picie alkoholu przez nieletnich”.

— Hej, mogę pożyczyć fajkę? Spotykamy się z tyłu?

„Karen Dudley i Mary Campbell, nielegalne palenie tytoniu na terenie szkoły”.

— Moja siostra ma trawę. Moglibyśmy później tam zajechać, zobaczyć, czy zechce nam trochę odpalić?

„Iris Zeigler. Podejrzenie posiadania konopii indyjskich”. Zaczęłam się zastanawiać, czy powinnam była przynieść notes, żeby to wszystko zapisywać. Supermamę czekała pracowita noc.

W tej chwili jednak mogłam tylko spojrzeć srogo na rzeczony młode damy i wytrzymać ich pogardliwy śmiech. I nagle zrozumiałam, jak czuł się Clark Kent, kiedy szydzili z niego Lois Lane i Jimmy Olsen. Musiał być wściekły, mając świadomość, że mógłby skopać ich żałosne tyłki w dowolnym momencie, ale był też zmuszony zachować ostrożność i nie zdradzić swojej prawdziwej tożsamości, a przede wszystkim nie narazić córki na zakłopotanie. Och. Słusznie. To już ja. Pierwszy raz przyszło mi do głowy, że prawdopodobnie supebohaterowie nie bez powodu byli bezdzietni.

— Psst.

— Co? Kto...

— Birdie?

— Tak?

— Chodź się zabawić!

— Carl? — Wytknęłam głowę za drzwi. Stał tam Carl plecami oparty o ścianę.

— Pssst. Wychodź, teren czysty. Patty musiała pobiec do domu, bo ktoś rozlał poncz na jej kostium Dolce i Gabbana. Co to jest Dolce i Gabbana?

— Projektant — odparłam i ze śmiechem się do niego przyłączyłam. — A raczej projektanci, dwaj. Dolce. I...

— Gabbana.

— Owszem.

— Skąd wiesz takie rzeczy?

— Mam córkę.

— Ochhh.

— Dzięki.

— Za co?

— Ze mnie zwolniłeś z posterunku. Że... o mnie pamiętasz.

— Jak mógłbym zapomnieć? — Carl odwrócił się do mnie. To nie był tylko zwrot. Wyglądał na szczerze zdumionego. Jak mógłbym zapomnieć o niebie? Księżycu? Gwiazdach? No właśnie, jak?

W tej chwili przestałam myśleć o rozlanym mleku.

— No... — Nasze ręce się zetknęły i całym sercem, całą sobą zatonełam w jego oczach, które odbijały najprawdziwsze ze wszystkich moich ja. — Ja, ja, ee... — Usta wydawały mi się zbyt odrętwiałe, żeby formułować słowa.

— Birdie, ja... ja... och... — Nachylił się do mnie, wstrzymałam oddech i zrozumiałam, że długo, długo czekałam na tę chwilę. Potrzebowałam go, żeby mi przypomniał.

— Carl, ja...

— Tak? To znaczy tak? — Nachylał się nade mną, osłaniając przed tłumem. Tkwiliśmy w naszym małym ochronnym kokonie, w którym mogliśmy tylko na siebie patrzeć, jąkać się i uśmiechać.

— Ups! Przepraszam, pani Lee. — Nagle cała grupa nastolatków pobiegła w kierunku łazienek: muzyka umilkła i Lex Osborne stuknął w mikrofon, szykując się do wygłoszenia mowy. — Przepraszam, przepraszam! — Roześmiani młodzi ludzie pędzili obok, otaczając nas swoją energią i światłem. Carl i ja też wybuchnęliśmy śmiechem, opędzając się od nich jak od światełek.

— Ups! — Ktoś się ode mnie odbił i wytrącił mi torbę. Rozerwała się i... i...

Wysypały się z niej rzeczy. Moje rzeczy. Czarna maska, perły, para koronkowych majtek zielonych jak swiffer. Jedno z czółenek na wysokim obcasie wylądowało dokładnie na lewym bucie Carla.

— Birdie... — Carl spojrzał w dół. I zmarszczył brwi. Potem popatrzył na mnie z przedziwnym wyrazem twarzy. — Birdie... to jest... powiedziałaś, że to dla Kelly?

— Nie! Nie! — Padłam na kolana i zaczęłam zgarniać rozsypany dobytek. Twarz tak mi płonęła, że niewiele widziałam. — Boże, nie! Nie Kelly! Jak mógłbyś pomyśleć... Nie! To moje!

— Twoje? — Carl nachylił się, żeby mi pomóc, ale nagle usiadł ciężko, jakby ugięły się pod nim nogi. — To... twoje?

— Och! Tak. To znaczy nie... to znaczy... o rany! — Zrobiło mi się niedobrze. — Nie, tak, to mój kos... to znaczy będzie mi potrzebny dopiero późnym wieczorem. To znaczy... o rany! — Sięgnęłam po majtki, które zdawały się żyć własnym życiem, tańcząc tuż poza moim zasięgiem. — Nigdy nie wiadomo, kiedy przyda się świeża para!

Carl wydał z siebie dziwny dźwięk, coś pomiędzy kaszlem a śmiechem. Znow oblałam się czerwienią.

— Cóż, jakiegokolwiek masz plany na dzisiejszy wieczór... — Powoli wstał. — Powodzenia.

— Cóż. — Usiłowałam się roześmiać, ale wyszło to raczej jak charkot. — Założę się, że niecodziennie miewasz takie widoki?

Carl gwizdnął i potrząsnął głową, brązowe oczy mrugały.

— Pamiętasz, że jestem naukowcem? W tym zawodzie nieczęsto spędzamy wieczory poza domem.

— Szkoda. — Zniżyłam głos w nadziei, że zabrzmiał jak seksowny pomruk. — Wiesz, byłam harcerką. Nasze hasło brzmiało: „Bądź gotów”.

Carlowi drgnęły usta, znow zamrugał i nagle odwrócił się w stronę parkietu do tańca. Zobaczyłam, że trzęsą mu się ramiona i znow wstrząsnął nim ten dziwny śmiecho-kaszel.

— Widzę tam... zajście — oznajmił zmienionym głosem. — Lepiej pójde to sprawdzić. Och, i Birdie?

— Hmm?

— Byłam drużynowym. Gdybyś potrzebowała pomocy w zdobywaniu sprawności, daj mi znać.

— Och! — Gwałtownie nabrałam powietrza, a potem machałam mu, kiedy odchodził, dopóki nie zdałam sobie sprawy, że powiewam majtkami. Opuściłam rękę, przemknęłam z powrotem do łazienki i zamknęłam się w pustej kabinie. Gdzie pozwoliłam sobie na kilka zduszonych czknięć.

Bądź gotów?! Czemu to powiedziałam? Co on sobie o mnie pomyślał? Jaka kobieta biega z papierową torbą zawierającą coś, co można określić jako domowej produkcji kostium S/M? Tylko wariatka, napalona niepracująca matka, stuknięta superbohaterka, która koniecznie musiała mieć majtki dobrane do nowego stroju. I z miejsca zdecydowałam, że nie chcę tego robić. Wystarczająco trudno było być sobą, Birdie Lee, rozwiedzioną matką, służką SPD, byłą harcerką. Wystarczająco trudno było żeglować przez życie bez dodatku super— bohaterstwa. Czy nie miałam codziennie wystarczająco wielu okazji, żeby się zbłąźnić? I nikt mnie do niczego nie zmuszał, prawda? Nie. Nikt kompletnie. Zatem nikt nie będzie wiedział, gdybym zdecydowała, że to już przesada. Nikt poza...

Martinem. Ale zmusiłam się, żeby zapomnieć, w jaki sposób ostatnio na mnie patrzył, jaki był dumny, kiedy się ze mną pokazywał, rozmawiał, śmiał. To duży chłopiec. Poradzi sobie z tym. Podobnie jak ja.

Siedziałam długo w kabinie przycupnięta na sedesie, ściskając papierową torbę. Nic mnie nie obchodziło, czy Patty się wścieknie, że nie stałam na posterunku. Nic mnie też nie obchodziło, czy jakiś dumny nastolatek zapali papierosa za tablicą wyników albo umieści śmierdziała w systemie wentylacyjnym bądź postanowi oddać mocz do roślin doniczkowych na korytarzu. Nie obchodziło mnie kompletnie nic — poza Carlem. I tym, co dokładnie miał na myśli, mówiąc o „zdobywaniu sprawności”.

— Mówiłem ci, żebyś tu do mnie nie dzwonił. — Głos Leksa tuż za drzwiami mojej kabiny sprawił, że podskoczyłam dość wysoko, by uderzyć głową w rurę.

— Przepraszam — odparł męski głos. — Ale powiedziałaś, że chcesz mieć informacje na bieżąco. Operacja „Pokusa” przebiega zgodnie z planem.

— Cobblepot, jesteś geniuszem — uradował się Lex.

Zerknęłam na podłogę przed kabiną. Znajdowała się tam tylko jedna para butów z dziurkowanymi noskami. Pochylałam się, aż w końcu prawie rozpląszczyłam się na podłodze i zobaczyłam Leksa chodzącego tam i z powrotem po pustej damskiej łazience, rozmawiającego przez komórkę. Ale ja słyszałam obu roz-

mówców i wcale nie czułam się tym zaskoczona. Przede wszystkim byłam zbyt oszołomiona, a po drugie to miało sens: skaner, magnetofon, komunikator Kelly. A zatem mogłam słyszeć obie strony telefonicznej konwersacji. I co jeszcze?

— A ty? Nie bądź taki skromny. Darmowe pluszaki... genialne — ciągnął głos. — Och, a przy okazji, nie masz przypadkiem tych lalek Abe'a Lincolnatora, co?

— Przykro mi.

— Cholera, to ulubieniec mojego bratanka. No nic. Nie ustawaj w wysiłkach, wygląda na to, że odnosimy sukces.

— Niech Bóg błogosławi drogie maleństwa. — Lex z trzaskiem zamknął telefon komórkowy, zatrzymał się przed lustrem, żeby pogmerać we włosach, a potem wolnym krokiem opuścił łazienkę.

A niech to cholera. Nie, nie, nie. Nie miałam zamiaru tego robić. Nie musiałam tego robić. Tylko że znalazłam się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie i przypadkiem usłyszałam... coś. Nie byłam pewna, co właściwie, ale nie mogło chodzić o nic dobrego, bo czułam w piersi drzenie. I nie było mi już zimno, grzał mnie pałący gniew, niepokój i strach o dzieci — wszystkie dzieci, jakie w życiu widziałam. Miało się stać coś złego. Zawsze miało się stać coś szkodliwego — picie, seks, narkotyki. A oni wszyscy pozostawali zaledwie dziećmi, każde z nich — byli czyimiś dziećmi. Rodzice nie wiedzieli, jakie grożą im niebezpieczeństwa, w jakie kłopoty mogą się wpakować. Jacy źli ludzie żyli na świecie. Ale...

Ale ja wiedziałam. Wiedziałam. Ponieważ...

Byłam Supermamą.

— A do licha. — Zmarszczyłam brwi. Otworzyłam pogniecioną torbę i zaczęłam się przebierać. ..

Cóż, pozwólcie, że powiem jedno: nie da się walczyć z przestępczością na wysokich obcasach. Zresztą perły też okazały się zawracaniem głowy. Za to fartuch sprawdził się genialnie.

Przebrałam się w maleńkiej kabinie toalety dla dziewcząt. Przywołało to masę wspomnień, w większości niemiłych. Wepchnęłam się w sukienkę w stylu June

Cleaver, którą uszyłam ze szmatek do kurzu i ufarbowałam na zielono, związałam w pasie fartuch i wypchałam jego wielkie kieszenie różnymi rzeczami.

Okej, oto oficjalny opis zawartości mojego Fartucha na Wszelki Wypadek — Martin chciał go nazwać Fartuchem Upierdliwym, ale zachowałam prawo weta: chusteczki antybakteryjne (nie mogę podać ich marki, dopóki nie zostanie dopracowana umowa sponsorska, co powinno nastąpić lada chwila), plastry, nitka dentystyczna, tampony, nożyczki, pieluchy jednorazowe, krakersy w kształcie zwierzątek, krakersy z solą, sok jabłkowy, ibuprofen dla dzieci, wybór maści, kredki, agrafki, kleeneksy i czysta bielizna.

Trochę się zachwiałam, kiedy wszystko znalazło się na miejscu, a sok jabłkowy miał tendencję, żeby chlupotać, i nie raz ukłułam się nożyczkami, więc kilka słabych punktów wymagało dopracowania, ale ogólnie byłam zadowolona. Spinacz do bielizny znakomicie przytrzymał pelerynkę ze ścierki, a maska pasowała idealnie, nie mogłam jednak poradzić sobie z zapięciem pereł, musiałam więc z nich zrezygnować. Potem odważnie i chwiejnie wyszłam na szpilkach, żeby patrolować teren w poszukiwaniu nastolatków, którzy mają kłopoty.

Niedługo trwało, zanim ich znalazłam. Wybiegłam z sali gimnastycznej na parking, w uszach mi szumiało, a włosy trzepotały. Supermamozmysł zawiódł mnie do krzaków przy śmietniku, z których dochodziły odgłosy wymiotów.

— Wszystko w porządku? — rozsunęłam gałęzie i zobaczyłam zgiętego wpół młodego człowieka, któremu wywracał się żołądek.

— He? — Przechylił głowę w moją stronę i otarł usta wierzchem dłoni.

— Nie rób tego, weź to! — Sięgnęłam do kieszeni i wręczyłam mu chusteczkę antybakteryjną. — Co jest, za dużo piwa?

Kiwnął głową, oczy miał szeroko otwarte, usta również.

— Cóż, zjedz to. — Dałam mu trochę krakersów z solą. — I wypij to. — Rzuciłam w niego sokiem jabłkowym. — A teraz, skąd miałeś piwo?

Pochylił się i ponownie zwymiotował.

— W porządku, poczekam. — Skrzyżowałam ręce na piersiach i patrzyłam w niebo. Nuciłam melodię z turnieju Leopardy. I kiedy skończył z wymiotami, zapytałam go ponownie, skąd miał piwo.

— Nie powiem — odparł. Potem usiadł i zaczął skubać krakersa. — A w ogóle, to kim pani jest? Bo wie pani, to jeszcze nie Halloween.

— Ja... ja... — Zamilkłam. Nigdy wcześniej nie wymówiłam tego na głos. Nadeszła wielka chwila. — Jestem Super... o rany, nie mogę uwierzyć, że to mówię, naprawdę, gdybyś mnie znał, nigdy byś mi nie uwierzył, ale... cóż, jestem Supermamą! — A potem zachichotałam.

Prychnął.

— Supermama? Pani? W tej pelerynie? Potrafisz latać, Supermamo?

— Nie. Przynajmniej jeszcze nie. Ale któregoś dnia, mam nadzieję... hej! Zaczekaj! Opowiedz mi o piwie. Gdzie je dostałeś?

— Czemu miałbym pani powiedzieć?

— Ponieważ — nagle zagrzmiałam, prostując się na pełną wysokość swojego metra sześćdziesięciu. — Ponieważ jestem Supermamą. Jestem wszystkimi matkami. Stanowię wcielenie opieki. Poszukuję prawdy w imieniu wszystkich dzieci, wliczając w to nieletnich poniżej dwudziestego pierwszego roku życia, co oznacza i ciebie, koleżko. Posiadam moc i władzę wszystkich matek, by chronić dzieci przed krzywdą. Zeby nauczyć je odróżniać dobro od zła i karać, gdy to konieczne, prędką, acz delikatną ręką. Rany! — Zrobiłam pauzę na zaczerpnięcie oddechu. — Nie mam pojęcia, skąd mi się to wzięło! Och, i potrafię też sprzątać z siłą dziesięciu tysięcy swifferów.

— Musi pani popracować nad tą mową. Trochę przydługa. Superman jest znacznie lepszy: obrońca prawdy, sprawiedliwości i amerykańskiego stylu życia. To bardziej chwytliwe.

— Cóż, to mój pierwszy raz.

— Bez jaj.

— A teraz posłuchaj mnie, młody człowieku — ponownie zagrzmiałam. Tym razem nie uśmiechnął się złośliwie. — Skąd wzięłeś piwo?

— Nie powiem.

-Powiesz.

— Nie powiem.

— Powiesz.

— Nie powiem.

— Dobrze, dość tego. — Pochyliłam się i zajrzałam mu w oczy, rzucając Bezlitosne Spojrzenie. — Porzuć tę pozę, młody człowieku. Powiesz mi, i to zaraz, albo...

— Albo co? — Próbował odwrócić wzrok, ale schwyciłam go za podbródek i mocno trzymałam.

— Albo odbiorę ci na tydzień kluczyki do samochodu. Masz w piątek randkę, prawda? Z tą uroczą dziewczyną w World History? Zobaczymy, jak się będziesz bawił bez bryczki.

— Skąd pani to... — Na czoło wystąpił mu pot.

— Mniejsza z tym. Powiesz mi?

— Nie...

— W porządku. Dawaj kluczyki. Ale już.

Nie poruszył się.

— POWIEDZIAŁAM „JUŻ”!!

— Dobra, dobra! Tylko proszę przestać to robić, okej?

— Co robić?

— To, co pani robi. Zupełnie jak moja mama. Robi się taka smutna i rozczarowana mną i nie mogę tego znieść. Proszę nie patrzeć na mnie w ten sposób, okej? Proszę? — Teraz już jęczał, obgryzając paznokiec. Łzy napłynęły mu do oczu. — Będę już dobry, obiecuję.

— Wiem, że tak, synu — mruknęłam. Potem otarłam mu czoło i uściskałam.

— Przepraszam — wyszeptał.

— Ja też — odszepnęłam. — A teraz mi powiedz, skąd wzięłeś piwo.

— Sid Cummings. — Chłopak wytarł mokry nos w rękaw. Przewróciłam oczyma i podałam mu chusteczkę. — Jest po drugiej stronie ulicy z grupą dzieciaków. Urządzili tę drugą imprezę.

— W porządku. Zajmę się tym. A teraz wejdź do środka i ochłap sobie twarz zimną wodą. Oddam ci te kluczyki jutro, nie ma mowy, żebyś teraz pozwoliła ci prowadzić. Pamiętaj, piłeś, nie jedź. Możesz uratować komuś życie, choćby sobie.

— Okej. — Kiwnął głową. Jeszcze raz go uściskałam i dałam krakersa. A potem ruszyłam, biegnąc przez szkolny parking, gdzie jeden z obcasów uwiązał mi w otworze wjazdu i wypowiedziałam brzydkie słowo bardzo nie w stylu Supermamy. — Skur...

— Hej, spójrzcie tylko!

— Kto to jest? Co to jest?

— Jestem Supermamą — poinformowałam gromadzący się tłumek.

— To podglądacz!

— Nieprawda. — Kuśtykając, zaczęłam się oddalać.

— Pijak!

— Nie, jestem Supermamą. Obrończynią wszystkich dzieci, wcieleniem wszystkich matek, z mocą i władzą... ee, mniejsza z tym. Naprawdę muszę nad tym popracować. — Chwiejnie przeszłam przez ulicę, kryjąc się za zaparkowanymi samochodami, aż w końcu tłumek się rozszedł.

— Daj mi jeszcze jedno, co?

— Jasne. — Usłyszałam charakterystyczne cmoknięcie otwieranej puszkę piwa.

— Stary, co za czad. Te palanty na potańcówce nie wiedzą, co tracą. — Głośne beknięcie.

— Człowieku! — Ryk śmiechu, czkawka, a potem następne beknięcie.

Kucnęłam za jakąś terenówką, krok po kroku zbliżając się do pomarańczowego kombi, które — wystawiłam głowę, żeby zobaczyć — otaczały dzieciaki.

— Hej, macie coś jeszcze? — Nowy głos, męski, jakby nieco znajomy. Czułam szum pod czaszką, mój supermamozmysł działał na wyższym poziomie niż kiedykolwiek do tej pory.

— Ale co? Alk czy trawę?

— A jak myślisz? Mam ochotę przypalić zioło.

Pełne podziwu pomruki dzieci.

Popęzłam za terenówką jak pajak, raz czy dwa wychylając się, żeby spojrzeć przez okna. Dwaj chłopcy w T-shirtach i džinsach opierali się o tylne drzwi, pomiędzy nimi stała czerwona chłodziarka. Otaczała ich grupa dzieciaków z zabawy, dziewczynki drżały w przejrzystych sukienkach, chłopcy usiłowali wyglądać w swoich garniturach jak James Bond. Nie mogłam dostrzec ich twarzy.

— No więc ile? — Znów ten spokojny męski głos.

— To zależy. — Jeden z upalonych młokosów odchylił się i podrapał po brzuchu. — A jaki rodzaj cię interesuje?

— Tylko najlepszy. Po co komu coś gorszego? — A ja poczułam skurcz żołądka, ponieważ rozpoznałam głos Harry'ego. Harry'ego Osborne'a. Chłopaka mojej córki.

Młodzi zaczęli się śmiać, ale jeden z nich sięgnął do kombi i wyjął plastikową torbę...

— Okej, dość tego! — Wskoczyłam z rękoma na biodrach jak Wonder Woman. (Ćwiczyłam to w domu przed lustrem). — Stać! Jestem Superma... ooof!

Ktoś unieruchomił mnie od tyłu.

— Odwal się — syknęłam, kopiąc szpilkami. — Zabieraj łapy, ty, ty...

— Birdie?

Przestałam kopać. Odwróciłam się, żeby zobaczyć, czyje ramiona obejmowały moje supernogi.

— Carl?

Wpatrywał się we mnie z otwartymi ustami, mrugając. Wciąż ścisnął mnie za nogi.

— Birdie? Birdie? Birdie?

— Tak, Carl, puść! — Wreszcie kopnęłam tak mocno, że musiał mnie uwolnić. Upadł na plecy, rozrzucając dookoła żwir.

— Ja... to znaczy Patty powiedziała, dzieci powiedziały, że kręcił się tu jakiś podglądacz czy zboczeniec. Patty wysłała część z nas na zewnątrz i zobaczyłem ten dziwaczny... to znaczy zobaczyłem... ciebie? Tutaj?

— Uhm. — Leżałam twarzą w dół na żwirze, ze smołą i piachem w nosie oraz ustach. Nie mogłam na niego spojrzeć, już nigdy. Nigdy, przenigdy.

— Eee, Birdie, ja... może jestem trochę skołowany. Ale czy mogę cię zapytać, czemu skradasz się w sukience... i fartuchu... i masce...

— Nie zapominaj o szpilkach — wymamrotałam.

— I szpilkach... Hej! — Usiadł. — To wygląda jak rysunek Martina!

— Wiem. W sumie to zabawna historia. — Jęknęłam i przeturlałam się na bok. Czy powinnam mu powiedzieć? Czy mogę mu zaufać? I czy uzna, że mi odbiło, i wezwie władze oraz każe Patty i reszcie SPD zakazać mi wstępu na wszystkie przyszłe kiermasze ciast i targi książki?

Ale te jego oczy, ciepłe, miłe oczy, ufne jak u dziecka, one dały mi nadzieję.

— Widzisz, ja...

— Tam! Tam! Coś tam widziałem! — Tym razem to była masa głosów, zbliżały się jak stado psów. Głosy władzy: Patt, Lex i jakiś głęboki męski głos, którego nigdy wcześniej nie słyszałam. Ktoś musiał wezwać policję.

Carl i ja spojrzeliśmy na siebie. Nie mogłam zebrać myśli, nie potrafiłam wymyślić, co robić.

— Chodź — odezwał się, zanim zdążyłam otworzyć usta. Chwycił mnie za rękę i poderwał z ziemi.

— Stać! W imieniu SPD! — zawołała Patty. Ale my wystartowaliśmy do biegu.

Zobaczyłam, że tłum wokół kombi się rozchodzi, dilerzy trawy pognali na przednie siedzenia i zatrzasnęli drzwi, odjeżdżając. Przez chwilę się bałam, że rozjadą dzieciaki z imprezy, ale te rozpierzchły się jak przestraszone myszy i rzuciły w stronę szkoły. Carl mocno trzymał mnie za rękę. Nie było mowy, żeby

mnie porzucił. Biegliśmy i biegliśmy — dokąd, nie miałam pojęcia. Mogłam jedynie ufać, że zapewni mi bezpieczeństwo. I jakoś wiedziałam, że to potrafi.

Jednak zanim pociągnął mnie w wąski podjazd, poza zasięg pogoni, zobaczyłam coś, od czego serce mi zamarło. Jedną z twarzy w tłumie nastolatków pędzących w kierunku szkoły była twarz mojej córki. Uświadomiłam to sobie, czując w ustach gorzki smak. Jej twarz w ciemnościach zbladła tak, że świeciła białym światłem, była czysta, piękna, niewinna.

Twarz Kelly.

TLR

Rozdział 7

Porzucam wysokie obcasy — oznajmiłam Carlowi. — I perły. Ale naprawdę podoba mi się peleryna z klamerką do bielizny. — Potem spuściłam wzrok na kolana i oblałam się rumieńcem.

Nie odezwał się. Nie poruszył. Siedział w skórzanym fotelu, rękoma obejmując nogi. Zaciskał dłonie, rozluźniał, zaciskał — od chwili, gdy zaczęłam swoją opowieść od samego początku, Straszego Wypadku ze Swifferem, wykonywał tylko ten ruch.

— Więc... ee... no to tyle. No dobrze, po prostu już pójdę. — Zaczęłam się podnosić z drugiego fotela. Siedzieliśmy w pokoju dziennym, bardzo prostym męskim pokoju dziennym, wyposażonym w dwa fotele, sprzęt elektroniczny i zniszczony stolik do kawy. Oraz jaskrawoniebieską drewnianą składaną drabinkę ozdobioną wyciętymi sercami, którą z niewiadomego powodu uznałam za rozkoszną.

— Spodobały ci się klamerki do bielizny? — Wreszcie podniósł na mnie wzrok, czoło miał zmarszczone jak u sennego szczeniaka. Ale się uśmiechał.

— Tak.

— To był mój pomysł.

— Wiem. — Usiadłam i zapatrzyłam się na drabinkę.

— Chociaż kiedy Martin rysował, nie miałem pojęcia, że, no wiesz...

— Wiem. Słuchaj. Rozumiem, że to absurdalne i nie ma mowy, żebyś mi uwierzył, i bardzo przepraszam. Przepraszam za tę bieliznę. — Znów się zaczerwieniłam, ale zmusiłam się, żeby mówić dalej. — Przepraszam, że wszystkich dziś wystraszyłam. Przepraszam za tamto, że ty i ja w sali gimnastycznej... och, po prostu przepraszam.

Ale jak mawia Peter Parker, „Z wielką władzą przychodzi wielka odpowiedzialność”. Głupi Peter Parker.

— Tak naprawdę to powiedział wuj Ben.

— Tak? Myślałam, że Peter Parker.

— Nie, to był wuj Ben. Zdumiewająca fantazja numer piętnasty, sierpień tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego.

— O rany. — Teraz z kolei ja wytrzeszczyłam oczy ze zdziwienia. — Naprawdę się na tym znasz.

— Kiedyś byłem chłopcem. Chudym chłopcem, który nie umiał grać w piłkę. Co innego miałem robić?

— Więc, no, czy to znaczy, że mi wierzysz?

— Nie wiem — odparł. Ale w oczach miał ogniki. — Chcę zobaczyć cię w akcji.

— Jakiej?

— Supermamowej. Chcę zobaczyć, jak robisz coś w stylu Supermamy. Zaprezentuj mi jedną ze swych mocy.

— Och! Okej. — Wstałam. — Widzisz tę pajęczynę? — Wskazałam w odległy kąt. — Teraz ją widzisz, a teraz już nie! -I skasowałam pajęczynę, korzystając z nowego wyrzutu zza pleców. (Trochę się popisywałam, okej?).

— Na ducha Cezara! — Carl się zerwał i chwycił mnie za rękę. Na palcu wskazującym lśniła kropelka. Dotknął mojego palca i zamknęłam oczy. Nie byłam w stanie patrzeć, chciałam tylko czuć jego dotyk. Odwrócił moją dłoń i przesunął po gąbczastych brzegach i poduszczykach, łaskocząc, drażniąc, aż każdy nerw w moim ciele stanął na baczność, pragnąc być łaskotany, drażniony — i nie tylko.

Wreszcie skończył, a mnie udało się odetchnąć.

— Birdie — powiedział. Potem dotknął mojego podbródka, unosząc go ku sobie. Otworzyłam oczy. — Chodź ze mną.

— Ja, to znaczy, ee... — Nie mogłam się ruszyć. Byłam przerażona. Za wcześnie, za szybko. I musiałam najpierw schudnąć jakieś pięć kilo...

— Chodź ze mną. — Poprowadził mnie w stronę... piwnicy. Bez słowa zesłałam za nim po rozklekotanych drewnianych schodach, które wiodły do ciemnego pomieszczenia zajętego przez stół bilardowy.

Na tym stole znajdowało się laboratorium chemiczne. Wielkie, z probówkami, palnikami Bunsena i fiolkami tajemniczych proszków oraz płynów, papierkiem lakmusowym, pęsetą, mikroskopem i całą resztą.

— Siadaj — polecił i posadził mnie na starym stołku barowym. Potem wziął szkiełko mikroskopowe i przycisnął do niego mój palec wskazujący. — Powiedz mi jeszcze raz, jakich środków czyszczących użyłaś tamtego dnia?

— Jakich środków? — Potrząsnęłam głową, żeby przegnać mgliste pożądliwe myśli. — Środki czyszczące. Niech pomyślę. Swiffer, borox, clorox, przemysłowy windex, pine-sol, jakiś pomarańczowy płyn, który wybrałam z reklamy w telewizji, mydło lava...

— Czy któryś z nich zawiera chlor albo amoniak?

— Tak.

— Co?

— Oba.

— Zmieszałaś chlor z amoniakiem? — Odłożył szkiełko i spojrzał na mnie.

— Chyba...

— I nie włączyłaś wentylatora?

— Nie, nie włączyłam.

— Mogłaś umrzeć. Poważnie, Birdie.

— Tak, już to słyszałam.

— Cóż, cieszę się, że nie umarłaś. — Odwrócił się i zaczął manipulować zakraplaczami i fiolkami.

— Cieszysz się?

— Tak.

Nie mogłam ukryć szerokiego uśmiechu.

— Widzisz — zaczął wykład dokładnie w stylu naukowca, którym był w istocie — mieszanie chloru i amoniaku tworzy opary chloru. Są toksyczne, Birdie. Jeżeli je wdychasz, możesz umrzeć. I biorąc pod uwagę ilości, które opisa-

łaś, jestem zdziwiony, że tak się nie stało. Wygląda na to, że zamiast cię wykończyć, przejęły nad tobą władzę, dając ci te moce. Zupełnie jak z Barrym Allemenem, kiedy pracował w laboratorium w czasie burzy. Czy kiedy to się stało, była burza?

— Nie.

— Hmm. — Włożył szkiełko pod mikroskop. — Niezwykłe. — Pokręcił tym dinksem z boku, badając to, co ze mnie wypłynęło. Na myśl o tym zadrżałam i musiałam zacisnąć nogi. Rozejrzałam się po piwnicy z nadzieją, że dowiem się czegoś o mężczyźnie, który mnie uratował.

Mimo obecności stołu bilardowego nie dostrzegłam żadnych kijów. Była tu plansza do strzałek, ale żadnych strzałek. Plakat reklamowy St. Paul Girl z dziewczyną podającą dwa napelnione po brzegi kufle piwa. I stary pleciony dywanik na podłodze tak wyblakły, że nie dało się stwierdzić, jaki miał dawniej kolor.

Żadnych kartonów. Żadnych pudełek po butach albo mleku w proszku oznaczonych imionami i datami. Nasza piwnica była nimi wypełniona — MARTIN, PLASTYKA, PRZEDSZKOLE DO TRZECIEJ KLASY, STARE ZDJĘCIA BABCI, ODZNAKI ZUCHOWE KELLY. Piwnica Carrie jest taka sama, podobnie mojej matki.

Piwnica Carla była pozbawiona wszystkiego, co mogłoby mi pomóc go zrozumieć, zrozumieć jego przeszłość. Niewiele o niej wiedziałam. Był rozwiedziony, a jego ekszona mieszkała w innym stanie. Samotnie wychowywał syna. Miał marzycielskie oczy i cechowała go delikatność, miał silne dłonie i drobne kości, chociaż ramiona okazały się zaskakująco szerokie. Był naukowcem pracującym dla firmy farmaceutycznej. Jako chłopiec uwielbiał komiksy. I mi uwierzył.

I kiedy spojrzałam na wszystko od tej strony, rozumiałam, że niczego więcej nie muszę wiedzieć.

— Wiesz, to ciekawe — zauważył, kroplomierzem nanosząc na szkiełko niebieski płyn.

-Co?

— Hmm. — Nakapał na szkiełko dwie krople czegoś przezroczystego i trochę poprawił ostrość.

— Co? Co, Carl?

— Zdumiewający podział komórek. Po prostu zdumiewający. Ten płyn, który wygląda na mieszaninę monochloraminy, chlorowodoru, chlorynu sodowego i kwasu cytrynowego oraz mnóstwa innych rzeczy, których nie umiem teraz nazwać, jest czymś żywym, nie takim jak normalne płyny czyszczące. Najwyraźniej to właśnie daje tnu siłę. Spójrz tylko.

Przyłożyłam oko do mikroskopu. Carl pochylił się nade mną.

— Spójrz! Widzisz, że te komórki stale się dzielą?

— Uhm — wyszeptałam. Drżałam, czując jego ciepły oddech w uchu. Musiałam się przytrzymać stołu bilardowego, żeby nie stracić równowagi. Potem przypomniałam sobie, żeby spojrzeć w mikroskop. Na szkiełku znajdowały się kropelki substancji jak na czarno-białym rysunku. Małe amorficzne kształty, które dzieliły się na mniejsze i dalej na jeszcze mniejsze. Cokolwiek znajdowało się na tym szkiełku, żyło i kipiało, a ja z dreszczem uświadomiłam sobie, że to coś było we mnie, w moich żyłach, w jakiś sposób dając mi siłę, napędzając mocą.

— Czy to nie zdumiewające? — Carl mówił przyciszonym głosem.

Znad mikroskopu spojrzałam mu prosto w twarz, tak bliską mojej, że czułam korzenny, dymny zapach, jego esencję, jego skórę. Kiwnęłam głową.

-Jesteś... zdumiewająca — oznajmił, nachylając się tak mocno, że — wiedziałam — czuł mój zapach.

Skinęłam głową.

— Birdie... — Ujął mnie pod brodę, zbliżając się tak bardzo, tak bardzo, że gdyby chciał, mógł mnie pocałować...

— Zaczekaj — powiedział, bruzdy na jego twarzy się pogłębiły.

— Nigdy jeszcze nie całowałem superbohaterki.

— Świetnie — mruknęłam, nie mogąc oderwać oczu od jego warg.

— Wcale nie narażasz mnie na stres, dzięki.

— Ależ proszę — szepnął. A potem mnie pocałował.

Wargi mężczyzny na moich ustach. Z początku tylko o tym mogłam myśleć. Męskie wargi — takie miękkie, takie natarczywe — na moich. Ciepłe, wilgotne, otwarte — na moich. I wreszcie zapomniałam, jak się myśli, jak się oddycha; umiałam tylko odwzajemnić pocałunek, więc to zrobiłam.

A potem otoczyły mnie jego ramiona, duże i silne, przyciągając tak, że nie było między nami niczego, nawet powietrza. Dotknęliśmy się w miejscach, o których nigdy bym nie pomyślała.

A ja nadal potrafiłam myśleć tylko o całowaniu, całowaniu do chwili, gdy niezdolna dłużej wstrzymywać oddechu, będę musiała odpocząć w jego ramionach na zawsze.

Huk nad naszymi głowami sprawił, że odskoczyliśmy od siebie z walącymi sercami, [^]by przestraszeni, by na siebie spojrzeć.

— Greg — poinformował mnie Carl zduszonym głosem. I nagle mogłam myśleć tylko o swoich dzieciach, Martinie i Kelly. Martin będzie się martwił, zastanawiał, co się ze mną stało. Może potrzebować szklanki mleka na uspokojenie, a czy mieliśmy dość mleka? Nienawidził dwuprocentowego. Pił tylko pełne. I Kelly. Gdzie ona teraz jest?

Kelly. Jej twarz w ciemnościach oddalająca się, uciekająca przede mną. Przed niebezpieczeństwem. Ale także zbliżająca się w jego stronę. Niebezpieczeństwem był bowiem ten wysoki blondyn o chłodnych niebieskich oczach i uwodzicielskim uśmiechu. I co, do licha, miałam z tym począć?

— Nie mogę zdradzić, że ją widziałam — szepnęłam.

Carl zerknął na mnie, a na jego twarzy odbijały się różne emocje: niepokój, strach, radość, nadzieja.

— He?

— Kelly. Widziałam ją. Dzisiaj wieczorem, z tymi ćpunami... stała z grupą dzieciaków z imprezy. Ale nie mogę jej powiedzieć, że widziałam, bo ona nie wie.

— O twoich supersiłach?

Pokręciłam głową.

— Nie, nie mogę jej powiedzieć, bo...

— Martin wie.

Potwierdziłam.

— Cóż, mniejsza z tym. To nie moja sprawa, prawda? Birdie?

Przyjrzałam się mu, mężczyźnie, którego właśnie pocałowałam. Wciąż czułam go na wargach, jego ciepło na plecach, gdzie mnie dotykał. Ale...

— Nie. — Uśmiechnęłam się przeproszająco — Nie.

Skinał głową. Ramiona trochę mu obwisły.

— Przynajmniej jeszcze nie — dodałam.

Spojrzał na mnie, dotknął mojego policzka, przelotnie, tak szybko, że nie wiedziałam, czy mogę być tego pewna. Potem się uśmiechnął.

— Więc jakie masz plany, Supermamo? — Ruszyliśmy po schodach.

— Och, zwyczajne. Walczyć z przestępczością, a przynajmniej z piciem i używaniem narkotyków przez miejscowych nastolatków. Ocalić świat, a przynajmniej moją okolicę. Wycierać zaślinione buzie, sprawdzać, czy są w użyciu foteliki samochodowe. I sprzątać. Wiesz. Normalne sprawy.

— Supermamozmysł. — Widziałam tył jego głowy, włosy nieznacznie mu się przerzedzały, kiwnął twierdząco. — A co ze śmiertelnym wrogiem? Masz jakiegoś? To znaczy poza Patty.

— Ha-ha. Bardzo śmieszne.

Na górze schodów, tuż przed otwarciem drzwi, stanął, odwrócił się i ujął mnie za rękę, jakby miał do tego pełne prawo.

— Czy potrzebujesz zaufanego adiutanta?

— Przykro mi. — Moja ręka leżała spokojnie w jego dłoni, bezpieczna i rozgrzana. — Już jednego mam.

— W takim razie co powiesz na... ee, przyjaźń naukowca ofermy?

— To się przyda. Tak, stanowczo się przyda.

— Dobra. — Wciągnął mnie na ostatni stopień, do korytarza, a potem puścił moją dłoń, jakbym go nagle ukłuła. Greg siedział w pokoju, grał w grę wideo. Był równie niski jak Martin, nosił ubrania w tym samym stylu, miał równie miękkie włosy, tyle że czarne. Jednak Greg nie lubił Martina, i to z wzajemnością. Zawsze traktowali się z podejrzliwością, ostrożnością, nieufnie. Nie miałam pojęcia dlaczego.

— A więc, panie Sayers — odezwałam się swoim najlepszym, pełnym werwy głosem rodzica członka SPD. — Proszę mi jeszcze raz wyjaśnić, czym się pan zajmuje w pracy?

— Pracuję nad nowym projektem dla Moulton Pharmaceuticals, pani Lee. — Carl odpowiedział równie sztucznym tonem, jakbyśmy byli po prostu parą rodziców, którzy przypadkiem spotkali się w spożywczym. — Z jakiegoś powodu zaczęliśmy nadawać im nazwy. Zajmuję się projektem „Pokusa”.

— Och, jak to miło... o cholera, co powiedziałaś? — Stałam tak gwałtownie, że na mnie wpadł.

— Birdie! — Zerknął na Grega nadal pogrążonego w grze. *Patriotyczne Lizaki. Jedz Patriotyczne Lizaki. Mmmmm. Chrupiące, słodkie. Ślinka ci leci.*

— Wyłącz tę grę! — krzyknęłam, biegnąc przez pokój i wrywając kasetę z konsoli. Greg i Carl gapili się na mnie z otwartymi ustami. — „Pokusa”? Co za „Pokusa”?

— Ja... ja... ale Birdie, gra Grega... — Carl wskazał na telewizor.

— Noo — jęknął Greg. Jeszcze raz mu się przyjrzałam. Wyglądał na tęższego, niż kiedy ostatnio go widziałam. Trochę bardziej pulchnego, okrągłego.

— Co to jest „Pokusa”, do cholery?

— Nie wiem. Wszyscy jesteśmy przydzieleni do różnych sektorów. Ja pracuję teraz po prostu nad izolowaniem genów. Nie mówią nam po co.

— Znasz kogoś nazwiskiem Cobblepot? Carl zaprzeczył ruchem głowy.

— Czy wiesz, czemu Lex miałby mieć cokolwiek wspólnego z tym projektem „Pokusa”?

— Lex? Lex Osborne? Człowiek, który sam doszedł do milionów?

— We własnej osobie.

— Nie mam pojęcia.

— Tato — dość spokojnie przerwał nam Greg — skończyły się *Patriotyczne Lizaki*, a ja mam na nie straszną ochotę. Możesz mi jutro kupić?

— Nie rób tego — zwróciłam się do Carla, trzymając grę wideo w powietrzu jak nagrodę. — Nie obchodzi mnie, że to lokalny produkt. Źle się dzieje w stanie Kansas i sądzę, że to zło nosi nazwisko Osborne. Mam wrażenie, że znalazłam jednak śmiertelnego wroga.

Carl zbladł. Zrobił krok w moją stronę, potem stanął.

— Ale tato — jęknął rozczarowany Greg — co z *Patriotycznymi Lizakami*?

Rozdział 8

Wbrew powszechnie panującej opinii (to znaczy Kelly i Martina) nie jest prawdą, jakobym wyszła z łona matki, dzierząc w dłoni jednorazowe chusteczki antybakteryjne (które obok swifferów są największym wynalazkiem ludzkości).

Jako nastolatka byłam niespokojnym duchem. Kiedyś na prywatce wypiałam piwo zmieszane z winem — tylko jedną szklanekę, ale zawsze. A w klasie maturalnej nie zastosowałam się do obowiązku okładania książek w obrzydliwą klejącą się folię — kiedy oddawałam swój podręcznik do fizyki, niezmywalnym pisakiem była na nim narysowana uśmiechnięta buźka. Wychowawca powiedział, że aby dostać maturę, będę musiała książkę odkupić. Ale tego nie zrobiłam.

Jak zatem widzicie, mam buntowniczą naturę.

Najgorsza jednak była pierwsza klasa liceum, kiedy chodziłam z punkiem. Tak w liceum nazywałyśmy niegrzecznych chłopaków — punkami. Punka można było rozpoznać po niezmiennym szyderczym uśmiechu, który w żaden sposób nie zależał od aktualnego nastroju punka. Kevin Stanton szyderczo wkradł się do mojego serca i szyderczo z niego wyleciał. A między jednym szyderstwem a drugim wiódł mnie ścieżką ciemną i niebezpieczną. Raz przypalił mi papierosem wewnętrzną stronę nadgarstka, tak po prostu. Chociaż bolało, a żołądek wywinął mi kozła w sposób niezdrowy i wstydlivy, powiedziałam sobie, że to nic takiego. Wmówiłam sobie, że mi się to podoba. Bo kiedy milczałam, przygarnął mnie do siebie, pociągnął językiem wzdłuż wygięcia mojej szyi i powiedział, że jeszcze nigdy nie spotkał kobiety takiej jak ja. Wtedy po raz pierwszy ktoś nazwał mnie kobietą. Czy mogłam zrobić coś innego, niż zachichotać i chwycić go za tyłek — i zapomnieć o czerwonym pulsującym kółku na nadgarstku, gdzie wypalił mi swój znak, tak po prostu.

Niedługo potem odwoził mnie samochodem z imprezy, za szybko, boczną drogą i z wyłączonymi światłami. Tak po prostu. A ja byłam przerażona. Tak przerażona, że zdołałam tylko ścisnąć jego udo, a wtedy on sięgnął i położył swoją dłoń na swym wypchanym kroczu, a połączenie szybkości, jego gorącego ciężkiego penisa i mroczej tajemnicy przeszło moje ciało płynnym dreszczem i

zmieniło mnie w zwierzę. Kevin zjechał z drogi i zatrzymał samochód — nie zauważyłam nawet, że właśnie oszukaliśmy śmierć. Chwyciłam go za głowę i pocałowałam tak mocno, że mogłabym go połknąć, po czym pozwoliłam mu zrobić to, czego chciał i czego ja pragnęłam od chwili, gdy pierwszy raz uśmiechnął się do mnie szyderczo na biologii.

Jednak kiedy było już po wszystkim, myślałam tylko o tym, jaki przy tym powstaje bałagan. Właśnie wtedy pierwszy raz przyszło mi do głowy, że przydałyby się antybakteryjne chusteczki do rąk. Potem pomyślałam, jaki bałagan może z tego wyniknąć w przyszłości: mogłabym mieć dziecko z szyderczo uśmiechniętym punkiem, który lubił przypalać mnie papierosem. Na tę myśl żołądek mi się zbuntował, wyskoczyłam z samochodu i zwymiotowałam w zaroślach. Jechaliśmy do domu w milczeniu i kiedy powiedział „dobranoc”, zdałam sobie sprawę, jak ohydny był jego szyderczy uśmiech, jak pryszczatą miał twarz. Kiedy dostałam okres, odtańczyłam w sypialni taniec triumfu i zaczęłam chodzić z miłym Jimmym Hendersonem z naszej ulicy.

A kiedy po latach urodziłam dziewczynkę — śliczną dziewczynkę, która, od razu to wiedziałam, będzie przyciągać najróżniejszych mężczyzn, dobrych i złych — przyrzekłam sobie, że będę ją chronić przed wszelkimi Kevinami Stantonami tego świata.

Myślałam o tym przyrzeczeniu, pędząc do domu swoim małym powgniatanym minivanem, z kostiumem wepchniętym do papierowej torby, bo podejrzewałam, że Patty Osborne wydała już biuletyn SPD ostrzegający przed wariatką noszącą wysokie obcasy i pelerynę. — Gdzie jest twoja siostra? — Wtargnęłam do kuchni. Martin schował za plecami torbę Patriotycznych Lizaków. Posłałam mu lekko stłumione Bezlitosne Spojrzenie. Westchnął i oddał mi lizaki.

— Nie wiem. Jak ci dziś poszło?

— Dziś? Co... aha, to. — Odwróciłam się i wrzuciłam Patriotyczne Lizaki do śmietnika, zastanawiając się, co mogłam mu powiedzieć. O bieliźnie walającej się po podłodze — nie, tego nie mogłam. O tłumie, który gonił mnie po parkingu — o nie. O tym, jak Carl mnie pocałował — zdecydowanie nie, ani dziś, ani kiedykolwiek indziej.

O tym, że Kelly...

Tymczasem na podjeździe zjawił się samochód, opływowy samochód bogatego chłopaka, eleganckie reflektory zaświeciły przez okno do wnętrza kuchni.

— Złamałam obcas — oznajmiłam, wyglądając przez okno. Kelly wysiadła. Harry nie ruszył się z miejsca. Kelly biegiem okrążyła auto i wetknęła głowę przez okno, od strony kierowcy, wystawiając się do pocałunku. On wystawił rękę i klepnął ją w tyłek, potem na nią zatrąbił, gdy biegła w stronę domu, aż podskoczyła. Zjechał z podjazdu, zanim jeszcze doszła do drzwi. — Będziemy musieli nad tym popracować. — Krew zaczęła mi się gotować w żyłach.

— Nad czym?

— Nad moimi obcasami.

— To wszystko?

— Tak. Nie. Muszę to odłożyć. — Pobiegłam na górę z wymiętą papierową torbą, bo Kelly już prawie stała w drzwiach.

— Przecież jestem twoim zaufanym adiutantem — krzyknął za mną Martin. — Możesz mi powiedzieć!

— Później.

— Już jestem! — zawołała Kelly i z trzaskiem zamknęła za sobą drzwi do kuchni. Wepchnęłam torbę pod łóżko i przekradłam się na dół.

— Cześć, mamó. — Kelly otworzyła lodówkę. — Jest coś do jedzenia?

— Co, jesteś głodna? Bardzo głodna? Dlaczego? Czemu jesteś bardzo głodna? — Nie mogłam się powstrzymać. Zatrzasnęłam lodówkę i złapałam ją za nadgarstki. Wyglądały w porządku.

— Co robisz? — Wyrwała się. Przysunęłam twarz bardzo blisko do jej buzi i wlepiłam wzrok w jej szare oczy. Nie były zaczerwienione — a może jednak? Czy nie widać lekkiej różowej obwódki wokół tęczy? — Mamó! Czemu mnie straszysz? Kiedy przyjechałaś do domu? Nie widziałam cię na imprezie.

— Dopiero co. Też cię nie widziałam, tylko na... — Zdażyłam ugryźć się w język.

— Widziałaś podglądacza?

— Kogo?

— Słyszałam, że jakiś świr, ten cały podglądacz, śledził dzieciaki. Jeden chłopak powiedział, że coś na niego wyskoczyło z krzaków.

— Raczej wątpię.

— Widziałaś?

— Nie. — Spojrzałam na nią z przymrużonymi oczami. — A ty?

— Nie. — Też zmrużyła oczy.

— Kelly, czy jest coś... czy dobrze się bawiłaś, kochanie? — Wciąż jeszcze tak ładnie wyglądała w balowej sukience, na ustach miała ślad szminki, jasne rzęsy pociągnięte tuszem. Całe oburzenie jakoś ze mnie wyparowało i chciałam już tylko pogłaskać ją po jedwabistych włosach.

— Tak. Raczej tak. Było w porządku.

— Czy Harry dobrze cię traktował?

— Hę?

— Bo wiesz, nie musisz robić niczego, co jest dla ciebie nieprzyjemne.

— Wiem. — Zmarszczyła piegowaty nos. — Już o tym rozmawialiśmy, mamo. Nie znaczy nie. Rozumiem to.

— Dobrze, ale... to znaczy nie chodzi mi tylko o seks... — Z przerażeniem stwierdziłam, że zaczynam się czerwienić. Kelly uśmiechnęła się nieznacznie i twarz zaczęła mnie palić jeszcze mocniej. — Mężczyzna może cię skrzywdzić na wiele sposobów.

W tym momencie się spięła. Jakby opadła między nami zasłona.

— Picie, narkotyki, no wiesz... — mimo wszystko brnęłam dalej.

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Rozumiem, że czasem trudno jasno myśleć, kiedy się jest zakochanym.

Kelly się odwróciła i z uniesioną jasną brwią wyglądała na dwór przez kuchenne okno.

— Nie sędzę, żebyś była najwłaściwszą osobą do wygłaszania nauk na temat relacji damsko-męskich, mamó.

Z wysiłkiem przełknęłam ślinę i przyjąłam cios. Ale wybaczyłam jej, bo była magiczna jesienna noc, a ten zabójczo przystojny chłopak nie odprowadził jej do drzwi i nie wyszeptał na ucho, jak pięknie wygląda w świetle księżyca.

— Nie rozmawiamy o mnie. Rozmawiamy o tobie i Harrym.

— Nie znasz Harry'ego tak jak ja. O niczym nie masz pojęcia. On mnie kocha.

— Ludzie, którzy się kochają, nie robią...

— Czego nie robią? — Zacisnęła dłoń na krawędzi blatu.

— Nie próbują skłonić cię to robienia niebezpiecznych rzeczy, Kelly. Nie podoba mi się ten chłopak.

Nie odpowiedziała. Trochę się tylko zgarbiła, jakby akceptując porażkę. Wyciągnęłam do niej rękę gotowa wziąć ją w objęcia, gotowa pocieszyć. Ale ona wyminęła mnie, nawet nie patrząc.

—I co? Zabronisz mi widywać się z Harrym? To właśnie zrobisz?

— A chcesz, żebym to zrobiła? — Szłam za nią, przyglądając się jej uważnie, próbowałam zrozumieć, co chce ode mnie usłyszeć.

— Nie — powiedziała bezbarwnym głosem, jakby recytowała coś z pamięci.
— Nie. Harry mnie kocha. Wiem, że się boisz, żeby mnie nie skrzywdził, tak jak tata skrzywdził ciebie, ale on tego nie robi. Nie złamie mi serca.

— Możesz mi wierzyć lub nie, skarbie, ale są rzeczy gorsze niż złamane serce.

Przewróciła oczami. Jakim cudem mogłam cokolwiek rozumieć?

— A jednak chciałabym cię ochronić przed złamanym sercem — wyszeptałam, myśląc o pięknym dziecku, które nosiłam na rękach tak dawno temu.

— Wiem, ale nie możesz tego zrobić. Nie chcę, żebyś to robiła.

Patrzyłyśmy na siebie jak najzwyklejsze matka i córka, obie bezsilne, tak bliskie, a zarazem tak odległe, nie potrafiąc wypełnić pustki, która wkra-

dła się między nas. Podałam się pierwsza, poszłam nalać sobie szklankę wody. Kelly otworzyła lodówkę, zamknęła ją, rozejrzała się po kuchni, jakby nie mogła uwierzyć, że jest taka mała i nędzna, i zwyczajna. A ja wiedziałam, że w tej ocenie uwzględni także mnie, jeszcze jeden mebel, równie funkcjonalny i potrzebny jak dodatkowe krzesło przy stole. A potem wyszła z kuchni.

Przyglądałam się jej, kiedy wspinała się po schodach. W moich oczach nie wyglądała inaczej. Dalej była moją córką, szóstkową uczennicą grającą na klaracie, wiecznie się zamartwiającą, ostrożną. A może nie miałam racji. Może była silniejsza niż ja w jej wieku. Być może.

Też poszłam na górę, wyłączyłam światła, pohałasowałam tak jak przy kładzeniu się spać — głębokie westchnienia, ziewanie, nakręcanie budzika. Pokręciłam się z boku na bok w łóżku, udając, że zasypiam.

Ale oczy miałam otwarte, czujne, uważne.

Po kilku minutach wypełzłam z łóżka, uważając, by nie narobić hałasu. W korytarzu było ciemno, światło u Martina zgaszone. U Kelly się świeciło. Jej komputer zaszumiał, wracając do życia, palce zaczęły stukać w klawiaturę. Przykucnęłam pod drzwiami, modląc się, żeby nie strzeliło mi w kościach, usadowiłam się wygodnie i zaczęłam czekać. Miałam zamiar zostać dłużej.

Poczułam być może lekkie wyrzuty sumienia, nie pamiętam. Wiem tylko, że wówczas sądziłam, iż nie mam innego wyjścia.

Musiałam uruchomić superpodśluch.

Rozdział 9

Na jakiś czas się przyczaiłam. Razem z Martinem udoskonalaliśmy mój kostium. Tymczasowo zrezygnowaliśmy z wysokich obcasów na rzecz tenisówek. Ostre nożyczki zastąpiłam takimi o okrągłych końcach.

A potem zabrałam się do wprowadzenia porządku w Astro Parku. Pomiedzy pracą, gotowaniem, lekcjami muzyki, praniem a spotkaniami SPD, meczami piłki nożnej, sztorcowaniem dzieci i przypominaniem im o odrabianiu lekcji, wizytami u ortodonty i chodzeniem na wywiadówki — normalka.

Supermama. Czyż wszystkie nie jesteśmy supermamami? Można by pomyśleć, że po uratowaniu sześciorga dzieci przed udławieniem się hot dogami, pięciorga brzdąców przed wybiegnięciem na ulicę, niezliczonych innych od śmierci w źle zamocowanych fotelikach samochodowych, masy nastolatków przed zakupem papierosów od niechlujnego faceta prowadzącego stację benzynową obok skate-par—ku i zabandażowaniu jakichś siedemdziesięciu pięciu obtartych kolan zasłużę sobie na odrobinę szacunku ze strony zacnych mieszkańców Astro Parku. Ale nie.

— Musimy podjąć ostre kroki przeciwko podglądaczowi — ogłosiła Patty zza swojego stołu w trakcie kolejnego spotkania SPD. — Policja poradziła, żeby zatrudnić dodatkowych rodziców przy wszystkich szkolnych imprezach. Ten zboczeniec wyraźnie namierza dzieci. Za wszelką cenę musimy chronić dzieci.

— Namierza dzieci? — mruknęłam do Carrie. — Kto tak twierdzi?

— Cśś — odburknęła Carrie. — To poważna sprawa, Birdie. Nie wiem, dokąd poszłaś tamtej nocy, ale niektóre dzieci były naprawdę przerażone.

— Nie były. Przesadzają, możesz mi wierzyć.

— Ja zgadzam się z Patty. A tak przy okazji, dokąd pobiegłaś tamtej nocy?

— Coś się wydarzyło. Nieważne.

— Znowu. Ostatnio ciągle coś ci się zdarza. — Carrie rzuciła mi to swoje przenikliwe spojrzenie, które kazało wątpić w sens noszenia przez nią okularów.

— Może powinniśmy założyć gorącą linię — zasugerowała Mary

— żeby ludzie mogli dzwonić, kiedy zauważą podglądacza.

— Słyszałam, że to kobieta — pisnęła Marge. — Czy można nazwać kobietę podglądaczem?

— No to może podglądaczką?

Patty westchnęła i oparła głowę o blat.

— Supermama — zabrzmiał męski głos, który przyprawił mnie o drżenie serca.

— Co? — Patty podniosła wzrok.

— Słyszałem, że nazywają ją Supermamą — powiedział Carl.

Odwróciłam się, Carl puścił do mnie oko, a ja spłoszyłam.

— A tak, czy nie wspominał o tym jeden z dzieciaków, ten, który był chory? — pokiwała głową Terry.

— Supermama? Naprawdę? Cóż, to pewne, że mamy do czynienia z kimś, kto cierpi na poważną chorobę psychiczną. — Patty pokręciła głową. -1 to jeszcze jeden powód, żeby wzmocnić ochronę. Birdie!

— Słucham — Poderwałam się. Serce skoczyło mi do gardła, nogi miałam jak z galarety. — To nie ja!

— Co? Oczywiście, że nie, nie bądź śmieszna. Rozdaj te deklaracje.

— Ach, dobrze. — Wzięłam je i rozdałam.

Gdy doszłam do Carla, nasze dłonie się spotkały i oboje uśmiechnęliśmy się szeroko jak dwa głuptasy.

— Co to było? — wyszczała Carrie, gdy usiadłam.

-Nic.

Carrie szarpnęła grzywkę.

— Czy są jeszcze jakieś stare sprawy, którymi trzeba się zająć? — zapytała Patty.

Podniosłam rękę, nie zwracając uwagi na ostre spojrzenie Carrie.

— Tak, Birdie?

— Czy pamiętacie ostatnie spotkanie, gdy głosowaliśmy nad poparciem dla gry wideo *Amerykańska sprawiedliwość*?

Patty i Lex wymienili szybkie spojrzenia.

— Tak?

— Cóż, chciałabym złożyć wniosek, żeby zakazać tej gry — wyrzuciłam z siebie i jak najszybciej osunęłam się na krzesło, starając się nie spojrzeć na Carrie.

Zaczęła się wiercić, jakby miała robaki.

— Co?!

— Czy ja dobrze słyszę, Birdie? — zaśmiała się Patty — Chciałabyś zakazać Amerykańskiej sprawiedliwości?

Wszyscy zaczęli się śmiać. Wszyscy oprócz Lexa.

— Tak właśnie. Uważam, że powinniśmy jej zabronić, ponieważ jest szkodliwa dla naszych dzieci.

— Cóż Birdie, czyż swego czasu ty i twoja przyjaciółka nie uważałyście, że zakazywanie czegokolwiek jest niezgodne z konstytucją? — spytała Patty.

— Bo jest — zaszemrała Carrie.

— Wiem — zwróciłam się do Carrie — ale naprawdę uważam, że ta gra jest szkodliwa. Niebezpieczna. Niedobra.

— A która nie jest? Ale to jeszcze nie powód, by jej zakazywać.

— Wiem, ale ta jest inna. I uważam jeszcze, że powinniśmy zbojkotować Patriotyczne Lizaki — zgarbiłam się przygotowana na wybuch.

— Zbojkotować Patriotyczne Lizaki?!

— To lokalny produkt!

— To amerykański wyrób!

— Mój mąż tam pracuje!

— I mój też!

— Ja tam pracuję!

— Po tym wszystkim, co Nowy Kosmos zrobił dla naszej społeczności — nigdy!

Nad wszystkim górował głos Carrie, nabierał siły, aż cała reszta stała się tylko mamrotaniem w tle.

— Birdie, tak jak ty martwię się sprawą rafinowanego cukru, ale bojkot? Jakie masz powody? Czy niszczy nasze środowisko? Czy jest produkowany przez gwatemalskie dzieci?

Żałośnie potrząsnęłam głową, czując ciężar gniewu Carrie. Nigdy dotąd nie padłam ofiarą jej bezwzględnej praworządności i kompletnie mi się to nie spodobało.

Wszyscy stopniowo umilkli i zaabsorbowani gapili się na nas. Nawet drewniany młotek Patty leżał bez ruchu, oczy Leksa były nieruchome jak oczy węża. Nikt się nie odzywał, nikt oprócz Carrie.

— Myślę, że potrzebujemy lepszego powodu niż twoje przekonanie o szkodliwości tej gry. Ja na przykład uważam, że czekoladowe kulki szkodzą moim biodrom, ale to mnie nie upoważnia do ich bojkotu. To tylko znaczy, że muszę ćwiczyć silną wolę.

— Carrie, to co innego. A jeśli ja wiem, że one są szkodliwe? — Staralam się uniknąć spojrzenia Leksa, gdy wyszeptalam: — A jeśli wiem na ten temat coś, czego ty nie wiesz?

— To mi powiedz. — Carrie bynajmniej nie szeptała.: >

— Nie mogę.

— Nie możesz mi powiedzieć? Ty i te twoje tajemnice. Dlaczego mnie to nie dziwi?

— Musisz mi zaufać. Dowiedziałam się o tej grze czegoś, czego nikt nie może wiedzieć. — Znowu zniżyłam głos.

— Ty? Ty? Akurat. — Carrie się roześmiała. Ostry dźwięk ranił moje uszy. — Birdie, a skąd mogłabyś coś takiego wiedzieć? Przeczytałaś w „National Enquirer”? Na Boga, pracujesz jako kasjerka w spożywczym. Co ty możesz wiedzieć?!

Wszyscy gwałtownie zaczerpnęli powietrza, a ja nie mogłam złapać tchu.

— Tak jak ty.

— To co innego. — Oczy Carrie błysnęły spoza okularów zimnym blaskiem. Jeszcze nigdy tak na mnie nie patrzyła. — Ja wracam do szkoły, żeby się dokształcać. A ty tylko...

— Co? Co ja tylko?

— To po prostu co innego — powiedziała, oblizując wargi, jakby się chciała pozbyć jakiegoś obrzydliwego smaku.

Zrobiło mi się niedobrze. Zimno, mdło. Poczułam się brudna.

Carrie złożyła ręce na podolku i obserwowała je, jakby mogły zniknąć. Wszystkich zatkąło. W końcu Lex wstał, wziął z rąk Patty drewniany młotek i zaśmiał się protekcjonalnie.

— Cóż, muszę podziękować Carrie za zakończenie tematu tego bzdurnego bojkotu. Jak słusznie zauważyła, Birdie nie zna się na interesach, nie mówiąc już o systemie prawnym. Ale jestem pewien, że mówiła to wszystko prosto z serca, i należy jej podziękować za troskę o nasze dzieci. Za wszelką cenę musimy pamiętać o dzieciach. — Potem uderzył młotkiem w stół z taką siłą, że mebel o mało się nie rozpadł. — Spotkanie zakończone.

Cicho, powłócząc nogami, wszyscy wyszli z sali. Zostałam tylko z Carrie. Nagle się zerwała i popędziła do samochodu, jakby ktoś ją gonił. Odwróciła się jeszcze, chciała coś powiedzieć, ale myślę, że moja mina' ją powstrzymała. Choć nie pamiętam. Tak naprawdę niewiele pamiętam z tego, co wówczas czułam.

Carl czekał przy moim samochodzie.

— Może pójdziemy gdzieś na kawę?

Potrząsnęłam głową. Przygarnął mnie ramieniem i nie chciał puścić. Wtedy wybuchnęłam płaczem.

— Więc to nasza druga randka?

— Tak. — Wydmuchałam nos w papierową serwetkę. — Chyba tak.

Siedzieliśmy na piknikowym stole. Niebo było ciemne, a niskie ołowiane chmury zapowiadały deszcz, było jednak zadziwiająco ciepło jak na tę porę roku. Miałam na sobie lekką kurtkę, a Carl żółtą bluzę od dresu z Rockym i Bullwin-
kle.

Zawiózł mnie do cichego parku z piknikowymi stołami, ławkami i boiskiem do gry. Park przylegał do uroczego stawu, którego brzegi wyłożono jednakowej wielkości białymi głazami.

Całą drogę płakałam. Płakałam, bo właśnie kogoś straciłam i tym kimś była Carrie. Moja najlepsza przyjaciółka, od kiedy pamiętam, z czasów jeszcze przed rozwodem. Tylko ona została z mojego małżeństwa. Śmieszne, jak to się dzieje. Śmieszne, że po rozwodzie twoje życie dzieli się na dwie części — przed i po. I każda z nich jest zupełnie niepodobna do drugiej, zmiana sięga ludzi, którzy mówią ci „dzień dobry” na szkolnym meczu piłki nożnej. Ale Carrie była niezmienna, była moim kompasem. Kochała mnie i szanowała. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo polegałam na tej wiedzy, cały czas mi towarzyszyła. Ubierałam się w nią każdego ranka, tak jakbym wkładała skarpetki czy bieliznę. A teraz czułam się, jakbym włożyła rano tylko jedną skarpetkę, wytracona z równowagi, niepełna.

Dzieci mnie nie znały, nic o mnie nie wiedziały oprócz tego, że ich życie beze mnie nie byłoby dobre. Carrie mnie znała. Mówiła mi wszystko o mnie samej, nawet kiedy nie chciałam tego słyszeć. Ale teraz odeszła, tak po prostu. Usunęła się z mojego życia, zrobiła to, decydując się użyć słów, których użyła.

— To wszystko przez tę głupią sprawę Supermamy, prawda? — Zastanawiałam się głośno. — Prawda?

— Cóż. — Carl wypił ostatni łyk kawy i wyrzucił kubek do zardzewiałego kosza na śmieci. — Nie wiem. Wydaje mi się, że myślała o tym już od dawna, a nie od kilku dni.

— Może. — Nie chciałam tego słuchać. Nie chciałam się zastanawiać, od jak dawna tak myślała — że jestem głupia, naiwna, zadowolona z pracy kasjerki w sklepie, że to wszystko, na co mnie stać, gdy tymczasem wcale tak nie było. Lu-

biłam tę pracę, bo na swój sposób była przyjemna, kojąca i przewidywalna. Prawie wszyscy, których tam spotykałam, byli mili. Widząc towary, które kupowali, mogłam zgadywać, jakie wiedli życie. Kto na przykład mógł zapełnić wózek mrożonymi zakąskami, batonikami i gotowymi kanapkami, jednocześnie zadając sobie trud zgromadzenia wszystkich składników do przygotowania gnocchi w karmelu z jabłkami, kurek i pieczonego kabaczka? Mogę wam powiedzieć kto — woźny w kościele metodystów. Rozszyfrowywałam ludzi, patrząc, co wkładają do koszyków, w nadziei, że ktoś mnie zaskoczy jak ten woźny. Nie zdarzało się to jednak często, ale to też było fajne. Uspokajało mnie, że większość ludzi jest przewidywalna tak jak ja.

— Zraniła cię, prawda? — Carl przyciągnął mnie do siebie. — Nie cierpię myśli, że ktoś cię rani.

— Naprawdę? — Przymknęłam oczy i położyłam głowę na jego ramieniu. Tak miło być przytulaną, tak bezpiecznie. Chociaż nie do końca. Istniał także niepokój. Niebezpieczeństwo bycia zbyt blisko, odpoczywania w ramionach, które mogły zabrać mnie w tyle miejsc, gdy tymczasem wcale nie byłam pewna, czy jestem na to gotowa. Trudno było się odprężyć, wiedząc, że przeskoczyliśmy kilka etapów, od pierwszego niepewnego pocałunku wprost do uścisku spełnionych kochanków. Ominęło nas coś ważnego, coś gwałtownego. Ta świadomość czyniła każdy uścisk jego dłoni, każdy ruch mięśni na jego karku elektryzującym i niepokojącym. A jednocześnie było w tym tyle spokoju, tyle czułości. Moje ciało nie mogło się zdecydować, co wybrać — czułość czy niebezpieczeństwo.

— Robiłeś to już kiedyś?

— Co? — Carl spojrzał na mnie. Wtedy poczułam powiew jego zapachu: wanilia z palonym drewnem.

— To, no wiesz. To... jak my.

— Ze sto razy.

— Słucham? — Podniosłam głowę z jego ramienia.

— No pewnie. Co najmniej sto razy.

— Co najmniej?

—A ty nie?

— No nie. To znaczy nie tak wiele razy. Nawet w college'u.

— Szkoda. — Cmoknął. — Siedzenie na piknikowym stole jest niedoceniane. Robię to, gdy tylko nadarzy się okazja.

— Och... Och! — Roześmiałam się. — Ale poważnie, chodziłeś ostatnio na randki? To znaczy po rozwodzie?

— Ostatnio nie. Trochę dawniej.

— Och. — Patrzyłam na wodę omywającą kamienie wokół stawu. — Ja nie.

— To znaczy, że sytuacja wydaje ci się trochę dziwna?

Pokiwałam głową.

— Rozwiodłem się dawno. — Zaczął łagodnym głosem, jakby opowiadał mi bajkę na dobranoc. — Greg był jeszcze małym brzdącem.

Wcześniej się pobraliśmy, typowa historia. Rozstaliśmy się bez żalu. Okazało się, że ona wcale nie chciała być ani żoną, ani matką. Byłem szczęśliwy, że dała mi Grega. Zostaliśmy tylko we dwóch i przeważnie mi to nie przeszkadzało. Ale czasem... cóż... więc czasem się umawiałem, kiedy koledzy mi coś zorganizowali. Ale to nigdy nie było nic... szczególnego.

— Szczególnego?

— Szczególnego. Tylko wymówka, żeby usprawiedliwić kolację w restauracji, gdzie podają lniane serwetki.

— Hm. Byłoby miło. Zjeść w restauracji z lnianymi serwetkami. — Westchnęłam.

Zaśmiał się, ściskając moje ramię.

— Kiedyś możemy to zrobić. Obiecuję.

— Ale... dlaczego ja? Nikt nas nie swatał.

Wpatrywałam się w jeden głaz, z determinacją koncentrując uwagę na opływającej go wodzie.

— Nie. — Ujął mnie za rękę. Prawą. — Już dawno cię zauważyłem. I zawsze się zastanawiałem, dlaczego inni nie. Zawsze wydawałaś się taka pogodna. Bił od ciebie blask.

Zaczęłam płakać, słysząc jego dobre łagodne słowa przeznaczone tylko dla mnie. Znalazły mnie, gdy czułam się taka samotna i bezwartościowa, przekonaly mnie, że jest inaczej. Jestem dobra, potrzebna, zasługuję na miłość. Musiałam płakać, bo w żaden inny sposób nie mogłam się na to przygotować.

Otarł moje łzy. Pokręciłam głową. Całował mnie, aż łzy zmieszały się z czymś mokrym na jego policzkach. A potem poprowadził pod opiekuńczą sosnę. Wziął mnie za rękę, objął talie, dotknął piersi — ogarnął całe moje ja. Objął ramionami, ustami, otulił cichą pewnością, że oboje tego potrzebujemy. I miał rację. Powtarzałam mu to tak długo, aż oboje odsłoniliśmy się do tego stopnia, że musieliśmy razem zapłakać. Jeden wspólny szloch, który poszybował nad szczyt drzewa, zatrzepotał i zapadł mi w serce, na zawsze łącząc mnie z nim w uścisku. Carl uniósł moje włosy, całował spocony kark. Delikatnie dmuchnęłam w jego wilgotne czoło.

— Nie mogę uwierzyć...

— Jak myśmy to...

— Nie myślałam, że my...

— W najskrytszych marzeniach nie przypuszczałam...

— Mój Boże, taki jestem...

— A ty jesteś tak...

— To było takie...

— Wspaniale. — Westchnęliśmy jak jedno ciało. Powiał zimny wiatr. Kiedy tak się ochłodziło? Kiedyś. Po prostu nie zauważyliśmy. Ale teraz tuliliśmy się, żeby się ogrzać, tarzaliśmy się po rozrzuconych wcześniej ubraniach, przykryliśmy się moją kurtką jak peleryną. Jednak najbardziej sensowne wyjście — ubrać się i wsiąść do samochodu — nie przyszło nam do głowy. To było zbyt oczywiste. Byliśmy zbyt upojeni tym, co właśnie się wydarzyło, by znaleźć jakiegokolwiek oczywiste rozwiązanie.

— Birdie? Dobrze się czujesz?

— Tak, nie myślałam, że będę... To znaczy nie myślałam, że będę mogła znowu to zrobić, ale cóż... Nie dałeś mi czasu do zastanowienia. — Zachichotałam.'

— Uwielbiam to. — Uśmiechnął się i wreszcie mogłam zrobić to, na co zawsze miałam ochotę, pieścić głębokie bruzdy, które nadawały jego twarzy tyle charakteru.

—Co?

— Chichoczesz w ten sposób. To takie słodkie.

— Słodkie?

— Tak uważam.

— No dobrze. — Westchnęłam mimo wszystko szczęśliwa.

Leżeliśmy przez chwilę, aż zaczęłam rozpamiętywać to, co

zdarzyło się między nami od momentu, gdy wziął mnie za rękę, otarł łzy swoim policzkiem, zgniół mnie w ramionach, w jakiś sposób przetransportował pod drzewo, pociągnął za sobą, a nasze ubrania jakby wyparowały.

— O mój Boże — usiadłam, naciągając marynarkę na wypadek, gdyby księżyc miał wyjść zza chmur i oświetlić mój cellulit.

— Co się stało?

— Prezerwatywy! Prezerwatywy!

—Co?

— Nie mogę w to uwierzyć. Jestem Supermamą! Niie wierzę, że zapomnieliśmy o prezerwatywach!

— Och — potarł brodę. — Cóż.

— No właśnie, cóż.

— Cóż, ja... ja miałem wazektomię po urodzeniu się Grega.

— Naprawdę? Podwiązałeś sobie nasieniowody?

Pokiwał głową.

— No dobrze. Ale... Boże, Boże! Nie wiem, jak to powiedzieć... Wydaje mi się, że wszystko robimy w złej kolejności. Nie wiem nawet, jak masz na drugie imię.

-Antonio.

— Dzięki. Hm. Antonio? Naprawdę? Ha.

— Birdie, wiem, że masz rację, i powinniśmy, byli przestać, ale... Birdie, proszę... Czy nie było cudownie?

Wyglądał jak smutny mały chłopiec, a ja poczułam się fatalnie.

— Och tak, Carl, było. Było idealnie. Przepraszam, nie o to mi chodziło. — Zmusiłam się, żeby przestać myśleć o tym wszystkim, co mogło się wydarzyć, o złych rzeczach, które mogły mnie zranić, zabić czy chociażby zepsuć mi dzień. Skoncentrowałam się na tym, że odpoczywam pod sosną ze wspaniałym mężczyzną, który chciał zapamiętać mnie właśnie taką — cudowną. Co złego mogło mnie spotkać przy takim mężczyźnie?

— Ale teraz mam obowiązki, jestem Supermamą — wyszeptałam. Nie mogłam się położyć. — Chciałbyś, żeby Greg tak postąpił? — Nie odpowiedział.

— Tak przypuszczałam. Cały czas myślę o Kelly. Zabiłabym ją, gdybym odkryła, że zrobiła coś tak nieodpowiedzialnego jak, jak...

— Jak seks pod sosną z kimś, komu bardzo na niej zależy?

— Nie. — Potrząsnęłam głową i wzięłam go za rękę. Ścisnął mnie mocno. — Jak uprawianie seksu bez zabezpieczenia z mężczyzną, którego ledwie zna.

-Wiesz — Carl odchrząknął, cały czas ściskając moją rękę — masz wybór. Ty wybierasz, jak na to spojrzeć.

— Nie jestem pewna. W końcu jesteśmy rodzicami. Nie wiem, czy mamy jakiś wybór. Raczej nie.

— Może nie.

Zaczęliśmy się ubierać niezdarnie, unikając patrzenia na siebie. Dlaczego ubieranie się jest bardziej intymne niż rozbieranie? Potem usiedliśmy blisko, dotykając się ramionami.

— Myślę, że byłoby lepiej — zaczęłam zadowolona, że nie widzę jego twarzy — gdybyśmy trochę zwolnili. To znaczy było cudownie, naprawdę.

Łzy napływały mi do oczu i teraz cieszyłam się, że i on mnie nie widzi.

— Carl, mam czterdzieści jeden lat i nie umówiłam się z mężczyzną od dwudziestu. Mam też córkę, która chodzi na randki, oraz syna, który wkrótce zacznie. Może. No i przechodzę wielką przemianę. W każdym razie próbuję ci powiedzieć, że zaczęliśmy od końca. Może powinniśmy się umówić na prawdziwą randkę, trzymać się za ręce, opowiadać o sobie i nie robić... tego... dopóki nie będziemy zupełnie pewni, jak się sprawy mają. I wtedy zrobić to w prawdziwym łóżku, bo przypuszczam, że jutro będę cała posiniaczona.

Zaśmiał się, ale gdy zaczął mówić, w jego głosie słychać było rozczarowanie.

— Dobrze, Birdie. Prawdę mówiąc, nie mam nic przeciwko robieniu pewnych rzeczy nie po kolei. Za pierwszym razem zachowałem kolejność i wcale nie wyszło za dobrze, rozumiesz?

— Rozumiem. Ja też.

— Ale masz rację. Teraz mamy inne priorytety. Dzieci nastolatki. Nie myślałem o tym. Zabiłbym Grega, gdyby kochał się bez zabezpieczenia. Nie żebym uważał, że to wkrótce nastąpi, w klubie rysunkowym nie ma żadnych dziewczynek, ale kiedyś... I jak mógłbym mu powiedzieć, patrząc prosto w oczy, kiedy sam... Ale Birdie?

— Słucham?

— To było coś innego, prawda? My, teraz, to coś innego. To nie był po prostu seks bez zabezpieczenia, prawda?

Potrząsnęłam głową i wtuliłam twarz w jego ramię. Przyciągnął mnie do siebie i teraz już oboje pachnieliśmy wanilią i palonym drewnem. To było naprawdę przyjemne.

— Czy mogę odwieźć cię do samochodu, a potem pojechać za tobą do domu?

— Tak. Ale nie. Muszę... o mój Boże! — Zaczęłam się śmiać.

— Co takiego?

— Muszę jeszcze kupić mleko. Naprawdę muszę. Nie kombinuję.

∴y Śmiałaam się cały czas, gdy pomógł mi wstać i zaprowadził do samochodu, trzymając tak mocno, że nie zdołałabym uciec. Nawet gdybym chciała.

— Dlaczego miałabyś kombinować? — zapytał, patrząc słodko, zniewalająco.

Położyłam mu rękę na policzku i pokręciłam głową, nie miałam siły odpowiedzieć.

TLR

Rozdział 10

A zatem w jaki sposób ledwie wiążący koniec z końcem człowiek, wypiekający naprawdę paskudne patriotyczne ciasteczka, mógł zostać milionerem w dwa lata? I w jaki sposób reklamy podprogowe promujące te ciasteczka znalazły się w japońskiej grze wideo?

I co najważniejsze, dlaczego właściwie Tonya Nederlander była taka wkurzona, że Danny Barone ją rzucił, jeśli powszechnie było wiadomo, że od co najmniej dwóch tygodni spotykał się za jej plecami z Tiffany Marshall?

To były tylko niektóre sprawy zaprzatające myśli Supermamy. Aby zapomnieć o Carrie, o chwili nieodpowiedzialnej namiętności pod sosną, aby uchronić córkę przed uściskami syna swojego potencjalnego śmiertelnego wroga, dałam się pochłonać tożsamości superbohaterki. Stanowiła sens mojego istnienia, przesądzała o tym, co robiłam i kim byłam. W sklepie, gdzie pracowałam z przyklejonym plastikowym uśmiechem, zwróciłam uwagę na coraz częstsze kupowanie Patriotycznych Lizaków połączone z szaleństwem nabywania kolejnych pluszaków przedstawiających bohaterów Amerykańskiej sprawiedliwości. Od czasu do czasu zagadywałam klientów i odkryłam, że każdy z nich miał już tę grę.

W domu zaanektowałam komputer Martina i poszukiwałam informacji w internecie. Podśluchiwałam też wszystkie rozmowy Kelly. W ten sposób dowiedziałam się o Toni Nederlander i Danny'm Barone. A jednocześnie byłam Supermamą i poczynałam sobie coraz śmiejiej, prawdopodobnie zwracając na siebie większą uwagę, niż to było konieczne. Ale prasę miałam naprawdę dobrą.

KIM JEST SUPERMAMA — pytał dziennik „Astro Daily World”.

„Kim jest tajemnicza opiekunka, która jedną ręką wymierza matczyną sprawiedliwość, a drugą rozdziela krakersy w kształcie zwierzątek? Czy jest wśród nas prawdziwy superbohater? A może następny świr?

»Dziękuję Bogu za Supermamę — powiedziała nam pani Eileen McArdle. — Uratowała mojego małego lana przed potrąceniem przez betoniarkę na przejściu

dla pieszych. Strażnika nie było, a ona pojawiła się w swoim minivanie i chwyciła lana w ostatniej chwili. Potem dała mu herbatnika i kartonik soku».

Jednak inni członkowie naszej społeczności nie są wcale przekonani o dobrych intencjach Supermamy.

»Ona śledzi dzieci — twierdzi Patty Osborne, prze— ; wodnicząca SPD okręgu Hawthorne. — Czy nikt tego nie zauważył? Zawsze kręci się w pobliżu dzieci. Podejrzewam, że to zboczona wariatka, niebezpieczna dla naszego miasta. Dlaczego nikt jej nie powstrzyma?».

»Ponieważ — odpowiada komisarz policji Borden — dosłownie wyczyściła nasze miasto. Czy widzieliście ostatnio chodniki? A alejki? Czyściutkie. Wydała policji kilku handlarzy, którzy sprzedawali alkohol i papierosy nieletnim, a także paru poszukiwanych przez nas drobnych dilerów narkotyków. To cudowne, jak ich tu przyprowadza za uszy. Powinniście zobaczyć, jak potrafi posłać ich do superkąta, jeśli się opierają! Jest taka słodka, przypomina mi moją matkę».

No cóż, mieszkańcy Astro Parku, macie swoją Supermamę. Zmorę czy może Matkę Roku?".

— Słodka. — Westchnęłam.

— Mówiłaś coś? — Carrie się odwróciła.

— Nie, raczej nie.

— Birdie, ja...

— Przepraszam, skończyłam zmianę. — Odwróciłam się i zgasłam światło. A potem wyszłam, starając się zapomnieć o zaczerwienionych oczach i potarganej grzywce Carrie.

— Mamo, mam kilka pomysłów na rozwiązanie problemu wysokich obcászów. Myślę, że jeśli się postaramy...

— To miło, kochanie. Nie teraz, proszę. Muszę czegoś poszukać. Mogę skorzystać z twojego komputera?

— Chyba tak. — Martin się zgarbił.

Zgniótł kartkę z notatnika i wyrzucił do kosza. Nie zwróciłam na to uwagi. Byłam zajęta zgadywaniem, jak się zalogować na Lexis-Nexis.

— Kelly?

— Uhm?

— Dokąd idziesz?

— Do Candance. Będziemy się uczyć w kilką osób.

— Harry też będzie?

— Nie.

— Rodziców Candance nie będzie w domu, prawda?

— Właśnie miałam... hej, skąd wiesz? Śledzisz mnie?

— Oczywiście, że nie. Ale myślę, że w takim wypadku wszyscy powinni przyjść do ciebie.

Kelly rzuciła plecak. Tupiąc głośno, poszła na górę i trzasnęła drzwiami. Ruszyłam za nią i przylgnęłam do drzwi, słuchając uważnie, jak rozmawia z Candance, nazywając mnie paranoiczką, która chce zrujnować jej życie.

Na to również nie zwróciłam szczególnej uwagi.

Pewnego dnia w pracy Carrie z teatralnym zadęciem zawiadomiła mnie, że właśnie przysłali najnowsze wydanie „National Enquirer”.

— Proszę bardzo — powiedziała z niepewnym uśmiechem. — Wiem, jak na to czekałaś.

Nie odpowiedziałam.

— Birdie, chciałabym... musimy porozmawiać. — Podała mi gazetę, szarpiąc grzywkę, z zawstydzoną twarzą pełną nadziei. Stała dość daleko. Przez moment coś mnie ścisnęło za serce. Powstała jakby szczelina w twardym kamieniu. Nosiłam ten kamień w sobie od czasu spotkania SPD. Może dlatego nie mogłam latać? Kto zdołałby fruwać z granitową płytą w sercu?

Spojrzałam na Carrie. Jej oczy patrzyły błagalnie zza okularów.

— Może później — odparłam, otwierając gazetę.

— Później?

—Może.

Po chwili odeszła.

PREZYDENT KENNEDY ŻYJE I HODUJE KURCZAKI W ALABAMIE, czytałam, a łzy kapały na papier. NIEWIDZIALNY CZŁOWIEK SKARŻY SIĘ, ŻE RODZINA GO IGNORUJE.

Koncentrowałam się na słowach aż do bólu oczu, ale przynajmniej już nie płakałam. Wzięłam głęboki oddech i czytałam dalej. To były zwykłe historie o politykach i ich nieślubnych dzieciach, ufolud—kach nękających rolników, nowej cudownej diecie, która gwarantowała utratę dwudziestu kilogramów w tydzień. A w środku, dokładnie na stronie szóstej, znajdowało się zdjęcie. Niska kobieta w szerokiej sukience i fartuchu, śmiesznej masce zasłaniającej oczy i lekko przekrzywionej pelerynie.

NOWA SUPERBOHATERKA? — pytał nagłówek.

„Czy to pierwsze zdjęcie nowej superbohaterki znanej jako Supermama? Mieszkańcy Astro Parku w Kansas opowiadają o nagłym pojawieniu się słodkiej i energicznej osóбки, która sama siebie nazywa Supermamą. Ta mścicielka w fartuchu poświęca się ratowaniu dzieci w Astro Parku oraz robi porządki w mieście — w sensie dosłownym. W tej miejscowości położonej wśród równin graffiti niemal przeszło do historii. Jednak nie wszyscy mieszkańcy są zadowoleni z obecności superbohaterki.

»Ona jest zła — twierdzi wielebny Thomas Mills z Ewangelickiego Kościoła Chrześcijan-Baptystów w Astro Parku. — Powinna siedzieć w domu ze swoimi dziećmi, a nie latać, wy—konując męską robotę. Zony, bądźcie posłuszne swoim mężom. Jestem przekonany, że Supermama to jedna z tych nierządnic babilońskich, które krążą w weekendy po Dwunastej Ulicy. Ten fartuszek jest pełen zabawek z sex-shopu. Okaż skruchę, Supermamo! Dzień Sądu nadchodzi!«".

— Nie wierzę, że to wydrukowali. — Z obrzydzeniem odrzuciłam gazetę. Ktoś zrobił mi zdjęcie. Gdzie, kiedy? Zadrzałam, zastanawiając, się czy jestem w tej chwili obserwowana. Nagle zdałam sobie sprawę, że byłam w „National Enquirer". Może trochę za gruba... znowu spojrzałam na zdjęcie. Ale zawsze. To byłam ja! Birdie Lee! Znana również jako Supermama.

— Hej, Carrie, to niesamowite! — krzyknęłam, zanim zdążyłam pomyśleć.

— Birdie? — Odwróciła się do mnie z nadzieją. — Co się stało?

— Och nic, nic. — Ta granitowa płyta była jednak zbyt ciężka dla jednego człowieka, nawet superbohatera.

— Birdie. — Carrie zamrugła i zobaczyłam łzy błyszczące za okularami. - Jeśli chodzi o tamten dzień... Przepraszam, naprawdę nie chciałam. Wcale tak nie myślę. Och, Birdie, potrzebuję cię... Czy nie możemy o wszystkim zapomnieć? Jesteś taka obca. Nie jesteś tą samą starą Birdie, a ja tak bardzo potrzebuję mojej przyjaciółki, szczególnie teraz. — Zamilkła, wytarła nos w fartuch i odważyła się na nieśmiały uśmiech.

Była moją najlepszą przyjaciółką od czasu, gdy jej Chrissie i moja Kelly razem chodziły do przedszkola. Obserwowałyśmy, jak dziewczynki rosną, zupełnie ignorując fakt, że same się starzejemy. Była narwana, a zarazem łagodna, zabawna i inteligentna. Moi wrogowie byli jej wrogami, moi przyjaciele jej przyjaciółmi. Kochała moje dzieci jak własne.

Miała rację, zmieniłam się. Nie byłam tą samą Birdie i nie mogłam jej tego wyjaśnić, chociaż tak bardzo chciałam, prawdę mówiąc, wręcz boleśnie tego pragnęłam.

— Carrie, nie wiem. Szkoda, że nie mogę ci powiedzieć. — Do mojej kasy podeszła klientka i zaczęła wypakowywać towary. Odwróciłam się i skupiłam na zawartości wózka klientki: mały bochenek chleba, słoik masła orzechowego, tony pojedynczych porcji mrożonych dań obiadowych.

— Mój mąż wyjechał służbowo za granicę — powiedziała, uśmiechając się przeproszająco. Miała około pięćdziesiątki, była okrągłutka, z dołeczkami w policzkach.

— Rozumiem. — Uśmiechnęłam się i skończyłam podliczać. — Nie cierpię gotować dla jednej osoby.

— No właśnie. — Potrząsnęła głową, aż jej rude loczki zaczęły podskakiwać. — Zwłaszcza gdy człowiek dopiero się wprowadził. Ciągle nie mogę znaleźć garnków i patelni.

— Skąd się państwo przeprowadziliście, pani... Cobblepot? — Moja ręka zastygła, gdy odczytałam nazwisko na czeku, który mi wręczyła. Edward D. i Lolly Cobblepot.

— Nie uwierzy pani, z Japonii. Byliśmy tam przez rok, rozwijaliśmy interes. Mąż jeszcze tam został, zamyka ostatnią sprawę. A ja musiałam sama poradzić sobie z przeprowadzką.

— Przykro mi. — Odchrząknęłam — Cobblepot. Hm, to nie jest popularne nazwisko.

— Och nie — zachichotała, a loczki znowu podskoczyły. — O ile wiem, jesteśmy jedyni.

— Cóż, jako że to czek spoza stanu, potrzebuję kilku dodatkowych informacji — skłamałam, sięgając po pióro. — Kto jest pracodawcą pani męża?

— Moulton Pharmaceuticals — odpowiedziała pełna dobrych chęci.

— Moulton? Naprawdę? — pisnęłam. — A jakie zajmuje stanowisko?

— Jest nowym prezesem.

— Dobrze. — Zapisałam informację na czeku. A więc Cobblepot, z którym rozmawiał Lex, był prezesem Moulton Pharmaceuticals, firmy, która stała za projektem „Pokusa”. Który to projekt był... no właściwie, czym? I co miał wspólnego z Patriotycznymi Lizakami i grą wideo?

Głęboko spojrzałam w oczy tej słodkiej kobietce. Zamrugła nerwowo.

— Pewnie robią tam w Moulton masę ciekawych rzeczy?

— Pewnie tak, ale przyznam szczerze, że nie przywiązuję do tego zbytnej wagi. Edward ostatnio zajmuje się wieloma sprawami, ale nigdy mi nic nie mówi.

— Hmm.

— To nasza piąta przeprowadzka w ciągu pięciu lat. — Paplała, nie mogąc przerwać, bo wpatrywałam się w nią Bezlitosnym Spojrzeniem. -Ale muszę przyznać, że Astro Park to najbardziej przyjazne miejsce, w jakim byliśmy. Lex Osborne, wspólnik mojego męża, pomógł nam znaleźć dom.

— Naprawdę? Wspólnik? — Spojrzałam przez szerokość ulicy na Nowy Kosmos. Dopiero zapadał zmrok i światła na parkingu jeszcze się nie zapaliły, ale tych dwoje oczu jak zawsze świeciło złowieszczo. — Myślałam, że pani mąż pracuje w Moulton.

— Prezes to tylko tytuł. To jeden z wielu interesów, które prowadzi. Dlatego tak często się przeprowadzamy. — Zaśmiała się nerwowo.

Pochyliłam się do niej i wyszeptałam:

— „Pokusa”.

— Słucham?

— Projekt „Pokusa”.

— Co to jest? — Wykrzywiła twarz jak małe dziecko. — Nie wiem, co to takiego.

Poklepałam ją po ramieniu, uwalniając spod swojej władzy. Ta kobieta nic nie wiedziała.

— Nieważne, proszę bardzo. — Włożyłam do jej wózka ostatnią torbę.

— Dziękuję. — Uśmiechnęła się niepewnie.

— Nie ma za co. I mam nadzieję, że wkrótce się pani zadomowi. — Poma-chałam do niej, gdy oddalała się z wózkiem. Obejrzała się na mnie, jakbym mogła pobiec za nią z nożem w ręku. Znowu spojrzałam na Nowy Kosmos.

— Jak myślisz, jak wysoko jest ostatnie piętro? — zastanawiałam się głośno. Staralam się zmierzyć budynek, licząc okna od parteru... trzydzieści metrów? Sześćdziesiąt? — Myślisz, że można by w jakiś sposób opuścić się z dachu i kopniakiem wywalić...

— Co? Birdie? O czym ty mówisz?

— Hm. — Pokręciłam głową. Carrie gapiała się na mnie.

— O czym ty mówisz, do licha? Kim była ta kobieta? Birdie, co cię tak poruszyło?

— Nieważne. Nie mogę...

— Powiedzieć. Nie możesz mi powiedzieć, prawda?

Potrząsnęłam głową, z całego serca pragnąc znaleźć wyjście z sytuacji. Znaleźć drogę powrotną do przyjaciółki, do naszej wcześniejszej zażyłości.

— Przeprosiłam cię. Naprawdę mi przykro. Nie wiem, co jeszcze mogę zrobić.

— Nic, w tej chwili nic. Ale Carrie?

Spojrzała na mnie, blada z czerwonym nosem.

— Dziękuję. — Wskazałam na „National Enquirer”. — Dziękuję za gazetę.

Pokiwała głową. A potem obie pospiesznie się czymś zajęłyśmy. Czyściłyśmy pasy transmisyjne, układałyśmy słodycze, ale tak naprawdę nie robiłyśmy nic.

Rozdział 11

Choćby nie wiem jak profesjonalnie superbohater radził sobie ze ściganiem wrogów i roznoszeniem ich na strzępy, większość nie łączy życia rodzinnego z zawodowym. Cholera, bądźmy szczerzy, większość za bardzo się boi, żeby chociaż spróbować. (Co tu dużo mówić, to prawie sami mężczyźni).

Ja jednak nie miałam tak komfortowej sytuacji. W tej kwestii karty zostały rozdane już wcześniej. Nie tylko byłam superbohaterką, ale jedyną znaną mi superbohaterką mającą dzieci, pracę na pełnym etacie, byłego męża tyrana i burzę hormonów (zbliżał się ten moment cyklu). "Wkraczałam na nowe terytorium. Potrzebowałam pomocy.

Ale oto pewnego ranka przed moimi drzwiami pojawiła się tajemnicza przesyłka. Gruba biała koperta bez adresu zwrotnego, bez znaczków. Moje nazwisko wypisano złotym atramentem — „Birdie Lee, Astro Park, Kansas”. Bez nazwy ulicy. Kopertę opatrzono woskową pieczęcią, a litery ALS wypisano gotykiem. W środku znajdował się list i mała broszurka.

Droga Pani Lee (Supermamo),

Poinformowano nas, że jest pani przekonana o nabyciu nadprzyrodzonych mocy. Gratulujemy! Załączamy naszą broszurkę zatytułowaną „A więc myślisz, że jesteś superbohaterem? I co teraz?”. Broszura odpowie na wiele pytań i pomoże pani zdecydować, co dalej. Jeśli uznamy, że jest pani superbohaterką, udostępniemy pani środki pomocne w walce z przestępczością. Amerykańska Liga Sprawiedliwości jest przodującą organizacją dla superbohaterów. Może pani otrzymać listy od innych, ale proszę nie wątpić, że prestiż i skuteczność ALS nie mają sobie równych. Członkostwo można uzyskać wyłącznie po otrzymaniu zaopiniowania. Jeśli jest pani zainteresowana wstąpieniem w szeregi naszych członków, prosimy o odesłanie załączonej karty. Będzie pani musiała spełnić kilka warunków, płacić roczne składki, które pomogą pokryć wydatki takie jak ubezpieczenie na życie (bardzo trudno otrzymać je w normalnych towarzystwach ubezpieczeniowych), zasiłek dla pani bliskich w wypadku śmierci i długoterminowe ubezpieczenie na wypadek kalectwa.

Proszę jednak nie myśleć, że życie superbohatera to wyłącznie ciężka praca. Członkostwo w lidze daje również dostęp do Klubu DC, wspaniałego wakacyjnego rajy dla su— perbohaterów znajdującego się na Karaibach. Można wynająć tam kondominium albo kupić udziały w jednym z naszych ślicznych apartamentów. Bez względu na dokonany wybór to doskonałe miejsce, aby się rozluźnić i odpocząć od śmiertelnego wroga. Ze swej strony zapewniamy absolutne bezpieczeństwo. Organizujemy również doroczny bal członków ligi, na który może pani zaprosić najważniejszego w swym życiu śmiertelnika.

To tylko niektóre z przywilejów związanych z przynależnością do ALS.

Ponownie gratulujemy nabycia nowych supermocy.

Pozostajemy w oczekiwaniu na podjęcie decyzji o przynależności do naszej organizacji.

— Co to? — Martin zajrzał mi przez ramię. ^

— Nie jestem pewna, chyba jakaś oferta wakacyjna na wynajem apartamentów.

— Mamo! Nie wiesz, co to jest? -Nie.

— To Amerykańska Liga Sprawiedliwości! Superman! Batman! Flash! Pierwsza liga! Super!

— Poczekaj, poczekaj. Piszą, że przyjmują tylko za zaproszeniami, a ja jeszcze nie zostałam zaproszona. Najpierw muszę to przeczytać. — Otworzyłam broszurkę „A więc myślisz, że jesteś superbohaterem? I co teraz?”.

W środku znajdował się test.

— Weź ołówek — poleciłam Martinowi i usiadłam na kanapie.

—Okej.

— Zobaczmy. Pytanie numer jeden: Czy odwiedziły cię ostatnio ufoludki z darami?

— Nie. — Martin wypełnił rubryczkę.

— Numer dwa: Czy padłaś ostatnio ofiarą niezwykłego wypadku z udziałem substancji chemicznych, zwierząt, promieniowania, pioruna lub kilku razem?

— Tak.

— Czy w wyniku tego wypadku zrobiło ci się słabo lub straciłaś przytomność?

— Tak.

— Czy kiedy się ocknęłaś, posiadałaś nową siłę lub zdolności, które z początku cię przestraszyły?

— Tak.

— Czy moce i zdolności utrzymały się dłużej niż przez tydzień?

— Tak.

— Czy nadal je posiadasz?

— Tak.

— Czy zmienił się twój wygląd?

Spojrzałam na Martina.

— Nie za bardzo.

— Czekał. — Wskazał moją gąbczastą prawą dłoń

. — A to? Pamiętasz?

— Ach, masz rację.

— A więc „tak”.

— Czy w zetknięciu z jakąś substancją lub w jakiejś sytuacji twoje moce ulegają czasowemu osłabieniu?

— Nie? — Martin spojrzał na mnie.

— Nie — odpowiedziałam.

— Świetnie. Nie chciałbym, żeby coś działało na ciebie jak kryptonit na Supermana.

— Taak, ja też. I ostatnie pytanie: Czy czułaś przymus, aby używać tej siły czy zdolności dla dobrych celów? Aby chronić słabych, uwolnić świat od zła?

— Tak — potwierdził Martin. Jego oczy błyszczały dumą. Szkoda, że doktor Dan tego nie widział.

— A więc — przeczytałam instrukcję — „jeśli odpowiedziałas twierdząco na co najmniej pięć pytań, istnieje bardzo duże prawdopodobieństwo, że jesteś superbohaterką”. Na ile odpowiedzieliśmy?

— Osiem. No i co teraz zrobisz?

— Piszą, żeby wypełnić i odesłać ten formularz, a oni się skontaktują. Być może będę musiała przejść dalsze testy prowadzone przez zespół ich ekspertów. Ciekawe, kto to by mógł być.

— O kurczę! — Martin podrzucił i złapał ołówek — Może spotkasz Supermana albo Batmana, albo Wonder Woman! O kurczę! Czy mógłbym poznać Wonder Woman? Mógłbym? I na przykład zaprosić ją do nas do szkoły. Wtedy ten kompletny dupek Jamie Flugal zobaczyłby...

— Zobaczymy.

— Więc odeślesz to? — Martin podniósł kartę z taką samą pieczęcią jak na kopercie i z dziwnym znaczkiem.

— Nie wiem. A jak uważasz?

— Pewnie, oczywiście. Dlaczego miałybyś nie wysłać?

Cóż, powodów było wiele. Teraz jeszcze mogłam się w każdej chwili wycofać, wrócić do starego życia, nie ryzykując zdrowia, nie narażając członków rodziny. A jeśli zrobię ten krok, wyślę kartę, przepadło. Prawdopodobnie będę miała więcej obowiązków, będę miała...

— Myślisz, że powstanie o mnie komiks?

— Pewnie, myślę, że tak. Może nawet film. Albo sektor w parku rozrywki.

— Naprawdę? — Spojrzałam na kartę, przejechałam ostrym brzegiem po swojej gąbczastej dłoni, przesunęłam palcem po wypukłych literach ALS. — Własny sektor?

— No. Słyszałem, że Superman ma taki w Six Flags.

— Rany. Ciekawe, kto by mnie grał w filmie. Może Sandra Bullock.

— Taak, byłaby dobra. Albo Angelina Jolie!

— Ooch!

Przez chwilę siedzieliśmy, rozważając różne możliwości. Nie wiem, o czym myślał Martin, może o zapasach w błocie między Angeliną Jolie a Wonder Woman przy okazji następnej imprezy urodzinowej, gdy tymczasem kompletny duppek Jamie Flugal tarzałby się po ziemi we łzach, ponieważ nie został zaproszony. Ja myślałam o doktorze Danie. Co by o mnie pomyślał, gdybym stała się sławna, miała swój sektor w parku rozrywki i film? Po tych wszystkich latach narzekania, że nie skończyłam studiów, nie zrobiłam kariery. Po latach sztydzenia z mojego domatorstwa, zadowolenia, że mam swój czysty domek i swoje czyste dzieci. A teraz proszę, mogłam być sławna, kochana, podziwiana!

A on na zawsze pozostałby moim byłym mężem frajerem, eks— mężem Supermamy, nie tak jak teraz. Myśl o tym sprawiła, że zrobiło mi się ciepło, połąskotała moje ego i zaniiosłam się chichotem, tak że Martin oderwał się od swoich myśli o Angelinie Jolie i Wonder Woman.

—Co?

— Nic, wyobraziłam sobie tylko, co powiedziałyby twój ojciec. Gdyby wiedział. — Nadal nie mogłam powstrzymać chichotu, po chwili Martin się przyłączył.

— Hej wy tam, co się dzieje? — Kelly stanęła w drzwiach, trzymając futerał od klarnetu. Przyglądała się nam nieruchomym wzrokiem, aż stopniowo się uspokoiliśmy.

— Nic — powiedziałam, a Martin znowu zaczął chichotać.

— Doprawdy. — Kelly się odwróciła i poszła na górę.

— Ups — wyszeptałam, zabierając Martinowi ołówek. — Cśśś.

— Co tam ojciec. Ciekawe, co powie Kelly, kiedy się dowie. — Martin przygryzł rękaw swojej wojskowej kurtki.

Zastanowiłam się z ołówkiem zawieszonym nad kartką. Co powiedziałyby Kelly? Będę musiała się jej przyznać, prawda?

„ Czy chciałaby pani ubiegać się o przynależność do Amerykańskiej Ligi Sprawiedliwości? ”.

Tak. Nie. Nie wiem. Gryzłam koniec ołówka, usiłując podjąć decyzję.

W końcu Martin miał dość, wziął ołówek i pewną ręką, podkreślając trzy razy, wpisał „TAK!!”. Wręczył mi ołówek, żebym się podpisała — Supermama znana jako Birdie Lee. Nie dało się ukryć, że ręka strasznie mi się trzęsła, litery były ściśnięte jak małe zuczki. Uroczyście podeszliśmy do drzwi, Martin otworzył mosiężną skrzynkę na listy i wrzucił do niej przesyłkę.

Potem oboje spojrzeliśmy w niebo, oczekując jakiegoś gromu czy błyskawic. Jakiegoś znaku na miarę superbohatera, że kości zostały rzucone i nie było odwrotu. Jednak nic takiego się nie wydarzyło, jeśli nie liczyć naszego sąsiada, pana Shoemakera, który wrzeszczał na swojego małego jazgotliwego psa, żeby zaraz tu wracał, do cholery.

— To nic mamó. — Martin poklepał mnie po ramieniu — Kiedy będę to przerabiał na komiks, dodam całą masę efektów.

— Świetnie — powiedziałam, zamykając drzwi. A potem poszliśmy do kuchni i przygotowaliśmy popcorn z mikrofalówki.

Rozdział 12

Kochanie, musimy przestać się spotykać w taki sposób — szepnęła superbohaterka, a jej doskonale krągłe piersi zafalowały w blasku księżyca.

— Ależ dlaczego, moja słodka. Jesteś moim księżycem, blaskiem gwiazd, odpowiedzią na wszystkie modlitwy — powiedział. Jego kwadratowe szczęki były pomnikiem pożądania.

— Kochany, pomyśl tylko o plotkach, o skandalu. Jako superbohaterka jestem ponad ziemskie pragnienia. A przynajmniej — wyszeptała bez tchu, gdy przylgnął do niej, przyszpilając ją do ziemi — powinnam być.

— Ale czyż nie jesteś także kobietą? — wyszeptał jej do ucha.

— Ty łajdaku. — Zwróciła twarz w jego kierunku, ich wygłodniałe usta się spotkały.

— Mamo? Mamo? Ziemia do mamy! — Martin machał mi przed nosem kartką papieru.

— Zapomniałaś podpisać zgodę.

— Och przepraszam, przepraszam. — Rozejrzałam się za piórem.

— O czym myślałaś?

— O niczym, zupełnie o niczym! Baw się dobrze na wycieczce.

— Mamo, co ty sobie myślisz? — Kelly stanęła przede mną z rękoma na biodrach. — Czemu mi nie powiedziałaś, że wczoraj dzwonił Harry? Chyba nie zamierzysz cenzurować moich telefonów?

— Nie, ja... a dzwonił? Kiedy? Chyba po prostu zapomniałam.

— No naprawdę. O czym ty myślisz? — Westchnęła i wyszła do szkoły.

O czym myślałam? Dzieci ostatnio ciągle zadawały mi to pytanie, a ja snułam się po domu roztargniona i rozbita — z pewnością pozwoliłam umknąć kilku

nikczemnym bandziorom. O czym myślałam? Cóż, powiem wam, o czym myślałam.

O seksie, cały czas. W każdej chwili. Kiedy brałam prysznic, wyobrażałam sobie Carla obok mnie. Jego ciało, długie nogi oplatające moje, tak żebym się nie poślizgnęła na mydle i nie upadła. Siedząc na kanapie przed telewizorem, wyobrażałam sobie, że głaszczę go po głowie złożonej na moim łonie, pozwalam palcom pieścić jego nos, usta. Widziałam, jak odwraca twarz w moją stronę, dotyka palców, po czym bierze mnie dokładnie tam, na podłodze rodzinnego salonu. W pracy wyobrażałam sobie, że pojawia się kupić coś w spożywczym i patrzy na mnie w ten swój zniewalający sposób. A potem widziałam, jak zrywamy z siebie ubrania i kochamy się na pasie transmisyjnym przy kasach. Guma łaskotała mnie w plecy, gdy pas przesuwiał się i przesuwiał, i przesuwiał... Jedynym miejscem, gdzie nie umiałam go sobie wyobrazić, było moje łóżko. Nie potrafiłam wyobrazić sobie jego głowy na poduszce tuż obok mojej, smukłego ciała okrywającego mnie jak koc. To było zbyt przytulne, za bardzo domowe. Za nudne dla takich dzikich, nieokiełznanych stworzeń jak my, którzy kochaliśmy się pod gołym niebem, pod sosną, zupełnie jak w filmie.

Dla kobiety i matki, która nie kochała się od jakichś dziesięciu lat, to wszystko było wręcz upojne. Czy się powtórzy? Co mam powiedzieć, kiedy znowu się zobaczymy? Czy będzie skrępowany? A ja? I co najważniejsze... czy zauważył moje rozstępy, obwisłą skórę na ramionach, smutny fakt, że moje uda łączyły się ze sobą jak syjamskie bliźnięta? Dziękowałam Bogu za łaskawe światło księżycy, które sączyło się pomiędzy gałęziami.

Przypominałam sobie dłonie Carla, silne i pewne, penetrujące i głaszczące. I nagle, niezależnie od tego, gdzie byłam, chciałam więcej. Jakiż ja miałam apetyt na seks! I nie tylko. Nagle miałam apetyt na egzotyczne potrawy, kupiłam curry w hinduskiej restauracji i Uście winogron faszerowane ryżem u Greka za rogiem. Pochłaniając je w samochodzie, gdy tłuszcz i oliwa spływały mi po palcach i brodzie, wyobrażałam sobie, że karmię tymi przysmakami Carla.

Potem w panice gnałam do domu, żeby przygotować dzieciom zdrowy pożywny posiłek, którego sama nie mogłam tknąć. Obserwowałam niespokojnie, jak żuły. Rzuciałam się z dokładkami, zanim jeszcze zdążyły poprosić.

A później, gdy pozmywałam (w tradycyjny sposób, bo między innymi jakoś zapomniałam także o tym, że potrafię sprzątać z mocą dziesięciu tysięcy swiffe-

rów), myślałam o Carlu i o przerażającej rozkosznej możliwości, że seksu będzie więcej.

— Nie wierzę, że to zrobiliśmy,

— Ani ja.

— Nie powinniśmy.

— Wiem.

Tym razem Carl pomyślał, aby „przypadkiem” mieć na tylnym siedzeniu samochodu koc. Przydał się, bo noce stawały się coraz zim— niejsze, a ziemia pod drzewem twardsza.

— Przed wyjściem nie mogłam spuścić Kelly z oka. Bałam się, że zechce się wymknąć na spotkanie z Harrym. Jest na mnie wściekła. A patrz, co sama robię.

— Ty się nie wymykałaś.

— Powiedziałam, że muszę jechać do sklepu.

— I pojechałaś.

— I oczywiście musiałam tam wpaść na ciebie.

— Ja też czasem muszę kupić mleko.

Objął mnie w talii, bawił się meszkiem na moim brzuchu, pieścił bliznę po cesarskim cięciu, pamiątkę po urodzeniu Martina.

— To taka śliczna blizna — mruzczał, leniwie pocierając ją długim palcem, a mój brzuch napinał się i drżał. — Jak oni wyjęli dziecko przez takie malutkie nacięcie.

— Doktor Dan uważał, że jest okropna. Powiedział, że już nigdy nie będę mogła włożyć bikini. — Wtuliłam się w lepką od naszej namiętności — i płynu czyszczącego — pierś Carla. (Okazało się, że czasami jednak nie potrafię kontrolować swojej ręki).

— Doktor Dan to kompletny fiut. Mam nadzieję, że cię nie uraziłem. Po prostu nie rozumiem, dlaczego musiał cię tak ranić.

— Cśś. Nie chcę o nim rozmawiać. — Zamknęłam oczy i skupiłam się na miejscu, które Carl właśnie opuścił, tym pomiędzy moimi nogami. Wciąż jeszcze czułam go tam, gdzie posiadał mnie tak natarczywie.

— Nie ma sprawy. — Carl objął mnie mocniej. Kurczowo wpiłam się w jego węzłaste mięśnie, lepkie ciało zaskakująco owłosione. Już o tym zapomniałam. Męski zarost — szorstki na policzkach i nogach, delikatny gdzie indziej. Zatopiłam twarz we włosach na jego klatce piersiowej, zachwycona drżeniem mięśni pod moimi wargami.

— Łaskoczesz.

— To dobrze.

— Och, Birdie. — Wymówił moje imię głosem pełnym satysfakcji.

-Carl.

Leżeliśmy długo, spleceni, spełnieni. Wystarczająco długo, żebym zapamiętała kształt jego ciała, wszystkie wzgórza i doliny. Mimo małego brzuszka miał wystające kości biodrowe. Nogi umięśnione, długie, szczupłe, natarczywe. Ramiona też kryły w sobie siłę. Pierś i twarz zadziwiały umiejętnością dawania ukojenia.

— Więc — przeciągnęłam się i udałam, że szeroko ziewam — opowiedz mi o projekcie „Pokusa”.

— Słucham?

— Chcę wiedzieć wszystko o tobie i o twojej pracy — zamruczałam, ale on tylko się zaśmiał.

— Nieprawda. Chciałaś mnie tylko wykorzystać, a potem wyciągnąć wszystkie informacje. Wy, superbohaterowie, wszyscy jesteście tacy sami.

— Chciałam cię wykorzystać, ale jeśli nie chcesz o tym mówić, zrozumieć.

— Nie zrozumiesz. — Jego oczy błyszczały w świetle księżyca i wiedziałam, że wcale się nie złościł. — W porządku, trochę powęszyłem, bo chciałem ci pomóc.

—Tak?

— Oczywiście. Jestem przecież twoim kochankiem naukowcem.

Uśmiechnęłam się szeroko.

— Odkryłem tylko, że nie chcą, by ktokolwiek coś wiedział. Ochrona jest ostrzejsza niż kiedykolwiek, a w świecie koncernów farmaceutycznych znaczy to, że lada moment opracujemy albo lekarstwo na raka, albo na zwykłe przeziębienie.

— Jak możesz pracować, nie wiedząc nad czym?

— Spokojnie, teraz pracuję nad białkami. Syntetycznymi białkami. Dlaczego? Dla białek, które nie zostają od razu strawione, są tysiące zastosowań. Środki wspomagające odchudzanie, neutralizujące kwas żołądkowy, co tylko chcesz.

— Ale ktoś musi wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

— Mówię ci, ochrona nigdy nie była tak ścisła. Czymkolwiek jest ten projekt, tylko jeden człowiek zna prawdę.

— Cobblepot! — Tupnęłam ze złością.

— No i Lex, prawda? A więc to już przynajmniej dwie osoby, które coś wiedzą.

— Ale tylko jedna przebywa teraz w Astro Parku.

— I co masz zamiar zrobić? Podpuścić go na następnym zebraniu SPD?

— Nie — prychnęłam. — Birdie niczego nie zrobi. To robota dla Supermamy.

— Birdie, Supermama. A więc z kim właściwie kochałem się przed chwilą? Która ma najfajniejszy na świecie tyłeczek? — Ścisnął moje pośladki, aż zapiszczałam.

— Zgadnij — wyszeptałam mu do ucha, gdy pociągnął mnie na siebie. Jego pocałunek był namiętny, a jednocześnie taki znajomy. Poczułam, że moje ciało znów się pręży. Jego także. Napierał na moje lepkie udo.

Udo...

Udo...

Kurze uduka...

— Moje zakupy! — Zerwałam się i zaczęłam ubierać. — Która godzina? O Boże. Powiedziałam, że jadę tylko po drobne zakupy, i zobacz... co dzieci pomyślały? To w ogóle do mnie niepodobne. A ty kupiłeś lody! Nigdy więcej nie możemy tego robić, rozumiesz? To nie w porządku. Nie jestem sobą, nie mogę się skupić, zapominam...

— Okej. — Sięgnął po swoje rzeczy, brwi miał ściągnięte^ oczy zamglone.
— Dobrze.

— Nie możemy tego więcej robić.

— Okej...

— Mówię poważnie. Czaimy się, łapiąc okazję jak para napalonych nastolatków.

— Taaaak! — Podniósł pięść w geście zwycięstwa i musiałam się roześmiać.

— Ale nie jesteśmy nastolatkami. Musimy to zrobić jak należy, Carl. Umówmy się na randkę, porozmawiajmy i...

— A może powiedzieć...

— Dzieciom. '...'

— Może.

— Oczywiście, powinniśmy im powiedzieć. — Kiedyś. Kiedy będą miały po osiemdziesiąt lat i nie będą już w stanie nic z tym zrobić.

Carl usiadł.

— Birdie Lee, czy umówisz się ze mną na randkę?

— Tak, Carlu Sayersie. — Nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Wyglądał tak poważnie z ręką na piersi. — Umówię się.

— To może w piątek?

— Raczej nie. Martin zaprosił kolegę na noc.

— W sobotę?

— Kelly ma występ.

— Niedziela wieczorem?

— Wieczór przed szkołą po weekendzie?

— No dobrze. — Podrapał się w głowę. — W następny piątek... nie, czekaj. Nie mogę. Greg ma jakieś harcerskie zajęcia.

Spojrzeliliśmy na siebie. On w koszuli i bokserkach, ja ze swetrem do połowy wciągniętym przez głowę.

— Nie możemy tak dalej — oznajmiłam. — Nie możemy.

—Wiem.

Nagle jakieś trzydzieści metrów od nas błysnęło światło flesza. Usłyszałam tupot i trzaśnięcie drzwiami, po czym czarny sedan, którego wcześniej, zbyt zajęci tarzaniem się nago po ziemi, nie zauważyliśmy, ruszył z piskiem opon.

Zastygliśmy ciągle półnaczy. Wszystko stało się tak szybko, że nie zdążyliśmy się nawet ruszyć. Naciągnęłam sweter, ale było już za późno.

— O Boże. O mój Boże. O Boże.

— Kto to był? — Carlowi drżał głos.

— Nie wiem. Nie mam pojęcia. To mógł być każdy. O Boże. To zdjęcie.

— Jakie zdjęcie?

Poczułam, że nos, uszy, końce palców u rąk i u nóg zmieniają mi się w lód.

— Ostatnio zobaczyłam swoje zdjęcie w „National Enquirer”. To musiał być ten sam człowiek. To przez mój samochód! Każdy głupi pozna po nim, że jestem Supermamą. I ty! To twoja wina! Tylko ty byłeś mi w głowie. Co ja robię! Amerykańska Liga Sprawiedliwości już nigdy nie zaproponuje mi członkostwa. Nie nadaję się do tej zabawy z ukrywaniem tożsamości! Och, a jeśli doktor Dan to zobaczy!

— „National Enquirer”? Liga Sprawiedliwości?

— To długa historia... — Nie miałam siły, żeby teraz mu wszystko tłumaczyć. Jeszcze przed chwilą byłam gotowa tarzać się z nim nago, a teraz czułam się zbyt zmęczona, by się ruszyć czy myśleć. A nawet mówić.

— Przepraszam, że wciągnęłam cię w to wszystko.

— Nic się nie stało. — Zawahał się jednak przez ułamek sekundy, mgnienie oka. Nie mogłam udawać, że tego nie zauważyłam.

— Carl, to takie trudne, choćby ze względu na dzieci. A teraz to. Kto wie, co się jeszcze zdarzy. Może powinniśmy... jeśli chcesz teraz z tym skończyć, po prostu mi powiedz.

Nie powiedział. Nie powiedział też, że jestem głupia. Nie odezwał się, tylko ścisnął mnie za rękę. Potem zaprowadził do samochodu, usadził w środku, zupełnie jakby kładł mnie do łóżka. Zapiął mi pas, zamknął okno i ustawił wsteczne lusterko. Chciałam go zapytać o tyle rzeczy. Ale póki nie rozmawialiśmy, póki następne zdanie nie zostało wypowiedziane, wszystko między nami było w porządku. Nie musiałam wiedzieć, co zdarzy się później.

— Birdie.

— Nie. — Położyłam dłoń na jego ustach. — Nie mów nic. Nie teraz.

Przesunął wargami po moich palcach. Zamknęłam oczy i zmusiłam ciało, skórę, moje pagórki i zagłębienia, żeby go zapamiętały. Sposób, w jaki jego usta i ręce odkrywały i brały w posiadanie, przekonywały i nalegały, badały, umykały.

A potem leciutko go odepchnęłam, nie odrywając palców od jego ust. Zamknęłam drzwi, zanim któreś z nas zdążyło się odezwać. Odjechałam pokiereszowanym minivanem, o którym cały świat teraz wiedział, że należy do mnie. I udawałam, że nic się nie stało. Oboje wrócimy. Znowu poczuje, jak się do mnie tuli, jak oplata moje biodra długimi nogami. Przecież nie mogłam niczego wiedzieć na pewno, prawda?

A później skupiałam się już tylko na drodze, na żółtej linii, na znakach stopu.

Gdy wróciłam do domu, upchnęłam tę noc w zakamarkach pamięci i przywdziałam kolejną maskę. Czy to byłam prawdziwa ja? Birdie? Mama? Która była prawdziwa? Supermama? Kochanka Carla? Coraz trudniej przychodziło mi za tym nadażyć, rozdzielić liczne tożsamości. Prędzej czy później musiałam się pogubić.

O ile już do tego nie doszło.

Rozdział 13

Dziwnie się dzieje, kiedy dzieci zaczynają chorować. Na początku toczy się to powoli, jedna, dwie wzmianki, a potem nagle zaczyna się coś jak pożar buszu, pogłoski i plotki sypią się jak iskry gotowe podpalić wszystko, na co spadną. I szepty, zawsze szepty, jakby rozmowa o nieszczęściu obcego dziecka mogła zagrozić twojemu potomstwu.

— Słyszałaś... — O dziecku Fergusonów? Albo chłopcu Davi— sów? Albo o tym uroczym młodym mężczyźnie, który mieszka za rogiem?

Oczywiście dowiedziałam się w pracy. Pakowałam zakupy pani Faber i zauważyłam, że coś jest nie tak. Żadnego śmieciowego żarcia, a przecież pani Faber miała dwójkę dorastających dzieciaków.

— Ooo — powiedziałam, pakując zielone warzywa, niskocukro— we masło orzechowe, chleb pełnoziarnisty. — Płatki bez cukru? Żadnych Patriotycznych Lizaków? Kto jest na diecie?

— Och. — Pani Faber przyglądała się swoim dłoniom, bawiąc się pierścionkami. — Susie. Ona... ma cukrzycę. Właśnie to odkryliśmy. Dziecięcą cukrzycę typu drugiego, ale musi brać insulinę.

— O mój Boże, tak mi przykro. Ale jest chyba dużo leków nowej generacji.

— O tak — pokiwała głową. Kiwała jeszcze przez chwilę, jakby chciała przekonać samą siebie. — Tak, są świetne leki, nie tak jak kiedyś. Na rynku jest nawet nowy rodzaj insuliny. Cóż... — Znowu zapatrzyła się na swoje dłonie. — Dziękuj Bogu, Birdie, dziękuj Bogu, że masz dwoje zdrowych... — Zamrugła, starając się opanować drżenie.

Skończyłam pakować jej zakupy. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Odeszła, popychając przed sobą wózek. Wydała mi się taka dzielna, silna kobieta o niezgrabnej figurze uparcie idąca krok za krokiem. Wyprostowała ramiona gotowa zmierzyć się z całym światem, by ratować córkę.

I nagle zauważyłam, że również inni moi klienci zmienili zasady robienia zakupów. Enderlinowie, Wolterowie, Goodmanowie mieli wózki wyładowane zdrową żywnością, a panie Enderlin, Wolter i Goodman stały się ciche i zacięte, zaprzestały plotkowania i pospiesznie wracały do domów.

Zastanawiałam się, czy Carrie to zauważyła. Prawie ją zapytałam, ale nagle sobie przypomniałam, że przecież nie rozmawiamy. Prawdę mówiąc, wyglądała ostatnio jakoś inaczej. Rozbita, przytłumiona. Chwilami widziałam, jak kładzie głowę na dłoniach zbyt zmęczona, aby czytać czy choćby uporządkować czasopisma, i wtedy chciałam podbiec do niej, przytulić i spytać, czy mogę jakoś pomóc. Zrobiłabym to, gdybym wiedziała, od czego zacząć. Kilka dni później moja córka pokazała mi, jak to zrobić.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś? — Kelly rzuciła swój plecak na kuchenny stół.

— Czego ci nie powiedziałam?

— Że Chrissy ma cukrzycę.

— Co takiego? — Odłożyłam nóż kuchenny, przyglądałam mu się przez chwilę, licząc wszystkie ząbki. — Co powiedziałaś?

— Chrissy ma cukrzycę. Była naprawdę chora i nie wiedzieli, co jej jest. Musieli jej zrobić wszystkie badania krwi. Fuj. No i się okazało się, że ma cukrzycę i musi sobie robić zastrzyki. Brr. — Kelly się wzdrygnęła. — Myślałam, że wiesz. Zawsze sobie wszystko mówicie z cicią Carrie.

— Tak, mówimy... — Przypomniałam sobie twarz Carrie. Zbolała, sterana. — Zazwyczaj. — Poczulałam się taka bezsilna, stojąc bezpiecznie w kuchni z moją zdrową córką. Co ze mnie za przyjaciółka?

— Mogę?

— Czy co możesz? — Odwróciłam się do Kelly, która właśnie obierała jabłko ze skórki.

— Iść na imprezę do Clarissy w przyszłym tygodniu. Boże, mam, nie słuchałaś?

— Nie — Przełknęłam ślinę, nagle miałam wyschnięte gardło i chrapliwy głos. — Nie możesz.

—Już mi w ogóle nie ufasz! Wszystko powiem tacie! Nienawidzę cię! — Ci-snęła jabłko do zlewu, ale zanim wybiegła, chwyciłam ją, zanurzając twarz w jej jedwabistych, pachnących brzoskwiniami i słońcem włosach. Pogładziłam ciepły dziewczęcy policzek i usiłowałam wyobrazić sobie, jak zdrowa czerwona krew spokojnie płynie w jej żyłach.

— Ale ja cię kocham — wyszeptałam. — Niezależnie od wszystkiego.

Na moment pozostała w moich ramionach — cud. A później szarpnęła się i z tupotem pobiegła na górę do swojego legowiska.

Usiadłam przy stole i zaczęłam się bawić rzepami przy jej plecaku z rodzaju tych używanych przez alpinistów — czarnym, mocnym, wypchanym książkami. Przypomniałam sobie, jak kupowałam jej pierwszy plecak, gdy miała trzy lata i szła do przedszkola. Jaka ona duża, myślałam wtedy. Poszliśmy do sklepu i oglądałyśmy wszystkie plecaczki w rozmaitych kolorach, z naszywanymi tęcza-mi i zwierzątkami. Kelly wybrała żółto-czerwony z džinsowymi kieszeniami. Była taka dumna, nawet z nim spała. A pierwszego dnia w przedszkolu spotkała Chrissy z identycznym plecakiem. Ja natomiast poznałam Carrie, która płakała razem ze mną, gdy obserwowaliśmy nasze dziewczynki maszerujące do budynku i trzymające się za ręce, najlepsze przyjaciółki jeszcze przed pierwszym dzwonkiem. Podskoczyłam, chwyciłam kluczyki, krzyknęłam, żeby dzieci wzięły sobie obiad, bo będę później. Pojechałam do Carrie.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś?

— He? — Carrie stała w drzwiach. Żółte światło z werandy nadawało jej skórze ziemisty kolor. Spojrzała na mnie jak zmęczony smutny krecik.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś o Chrissie?

Milczała, a ja uznałam to za zaproszenie. Weszłam i popchnęłam ją na kanapę.

— Słuchaj, zbyt długo jesteśmy przyjaciółkami. Jeśli coś złego dzieje się tobie, dzieje się także mnie, w porządku? Powinnaś była mi powiedzieć.

— Ale przecież nie rozmawialiśmy — przypomniła.

— No to co. To nigdy nie powinno mieć znaczenia. Nie miałam racji. — Kopnęłam brzeg kanapy.

— Nie, Birdie, to ja nie miałam racji. Nie wiem, co we mnie wstąpiło tamtego wieczoru. Zachowywałaś się tak dziwnie, znikaaś, o niczym mi nie mówiłaś. Czułam się odrzucona.

— Nie, nie. Ja nie miałam racji. Tak mi przykro z powodu Chris— sie. Powinnam była cię zapytać.

— Powiedziałam to dlatego, że jesteś taka bystra i nic z tym nie robisz, a to mnie wkurza! Birdie, mogłabyś robić wszystko, co tylko zechcesz. I wiem, że jesteś najlepszą matką na świecie. Wiem, że Dan prowadził cię na krótkiej smyczy, dosłownie. Bo ten facet ma małego fiuta, prawda?

— Carrie! — Ale zachichotałam. — Nie powinnam była ci tego mówić!

— Przepraszam. — Carrie też zachichotała — Tak czy inaczej, to twoje życie i nie miałam najmniejszego prawa powiedzieć tego, co powiedziałam. Jestem twoją przyjaciółką, prawda? Jestem?

— Przestań. No pewnie, że jesteś — poklepałam ją po głowie jak za dawnych czasów, a ona trzepnęła mnie w rękę. — Ja też przepraszam za dziwne zachowanie ostatnio. Tyle się działo i naprawdę nie chciałam cię urazić swoim milczeniem, ale mniejsza z tym. Chcę dowiedzieć się o Chrissy. Kiedy to się stało?

— Och. — Carrie zapadła się w sobie. — Kilka tygodni temu. Dziwnie się zachowywała, pociła się, bez przerwy chodziła do toalety. Aż pewnego dnia zasłabła na wuefie i zabraliśmy ją do szpitala. Była o krok od wstrząsu insulinowego. Ma tę dziecięcą cukrzycę typu drugiego, ale insulinozależną. Musi teraz robić sobie zastrzyki. I wiesz, robi, nawet przy tym nie płacze. Jest taka dzielna, moja mała dziewczynka. — Pełne dumy oczy Carrie napełniły się łzami.

Objęłam ją.

— Pewnie, że jest dzielna. To nasza Chrissie! Ale Carrie, zauważyłaś? Strasznie dużo dzieci choruje teraz na cukrzycę.

— Taak. — Carrie pociągnęła nosem. — Doktor Albright też to mówi. Twierdzi, że przez wszystkie lata swojej praktyki nigdy nie spotkał się z taką liczbą zachorowań na cukrzycę wśród dzieci, w dodatku bardzo szybko muszą przyjmować insulinę. Twierdzi, że to epidemia.

— Tak, też o tym myślałam.

— Teraz są te nowe lekarstwa. Nowa insulina o przedłużonym działaniu, więc dzieciaki nie muszą tak często dostawać zastrzyków. Doktor Albright nazywa ją cudownym lekiem. Uważa też, że niedługo wynajdą jeszcze lepszy lek.

— To cudownie Carrie. Na pewno wynajdą. A swoją drogą, kim są ci oni?

— Och, jakaś firma farmaceutyczna, Molsen czy Mormon.

— Moulton Pharmaceuticals? — Podskoczyłam z wrażenia, aż Carrie straciła równowagę.

— O tak, właśnie.

— Moulton Pharmaceuticals?

— No przecież już ci powiedziałam.

— Moulton Pharmaceuticals! — Poderwałam się — O to chodzi. To jest projekt „Pokusa”! Och, Carrie. — Objęłam ją i zaczęłam wirować z nią po pokoju, jakby była szmacianą lalką.

— Birdie, puść. Co masz na myśli?

— Och Carrie, tak mi przykro, nie mogę.

— Powiedzieć mi? — Wyrwała się i spojrzała na mnie gniewnie, tupiąc nogami jak dawna Carrie. Nawet zaczęła szarpać grzywkę. — Birdie, co jest takie wstrząsające i niezwykłe, że nie możesz się tym ze mną podzielić?

Spojrzałam na nią. Była moją przyjaciółką. Najlepszą na świecie. Znała moje wszystkie tajemnice — że kiedy Martin miał sześć lat, niechcący wciągnęłam do odkurzacza jego chomika, a potem podłożyłam identycznego, że to ja obrzuciłam jajkami dom Patty Osborne w ostatnie Halloween, a doktor Dan był członkiem założycielem Klubu Odbudowy Włosa dla Mężczyzn.

Cóż więc znaczyło tych kilka kolejnych brudnych sekretów?

— No więc — uśmiechnęłam się szeroko, położyłam jej rękę na ramionach i bardzo powoli, żeby nie uroniła ani jednego słowa, oznajmiłam: — Na początek... Carl Sayers i ja kochaliśmy się do utraty tchu pod sosną, już dwa razy.

Krzyknęła, a potem zarechotała. A kiedy podniosłam ją z podłogi, na którą się osunęła w paroksyzmie śmiechu, powiedziałam jej też o tej drugiej sprawie.

Rozdział 14

Opuszczając się po ścianie budynku, mając świat u swych stóp, Supermama decyduje się na odpoczynek na wąskim parapecie. Zatrzymuje się, żeby złapać oddech, wiatr szarpie jej pelerynę tak, że przez chwilę się chwieje. Supermama prawie spada w otchłań. Chwyta się cegły, łapie równowagę, odmawia krótką modlitwę, po czym przez zamknięte okno wpada do pokoju nogami naprzód. Odłamki szkła spadają wokół niej niby deszcz. Ląduje miękko jak kot. Biuro jest ciemne, puste, ciche jak grobowiec...

No dobrze, wcale nie odbyło się to w ten sposób. Popełniłam swoje pierwsze przestępstwo normalnie, zakradając się do siedziby Zakładów Nowy Kosmos przebrana za sprzątaczkę, w rudej peruce na głowie. Nie mam przecież tych wszystkich fantastycznych gadżetów i przyborów — ani lokaja — jak na przykład Batman.

Spojrzałam na zegarek. Trochę martwiłam się o dzieci, miałam nadzieję, że zjadły coś pożywnego i odrobiły lekcje. Zdałam sobie sprawę, że nie mogłabym zostać superbohaterką, gdyby dzieci były małe. Gdzie znalazłabym opiekunkę na każde zawołanie? Miałam poważne wątpliwości, czy ALS prowadzi jakiś żłobek, w końcu była to instytucja dość silnie nasycona testosteronem. Westchnęłam, jeszcze jeden przykład na dyskryminację kobiet w miejscu pracy.

Wyciągnęłam z szafy przybory do sprzątania, nasunęłam na oczy czapkę z daszkiem i poprawiłam perukę. Nie włożyłam stroju Supermamy, żeby nie rzucać się w oczy, nie chciałam zwracać na siebie uwagi podczas przestępczych poczynań. Fartuch jednak zawiązałam na kombinezonie i ruszyłam przez błyszczące korytarze Nowego Kosmosu — miejsca dla całej rodziny! Tak przynajmniej głosiła tablica w holu. Na ścianach wisiały zdjęcia Leksa, Patty i wybranych „braci” szalejących przy przygotowywaniu patriotycznego, niezdrowego jedzenia. Wjechałam windą na szóste piętro. To ze złowrogimi oczami. Było ciemno, a oczy pozostawały zamknięte i miałam nadzieję, że to się nie zmieni.

Byłam kiedyś wcześniej w biurze Leksa, na przyjęciu SPD. Patty oczywiście kazała mi się zająć identyfikatorami, tak więc znałam drogę. Uklęklam przed zamkniętymi drzwiami do biura gotowa sforsować pierwszy w swojej karierze zamek. Wyjęłam z włosów spinkę, wsadziłam w dziurkę i delikatnie obróciłam.

Wysuwałam ją i wkładałam, tak jak to widziałam w telewizji, ale nic się nie działo. Zmarszczyłam brwi. Następnie wyjęłam z kieszeni kartę kredytową i chciałam wsunąć ją między framugę a skrzydło drzwi. Parę razy widziałam, jak to robił James Bond. Kiedy jednak wstałam, uderzyłam o drzwi, a te się otworzyły. Wcale nie były zamknięte. Poczułam duże rozczarowanie. Głupi Lex.

Wślizgnęłam się do środka, ciągnąc za sobą wózek. W ciemności biuro wydawało się większe, niż pamiętałam. Nawet gdy zapaliłam światło, kąty pozostały w cieniu, więc trudno było ocenić rozmiar pomieszczenia. Na środku pokoju znajdowało się biurko. Normalnie Supermama nie włamywałaby się i nie kradła akt osobowych. Normalnie drżałaby ze strachu na myśl, że może zostać złapana, dostałaby zawału serca z obawy przed więzieniem i oddaniem jej dzieci do adopcji albo jeszcze gorzej, doktorowi Danowi. Muszę jednak przyznać, że czułam lekki dreszczyk, czając się w biurze Leksa, otwierając szuflady, przeglądając akta z nadzieją na odkrycie jego najciemniejszych, najgłębszych tajemnic. Albo przynajmniej czegoś, co mogłabym opublikować w biuletynie SPD. Ze zdziwieniem odkryłam zestaw ratunkowy z taśmą izolującą, folią i wodą w butelce oraz stosik gazet o koniach w dolnej szufladzie. Rozbawiła mnie myśl o tym eleganckim milionerze, który marzył o własnym koniu jak mała dziewczynka. Ale wtedy przypomniałam sobie o Chrissie i reszcie. Z obrzydzeniem zamknęłam szufladę, włączyłam komputer Leksa i z przedniej kieszeni kombinezonu wyjęłam dyskietkę.

Przejrzałam szybko pliki, szukając czegoś podejrzanego, marszcząc nos na widok tej całej pornografii, którą przy okazji znalazłam.

— Biedna Patty — potrząsnęłam głową zaniepokojona przebłyskiem współczucia, które dla niej poczułam.

I nagle znalazłam. To musiało być to, plik zatytułowany „Pokusa”. Niestety został zabezpieczony hasłem. Podrapałam się po głowie, przez chwilę pomyślałam i wpisałam COBBLEPOT.

Hasło niepoprawne, odpowiedział głupi komputer. Zmarszczyłam brwi.

MOULTON PHARMACEUTICALS.

Hasło niepoprawne, warknął komputer.

— Cholera — zakląłam. Jak miałam znaleźć obciążające dane, których potrzebowałam? A może istnieje jakaś gorąca linia dla su— perbohaterów? Przez moment pomyślałam o Carlu, on wiedziałby, co robić. Albo może Martin? Ten był chodzącą encyklopedią komiksową. Byłby zachwycony, mogąc pomóc.

I wtedy przypomniał mi się Dan, jego zadowolona mina, przekonanie o mojej nieudolności, pewność co do moich ograniczeń. Zaczęłam się zastanawiać, dlaczego w najgorszych sytuacjach, kiedy nie wiedziałam, co robić, zawsze myślałam o mężczyznach mojego życia.

— Nie — powiedziałam do siebie, a własny głos w cichym biurze mnie wystraszył. — Nie, to moja sprawa i muszę to sama załatwić.

Zaczęłam wpisywać różne słowa.

SPD. HARRY. PATTY. AMERYKAŃSKA. SPRAWIEDLIWOŚĆ. PATRIOTA. DEMOKRACJA. GRY WIDEO. NOWY KOSMOS. INSULINA. CHORE DZIECI... Żadne nie pasowało, a komputer cały czas szczyrzył się do mnie, migając swoim HASŁO NIEPOPRAWNE. Oparłam głowę na dłoniach.

— Co teraz? — Ze złością wierzgnęłam, uderzając w coś pod biurkiem. Spojrzałam w dół. Stał tam karton. Wyciągnęłam go i zobaczyłam, że był pełen pluszowych zabawek, Abe'ów Lincolnatorów. Z boku kartonu napisano markerem „EBAY”.

— Skurczybyk. — Podniosłam jednego pluszaka i chciałam go schować do kieszeni dla Martina, ale przecież Supermama nie akceptuje kradzieży, chyba że ma to pomóc potrzebującym. Musiałam przyznać, że to nie był taki przypadek. I wtedy coś mi przyszło do głowy. LINCOLNATOR. Wpisałam słowo do komputera i plik natychmiast się otworzył.

— Tak! — Podskoczyłam, podniosłam w górę pięść, zrzucając przy okazji ramkę ze zdjęciem Patty, Leksa i Harry'ego. Rozbiła się na podłodze z głośnym trzaskiem. Zamarłam, gapiąc się na nią, i wtedy usłyszałam kroki na korytarzu

— *Que? Halloo? Quien esta allo? Hay alguien alit'?*

— *Nada-nada* — zawołałam. — sprzątam! Sprzątam, sprzątam! — Z wózka wzięłam szmatkę do kurzu i szybko zaczęłam wycierać półki z książkami. Drzwi się otworzyły.

— Kto ty jesteś? — z silnym akcentem zapytał podejrzliwy głos.

— Nowa sprzątaczką. Już prawie skończyłam — wybełkotałam, mocniej naciągając czapkę na oczy.

— No dobra, pani sprzątaczką. *Ondale*, pospiesz się, okej? Tak?

— Tak! *Si!* Tak! — Pochyliłam się nad wózkiem, niby to sprawdzając przybory. Po chwili drzwi się zamknęły, a ja usiadłam na podłodze, próbując uspokoić serce.

-Jezu Chryste — wyszeptałam. Podbiegłam do komputera i szybko przejrzałam plik. Nie miałam czasu, żeby wszystko przeczytać, ale niektóre wyrazy rzucały mi się w oczy: Amerykańska sprawiedliwość, Moulton, wzrost dochodów, zagraniczne konto bankowe oraz zupełnie nowe słowo — oralsulina. To ono właśnie spowodowało, że przysiadłam.

Akapit zaczynał się od słów: „Wkrótce rozpoczną się testy kliniczne, powinna zostać zaakceptowana do produkcji (skontaktować się z senatorem Boothe'em) w ciągu niespełna roku. Proteiny trudno strawne, można podawać doustnie. Pierwsze próby — tylko na dzieciach...”

Nagle znowu usłyszałam ten podejrzliwy głos.

— *Buenas noches*, panie Osborne.

— Tak, tak, dobry wieczór. — Lex najwyraźniej znajdował się w połowie korytarza.

Włożyłam szybko dyskietkę do stacji dysków, zamknęłam plik i zaczęłam go kopiować.

— Szybko, szybko — błagałam maszynę, słuchając szumu i brzęczenia pracującego dysku.

— Ktoś sprząta w pańskim biurze — kontynuował głos.

— Mam nadzieję, że ktokolwiek to jest, nie zapomni o odkurzeniu żaluzji.

— Proszę, proszę, proszę — szeptałam. W końcu brzęczenie umilkło. Wyjęłam dyskietkę i wyłączyłam komputer. W momencie, gdy ją chowałam, gałka u drzwi zaczęła się obracać. Zaczęłam się rozglądać, w panice szukając miejsca, w

którym mogłabym się ukryć. Były tylko jedne uchylone drzwi — do łazienki Leksa. Wskoczyłam tam dokładnie w momencie, gdy wszedł do biura.

— Halo? Jest tu ktoś? — zawołał.

— Uhm, sprzątam. — Spuściłam wodę w toalecie. — Sprzątam łazienkę.

— Hej, a co to? Co się stało z tym zdjęciem?

Cholera.

— Zdjęciem? — pisnęłam.

— Tak, do cholery! Chodź tu. Chcę wiedzieć, jak to się stało.

Nacisnęłam czapkę na oczy i wyszłam z łazienki.

— Dziewczyno! — Stał wściekły nad zniszczonym zdjęciem. — Posprzątaj to. A koszt ramki odliczę ci od pensji. Jak się nazywasz?

— Ee, Carmen. — Uklęłam i zaczęłam zbierać odłamki szkła. Spuściłam głowę tak, że brodą dotykałam klatki piersiowej.

— Carmen? Przecież Carmen jest w holu. — Buty Leksa były tak wypolerowane, że mogłam się w nich przejrzeć. Zrobił w moim kierunku dwa kroki.

— Ee, Maria?

— O czym ty mówisz? Zadałem ci proste pytanie. Jak. Się. Nazywasz. Taka jesteś głupia?

Odwróciłam się skupiona na szkle i nagle poczułam na karku jego gorący oddech. Podniósł mnie za kołnierz.

— Wiesz, kim jestem? Wiesz, do kogo mówisz? Wiesz? — Ciągnął mnie za tył koszuli, tak że kołnierzyc zaciskał mi się na szyi jak pętla. Nagle mnie puścił i, żalosna sprzątaczką, padłam na podłogę. Uniósł nogę, ale zanim zdążył ją do mnie zbliżyć, odtoczyłam się i zerwałam na równe nogi.

— Jak się nazywam? Chcesz wiedzieć? — Zniżyłam głos tak, że nawet w moich uszach brzmiał bardzo groźnie. — Powiem ci jak. — Cofnęłam się w kąt pomieszczenia, kryjąc się w cieniu. — Supermama. Tak się nazywam. Słyszałeś o mnie?

— Supermama? — Zaśmiał się, przeczesując ręką gęste siwe włosy. — Proszę, nie żartuj.

— To prawda. Jak leci, Lex? W parku rozrywki wszystko gra?

— Co?

— O ile pamiętam, ogrodzenie nie było zbyt solidne. Kompletna tandeta. Dziwię się, biorąc pod uwagę twoją troskę o dzieci, Lex.

— A więc to byłaś ty? Tak myślałem. O mnie się nie martw, Supermamo, ja mam się dobrze. Niestety twoja sytuacja jest gorsza. Kręcisz się koło dzieci, myszkujeś po mieście. A teraz to włamanie.

Zrobił krok w moją stronę, a jego blade oczy błyszczały dziwnym blaskiem.

— I co masz zamiar z tym zrobić, Lex? Zadzwońisz do swojego kumpla Cobblepota?

Zesztywniał.

-Cobblepota?

— Brzmi znajomo? — Staralam się trzymać w cieniu, podczas gdy centymetr po centymetrze przesuwałam się w kierunku drzwi. — To twój kolega? Mózg całej operacji?

— Mózg? Nie przypuszczam... jakiej operacji?

— Operacji „Pokusa”?

— O czym ty mówisz?

— To taka drobna sprawa, którą się zajmuję, gdy nie kręcę się przy dzieciach. Zabawne, nie zauważyłeś? Te wszystkie dzieciaki, które chorują, te, które grały w Amerykańską sprawiedliwość i jadły Patriotyczne Lizaki. Dziwne, naprawdę dziwne.

— Nie wiem, o czym...

— Chcesz mojej rady, Lex? Uważaj, bardzo uważaj. Ponieważ Supermama wypełnia misję i następnym domem, który wyczyści, może być twój dom. Zrozumiałeś?

— Czy zrozumiałem? Ty... ty zboczona sprzątaczo!

Rzucił się w moją stronę, ale byłem szybsza. Skoczyłam do drzwi i wystartowałam do biegu, popychając biedną Carmen na jej wózek.

— Przepraszam — sapnęłam, sięgając do fartucha. — Proszę, tu jest plaster.

— Hej! — Kroki Lexa dudniły tuż za mną i niestety zbliżały się coraz bardziej. — Wracaj! Nie uciekniesz!

— Doprawdy? — Naciągnęłam czapkę, okręciłam się, skierowałam prawą rękę w kierunku jego stóp i wystrzeliłam. — Kto tak twierdzi?

— Au, au! Cholera jasna!— Lex pojechał jak na łyżwach, okręcił się, rozłożył ramiona, a jego gęste włosy wzburzyły się wokół głowy. Jedna noga mu się podwinęła i upadł, rzucając jeszcze kilka smakowitych kwestii z repertuaru śmiertelnego wroga.

— Jeszcze cię dopadnę — krzyknął, gdy gnałam w dół pierwszą klatką schodową, jaką zobaczyłam. — Poczekaj tylko! Zapłacisz mi za to! Pożałujesz dnia, w którym o mnie usłyszałaś, Supermamo!

Wytknęłam głowę zza rogu, nadal kryjąc twarz pod czapką.

— Nie, to ty pożałujesz, że usłyszałaś o mnie!

— Nie, ty pożałujesz!

— Nie, ty!

— Ja pierwszy to powiedziałem!

— A ja ostatnia!

— Zamknij się! — Twarz nabiegła mu purpurą, a żyły nabrzmiały tak, jakby głowa miała eksplodować. — Zamknij się! Zamknij! Zamknij się!

Zdjął but i rzucił we mnie, ale w ostatniej chwili uskoczyłam. Odwróciłam się i po pięciu tysiącach siedmuset czterdziestu ośmiu schodach zbiegłam w dół do głównego holu, sapiąc i świszcząc. Przebiegłam jeszcze kilka przecznic do swojego minivana. Ruszyłam z rykiem (no dobra, z pyrkaniem) silnika, klepiąc się po kieszeni kombinezonu, gdzie bezpiecznie ukryłam dyskietkę. A potem ręce zaczęły mi się trząść tak, że nie byłam w stanie prowadzić. Zjechałam w boczną

uliczkę i stanęłam, cała się trzęsłam, w szyi czułam piekący ból po wściekłym uścisku Leksa.

Co ja do cholery zrobiłam? Teraz nie miałam odwrotu. Zostałam wzięta na cel, mojemu DNA superbohaterki groziło zniszczenie. Walka się zaczęła — z jednej strony ja, Supermama, obrończyni dzieci, z drugiej Lex, wróg czyniący zło. Milioner dobroczyńca cieszący się miłością i zaufaniem całego miasta omamionych „braci”, prowadzący ich do zguby jak współczesny Szczurołap.

Szczurołap — postać z bajki dla dzieci. Zaczęłam się zastanawiać, czy jej zakończenie na pewno było szczęśliwe. Czy dzieci nie zostały uprowadzone, zabrane rodzicom, być może na zgubę? Gdy opowiadałam bajki Kelly i Martinowi, kiedy byli mali, zmieniałam zakończenie, gdy oryginał okazywał się zbyt ponury.

I znowu miałam szansę to zrobić. Stopniowo przestałam się trząść, ból ustąpił, aż w końcu czułam tylko oburzenie i determinację. Jeśli miałam tu cokolwiek do powiedzenia, ta bajka zakończy się szczęśliwie. Dzieci wyzdrowieją, a milionerzy marnie skończą. Może zostanę wybrana na przewodniczącą SPD. No i w końcu może doczekam się własnego sektora w parku rozrywki.

Uruchomiłam silnik i pojechałam w kierunku domu, na wszelki wypadek korzystając z bocznych uliczek. Zatrzymałam się przy Dairy Queen i kupiłam sobie loda. W końcu dokonałam dziś pierwszego przestępstwa, z powodzeniem włamałam się do pustego biura, ukradłam plik z komputera i powaliłam swojego śmiertelnego wroga na kolana.

Z całą pewnością zasłużyłam tym sobie na mały słodki rożek.

Rozdział 15

Więc insulina to białko i zażywana doustnie jest częściowo trawiona, dlatego właśnie musi być podawana w zastrzykach? — zapytałam.

— Na tym polega sedno sprawy — odparł Carl.

— Zatem można by uznać za cud, niemal równie wielki jak wyleczenie zwykłego przeziębienia, gdyby ktoś opracował insulinę doustną?

— To już nie jest kwestia „gdyby”, ale „kiedy”. Wszystkie poważne firmy farmaceutyczne biorą udział w wyścigu o to, kto będzie pierwszy.

Podniosłam wzrok znad notatek i znów uderzyło mnie, jaki był przystojny, jak pogodny blask świecy nadawał ciepła jego brązowym oczom, pogłębiał te dwa podłużne dołeczki po obu stronach ust, wyglądał rozkoszną zmarszczką na czole. Strasznie dziwnie się czułam, siedząc z nim w restauracji w sztucznym świetle i wśród hałasów — rozmów, brzęku talerzy, szurania krzeseł. I wśród ludzi. Nie przestawałam się oglądać przez ramię z obawy, że zobaczę kogoś, kogo znam. Jakbym robiła coś podejrzanego. Nieprawda, powtórzyłam w duchu setny raz. Jadłam kolację w restauracji z mężczyzną. To wszystko. Mężczyzną poznanym w SPD, rodzicem, naukowcem, dorosłym. Jak i ja. Wyglądał tak szacownie ubrany w ładny sweter i sztruksy, tak godnie. I był wysoki.

— W ubraniu wyglądasz całkiem inaczej — wypaliłam.

— Birdie! — O mało się nie udławił łyżką zupy.

-Ale to prawda — wyszeptałam. Tak przywykłam do jego widoku w moich nieskrepowanych wspomnieniach, moich fantazjach. Nieokiełznanego, tarzającego się po ziemi, ściskającego mnie, splecionego z moim ciałem — idealnego, zbyt pięknego, by przykrywać go materiałem, guzikami i zamkami. Tylko księżyc mógł nam pokazać to, co musieliśmy zobaczyć: wyłącznie siebie. A w pobliżu nie było nikogo, kto by nam przypomniał, że właściwie jesteśmy parą ludzi w średnim wieku rozmawiających jak cała reszta, siedzących na twardych niewygodnych krzesłach jak cała reszta, jedzących jak cała reszta.

— Tęsknię za parkiem — powiedziałam łamiącym się głosem.

Sięgnął przez stół i ujął mnie za rękę.

— To tak jak ja — mruknął. — Tak jak ja.

— Ale nie możemy tam wrócić.

— Nie, ale znajdziemy miejsce, nasze własne, gdzie nikt nas nie odszuka. Znow będziemy się tak czuć. Zaufaj mi. Ufasz mi, prawda?

Podniosłam wzrok i zobaczyłam jego twarz. Wszystko inne w restauracji zbladło i przez chwilę byliśmy tam tylko my dwoje. Tak. Ufałam mu.

— Tak. — Położyłam policzek na jego dłoni, poczułam jego skórę na swojej i to wystarczyło. Na chwilę.

— Nie widziałaś jeszcze zdjęć?

Potrząsnęłam głową.

— Więc co z tą insuliną? — Cofnął rękę i znow byliśmy po prostu parą ludzi w średnim wieku jedzących kolację w restauracji.

— Załóżmy, że firma Moulton Pharmaceuticals jest pierwsza na rynku z dostępną insuliną. I tak się składa, że masa dzieci zaczyna nagle chorować na cukrzycę. Dzieci, które będą zależne od insuliny przez całe życie. Dlaczego jednak dzieci zapadają na cukrzycę? Czy może to mieć coś wspólnego z Patriotycznymi Lizakami i pewną odmóżdżającą grą wideo?

— W porządku. I tu ja odpadam. — Carl wrócił do zupy.

— Co masz na myśli?

— No wiesz, po pierwsze, jeśli Lex naprawdę jest w to zamieszany, co z tego ma? Kiedy dzieci zachorują na cukrzycę, przestaną jeść jego słodczyce i Nowy Kosmos straci pieniądze, może nawet wypadnie z rynku.

— Och. Cóż. O tym nie pomyślałam.

— A po drugie, to zbyt ryzykowne, związek między Patriotycznymi Lizakami a cukrzycą. Nie pomyśleliby, że ktoś może na to wpaść?

— Kto? Kto miałby na to wpaść? Tylko ja, Supermama! Pamiętaj, że nikt oprócz mnie nie słyszy tych podprogowych głosów.

— Ale i tak niczego nie możesz udowodnić, prawda? Po prostu słyszałaś rozmowę Leksa z tym facetem Cobblepotem. I co? To nie wystarczy, żeby doprowadzić do upadku imperium zła.

— Cóż, prawdę mówiąc — pociągnęłam łyk wina — mogło się zdarzyć, że... przypadkiem... włamałam się do biura Leksa i ukradłam z komputera plik pełen obciążających dowodów.

— Co zrobiłaś? — Carl upuścił łyżkę do talerza, kropelki zupy obryzgały mu cały krawat. Zanotowałam w pamięci, żeby później je usunąć.

— Ja... ee, ukradłam plik, Lex mnie przyłapał, ale uciekłam. Nic mi nie jest. — Dotknęłam szyi w miejscu, gdzie zostały dwa niewyraźne czerwone ślady. — Dorobiłam się tylko paru siniaków.

— Birdie, ta sprawa wymyka się spod kontroli. Następnym razem idę z tobą.

— Nie!

— Czemu nie?

— Bo nie! Jestem Supermamą! — Mężczyzna przy stoliku obok opuścił menu i się gapił, wbił we mnie parę małych oczek. — Ponieważ jestem Supermamą — wyszeptałam. — Wonder Woman nie ciągnie za sobą chłopaka, prawda?

— Ale Birdie — Carl też zniżył głos — Lex mógłby być niebezpieczny.

— Mógłby? — Prychnęłam. — Powinieneś zobaczyć, jak ten facet traktuje pracowników.

— Dokładnie o to mi chodzi. A ty jesteś taka malutka. Jesteś taka, taka...

— Jaka? — Patrzyłam na niego płonąącym wzrokiem, prowokując go, żeby to powiedział. Zupełnie jak doktor Dan. Jak moje dzieci. Jak Carrie. A kiedy powie, ja odejdę i nie będę smutna. Byłam dość silna, żeby to zrobić. Byłam jak stal, skała, granit. Nic nie mogło mnie poruszyć, nic nie mogło wstrząsnąć twardym fundamentem.

— Taka dla mnie ważna — dokończył, marszcząc brwi. — Po prostu jesteś mi taka droga.

— Och! — Oklapłam na krześle, ciepła fala szczęścia zalewała mi pierś, wypychając na twarz szeroki głupawy uśmiech. — Och! Ty też!

— Co „ty też”? — Uśmiechnął się.

— Ty też! Też jesteś mi drogi!

— Czy to nie korzystny zbieg okoliczności? — A potem po prostu siedzieliśmy, uśmiechając się do siebie promiennie, aż człowiek z menu zacisnął swoje rybie wargi i z niesmakiem odwrócił twarz.

— W każdym razie... — Wbiłam paznokcie w nadgarstek, usiłując zejść z chmur na ziemię i skoncentrować się na pilnym problemie walki ze złem. — Oralsulina. Zapamiętaj tę nazwę. To nazwa insuliny, nad którą pracuje twój pracodawca. Niedługo zaczną próby kliniczne.

— „Pokusa”?

Skinęłam głową.

— Ale Birdie, sam fakt, że Lex wie o insulynie, nie jest właściwie obciążający, prawda?

— Nie. Dlatego uważam, że w tej chwili moja największa szansa to podprogowe komunikaty. Przypomnij sobie stare dobre czasy, kiedy można było puścić płytę do tyłu i usłyszeć wiadomość w rodzaju „Paul nie żyje”. Pamiętasz?

— Jasne. W dzisiejszych czasach wszystko jest cyfrowe, dzieciaki mają wypalarki CD i odtwarzacze MP3, właściwie ministudia nagrań jak Greg. — Odłożył łyżkę. — Birdie, nie pomyśleliśmy. Mamy nastoletnich synów. Mamy nastoletnich synów kujonów. Nie uważasz, że przynajmniej jeden z nich by się w tym połapał?

— Nie wiem. Chyba tak.

— Pogadam z Gregiem. Będzie zachwycony, mając pretekst, żeby znów zagrać w tę grę.

— Super.

— Nie wyglądasz na specjalnie zadowoloną.

— Przepraszam. Chodzi o to, że polegam właśnie na facecie z laboratorium chemicznym w piwnicy i nastolatkach ze słuchawkami, a do tego jeżdżę plymouthem voyagerem z 1991. Strasznie żałosna ze mnie superbohaterka. — Rzuciłam serwetkę na stół i westchnęłam.

Mężczyzna przy stoliku obok nagle zaczął się dławić krakersem. Jego tłuste ramiona się trzęsły, chociaż twarz ukrył w serwetce. Podeszła kelnerka, nalała mu szklanek wody i wreszcie przestał kaszleć.

— Och, Birdie, znowu zaczynasz — powiedział Carl, współczująco klepiąc mnie po ręce. — Każdy superbohater musi jakoś wystartować. Powinnaś po prostu znaleźć jakiegoś sponsora albo dwóch.

— Skąd mam wziąć czas, żeby się tym wszystkim zająć? — rzuciłam ostro. — Nawet bez konieczności szukania wsparcia mam już dość roboty z pracą i praniem, byciem mamą, walką z przestępczością, sprzątaniami tego miasta i włamywaniem się do biur. I kto ma lokaja? Kto? Samotny bogaty facet. To nie w porządku. I do tej pory nie dostałam jeszcze wiadomości od Ligi Sprawiedliwości. Chociaż dostałam tandetną broszurkę od jakiejś innej grupy, jakichś Avengersów.

— Avengersów?

Potwierdziłam.

— Och, to grupa z komiksów Marvela, Kapitan Ameryka, Iron Man, ci faceci. Zdecydowanie klasa B. Moim zdaniem nie dość dobrzy dla podobnych do Supermamy.

— Cóż, Liga Sprawiedliwości jeszcze nie poprosiła mnie, żebym do nich dołączyła, więc może będę musiała zdecydować się na Avengersów. Typowe.

— Jesteś taka słodka — powiedział Carl gardłowym głosem.

— He?

— Jesteś taka słodka, kiedy wygłaszasz przemowy w stylu superbohaterki.

— Przestań! — Kopnęłam go pod stołem. — Nie jestem słodka, jestem superbohaterką!

— Przepraszam. Jesteś. Czy superbohaterka nie może być słodka? Uwielbiam, kiedy robisz taką nadąsaną minę jak teraz.

— Nieprawda! To nie dąsy, to Bezlitosne Spojrzenie. — Skrzyżowałam ręce na piersiach i usiłowałam ostro na niego spojrzeć, ale nie mogłam wytrzymać, rozplynęłam się w uśmiechu.

— I ten słodki uśmieszek.

— Przestań!

— I to słodziutkie miejsce przy końcu twojego kręgosłupa, z puszką. Uwielbiam cię tam dotykać i właśnie o tym myślę. — Głos miał jeszcze niższy, czułam jego pieszczotę na włoskach na karku. — Uwielbiam muskać to miejsce, a potem przesuwając palce w dół, wokół twojej...

— Przestań — mruknęłam, wierząc się na krzesło, nagle czując żar między nogami. Cała się skręcałam i czułam swędzenie, spragniona jego dotyku.

— Nic nie mogę na to poradzić. Muszę cię poczuć. — Oczy Carla płonęły żarem. Musiałam się odwrócić, bo inaczej zaczęłabym zdzierać z siebie ubranie na samym środku restauracji.

— Dokąd możemy pójść? — wyszeptałam, wpatrując się w prążki na obrusie sąsiedniego stolika.

— Dokądś. Nieważne, na tylne siedzenie mojego samochodu, dokądkolwiek. Chodźmy. -1 Carl wyciągnął portfel, upuścił na stół jakieś banknoty, chwycił mnie za ramię, a potem pokierował do wyjścia, opierając dłoń na tym najwyraźniej rozkoszniejszym miejscu w najbardziej podatnej na łaskotki części moich pośladków. Ledwie mogłam się powstrzymać przed pociągnięciem jego dłoni ku piersiom, które boleśnie pragnęły dotyku. Czasami będąc z Carlem, czułam się jak pianino, w którym poplątano struny: brzdąkał na głębokiej basowej nucie mojego kręgosłupa, a ja reagowałam sopranowym dźwiękiem gdzieś indziej.

Myślałam, że się przewrócę, ale jakoś utrzymał mnie na nogach.

— Och, Carl, nie mogę się doczekać, żeby cię...

— Birdie?

— Dan?

Jakbym nagle weszła pod zimny prysznic — to był wstrząs spotkania twarzą twarz z Danem, kiedy Carl trzymał natarczywą rękę na mojej pupie.

— Dan?

— Birdie? Co ty tu robisz? — Doktor Dan spojrzał na mnie krzywo, jego rzędzące blond włosy opadały na lodowate oczy. Z tyłu zobaczyłam Dixie rozmawiającą przez komórkę. — Rozporządzenie wyraźnie stwierdza — powiedziała, ale tylko tyle usłyszałam, ponieważ byłam boleśnie świadoma, że doktor Dan gniewnie patrzy na Carla trzymającego rękę na moich pośladkach, mimo że próbowałam ją stamtąd odsunąć.

— Doktorze... Dan, to mój przyjaciel Carl. Carl Sayers. Ze szkoły? Pamiętasz może, jego syn Greg chodzi do klasy z Martinem?

— Hmm. Przepraszam, nie pamiętam — burknął sztywno mój były. — Więc jest pan przyjacielem Birdie?

— Tak. Bardzo bliskim — Carl uszczypnął mnie w pupę i pisnęłam — przyjacielem.

— No, no. Co za niespodzianka. Hm. Miło pana poznać, Cal.

— Carl.

— Tak. Birdie, mógłbym chwilę z tobą porozmawiać? Na osobności?

Carl głębiej wsunął rękę w moje spodnie, ale się wyrwałam.

— Wszystko w porządku — syknęłam, chociaż toczył gniewnym wzrokiem i grzebał nogą jak zazdrosny byk. — Uspokój się. Nie zmuszaj mnie, żebym cię postawiła do superkąta. — Uśmiechnął się na to stwierdzenie, ale nie rozluźnił zaciśniętych pięści. Poszłam za doktorem Danem do wnęki.

— O co chodzi, Dan? — Dixie, jak zauważyłam, wciąż rozmawiała przez komórkę. W ogóle mnie nie dostrzegła.

— Birdie. Sądzę, że nadszedł czas, żebyśmy porozmawiali.

— O czym?

— O różnych rzeczach. O naszych dzieciach, szczególnie o Kelly. Często dzwoni do biura, a to zakłóca mi porządek dnia.

— To twoja córka. Nie musi mieć powodu, żeby do ciebie dzwonić.

— Birdie. — Dan z przyklejonym do twarzy uśmiechem pomachał do przechodzącej pary. — Mów ciszej, proszę. Nie przynoś mi wstydu. Są tu moi pacjenci.

— Świetnie. — Skrzyżowałam ręce na piersiach i westchnęłam. Widziałam Carla, który czał się przy biurku hostessy, udając, że przebiera w misie z deserowymi miętówkami, chociaż tak naprawdę spoglądał na nas przez ramię. Był tak rozkosznie żaloszny. — Może pomówimy jutro?

— Birdie, czy do tej porv nie nauczyłaś się mojego rozkładu zajęć? Wiesz, że czwartki są wypełnione. Naprawdę.

— Okej, Kiedy?

— Mogę cię upchnąć w piątek, pierwsza wizyta po lunchu. Równu o pierwszej.

— Dobrze, i tak mam wolny dzień. Och... Dan?

— Co?

— Nie mów dzieciom o... Carlu. To znaczy ja im nie mówiłam. Jeszcze. Powiedziałam, że wychodzę z Carrie. — Byłam wściekła, że musiałam mu się przyznać, nie potrafiłam mu spojrzeć w twarz, wiedząc, co tam zobaczą. Pogardę, wyższosć.

— Skłamałaś naszym dzieciom?

— Tak. — Czułam żar na twarzy i zaczęła mnie swędzić skóra.

— Skłamałaś naszym dzieciom na temat randki? Birdie, doprawdy.

— Nie mów mi o kłamstwie, Dan. — Wydusiłam to przez zaciśnięte zęby, patrząc mu w oczy. — W tej kwestii nie masz prawa do moralnej wyższosći.

Poprawił krawat i odwrócił oczy.

— Do zobaczenia w piątek.

— Na razie.

Następnie się wycofaliśmy, każde do własnego narożnika. On chwycił Dixie, nadal rozmawiającą przez komórkę, i poprowadził ją do stolika. Ja pozwoliłam, żeby Carl wypchnął mnie za drzwi i na parking, gdzie w uścisku jego ramion trochę popłakałam, chociaż się za to nienawidziłam. Nienawidziłam tego okropnego uczucia, że jestem słabą bezradną kobietą, które nachodziło mnie po każdej rozmowie z doktorem Danem.

Z dala od niego byłam silna. Spójrzmy prawdzie w oczy, byłam superbohaterką. Ale przy nim stawałam się słaba, wprost żałosna. Kiedy do tego doszło? I dlaczego pozwoliłam, żeby trwało po tych wszystkich latach?

Carl pytał mnie dokładnie o to samo, ale potrafiłam tylko pokręcić głową. Wreszcie zamilkł i po prostu mnie tulił, nie ruszając się, nie wiercąc, nie wspominając, że powinniśmy iść. Po prostu stał solidny jak dąb i wiedziałam, że stałby tak wiecznie. Musiałam tylko poprosić.

— Już w porządku — mruknęłam w końcu. Nie ruszyłam się jednak z miejsca, twarzą schowaną pod jego płaszczem pocierałam o wełniany sweter, ukojona zapachem wanilii i palonego drewna. Na czubku głowy czułam oddech Carla, jego serce powoli i pewnie biło pod skórą.

— Co chcesz teraz robić? — W jego głosie przebijał smutek.

— Muszę iść do domu. — Nie odpowiedział, ale też nie rozluźnił uścisku. Nie od razu. I dzięki temu mocnemu władcemu uściskowi wiedziałam, że rozumiał.

— Następnym razem — szepnęłam w odpowiedzi na pytanie w smutnych brązowych oczach.

Kiwnął głową.

— Następnym razem — odparł w odpowiedzi na pytanie w moich. Pocałował mnie, pocałunek był delikatny i pełen szacunku, całkiem na miejscu na parkingu przed restauracją. Poczulałam się dumna, że ktoś całuje mnie publicznie w taki normalny sposób. Ale trochę też posmutniałam.

— Dobranoc — powiedzieliśmy jednocześnie i uśmiechnęliśmy się do siebie. A potem odjechaliśmy, każde swoim samochodem.

Pomyślałam, jak będzie wyglądał mój wieczór. Jakimś sposobem wiedziałam, że po raz pierwszy łóżko wyda mi się za duże, prześcieradła za zimne, poduszki zbyt puste. Będę spała skulona, nie jak zwykle wyciągnięta na całą długość, jednocześnie czekając i tęskniąc za kimś, kto powinien leżeć obok.

TLR

Rozdział 16

Dan, Dan, Dan, Dan. Doktor... nie. Dan. Dan. Dan. Dan. Dan...

— Siedziałam w samochodzie na parkingu doktora Dana — nie, Dana — ćwicząc wymawianie jego imienia. Prawdziwego imienia. Bez żadnego „doktora” przed. I zaczęłam się zastanawiać, od kiedy zwracałam się do niego w ten sposób. I dlaczego.

Sam to zapoczątkował, kiedy tylko skończył medycynę (i popędził, żeby kupić kosztowną ramkę do swojego dyplomu, którą powiesiliśmy nad kominkiem w naszym pierwszym mieszkaniu). Nagle przedstawiał się zupełnie obcym ludziom jako „Doktor Dan Lee, dermatologia”. Nawet czeki podpisywał w ten sposób. Dlatego kiedy po raz pierwszy zwróciłam się tak do niego w łóżku, oczywiście myślałam, że będzie zadowolony.

Cóż, nie był.

— Och, doktorze Danie — jęknęłam zupełnie jak bohaterka opery mydlanej. A potem zaczęłam tak strasznie chichotać, że zepchnęłam go z siebie, a on odwrócił się zirytowany, owinał prześcieradłem i poszedł spać na dół.

W łóżku więcej tego nie próbowałam, ale w myślach cały czas tak się do Dana zwracałam. Po wydarzeniach w drugiej klasie, kiedy wreszcie dałam mu rozwód, który knuł po cichu od lat, pozwoliłam sobie mówić tak o nim głośno. I teraz tak mi to weszło w nawyk, że nie mówię nigdy inaczej. Dlatego właśnie siedziałam w samochodzie, powtarzając w kółko „Dan, Dan, Dan, Dan, Dan”.

Sprawdziłam godzinę na zegarze na desce rozdzielczej, westchnęłam, wysiadłam z samochodu i weszłam do biura, przed otwarciem drzwi odmawiając ostatnią litanię Danów.

Kiedyś uwielbiałam tu przychodzić, przyprowadzać Kelly i Martina w odwiedziny do tatusia. Uważałam się za współnika równie ważnego jak pozostali lekarze. Pomogłam mu wybrać kolory i umeblowanie gabinetu, biegałam po całym mieście, wyszukując próbki jasnych, wesołych żółci, zieleni i pomarańcze oraz kupując wygodne meble — postarzane stoliki do kawy i stojaki na czasopi-

sma do recepcji. Wszystkie pielęgniarki mnie uwielbiały, bo przynosiłam im ciasteczka, pozwalały Kelly na niby wpisywać pacjentów, a Martinowi karmić rybki w akwarium. Dan też był zadowolony, mógł się pochwalić swoją rodziną na żywo, a nie tylko jej fotograficzną wersją w idealnie równo ustawionych ramach na biurku. Wydawał się zadowolony nawet na mój widok, dumny, że pielęgniarki mnie uwielbiały. W tamtych czasach zjadał nawet ciasteczko czy dwa, wtedy jeszcze nie dbał tak o wagę.

Potem sytuacja się zmieniła; kto wie kiedy i jak. Kto, tkwiąc w małżeństwie, pochłonięty detalami — zakup skarpetek, umawianie wizyt u dentysty — kto wtedy wie, że szykuje się coś poważnego, że ta druga osoba — jest nieszczęśliwa, że chce dokonać zmian? Pamiętajcie to wyrażenie „nie widzieć lasu spoza drzew”? Cóż, jest prawdziwe. Tkwiąc w małżeństwie, nie ma się czasu, by cofnąć się o krok i zobaczyć, jaką przybrało formę, jak mogło się zmienić, jak z czasem równowaga się zachwiała.

A potem któregoś dnia się budzisz, a osoba leżąca obok ciebie jest kimś obcym. A ty nie wiesz, kiedy do tego doszło. Nie wiesz, czy to szczęśliwe, czy smutne wydarzenie. Wiesz natomiast, że ten obcy poważnie zakłóci twoje starannie zbudowane życie. Dlatego robisz, co możesz, żeby trzymać się drobiazgów, rzeczy, na które nadal możesz liczyć. Jak pieczenie ciastek. Kupowanie skarpetek.

Pchnęłam podwójne drzwi i weszłam do recepcji. Kiedy doktor Dan — Dan — ożenił się z Dixie, zjawiała się tu i zastąpiła wszystko chromem, fioletem i czarną skórą. Efektowne. Ale zimne.

— Och, witam, pani Lee. To znaczy Birdie — powitała mnie Stella, jedna z pielęgniarek. — Masz umówioną wizytę?

— O pierwszej.

— Przepraszam, Birdie, ale musisz się wpisać — wyszeptała z przepaszającym wzruszeniem ramion. Wpisałam swoje nazwisko wśród pozostałych pacjentów — ale większymi literami, zajmując nie jedną, nie dwie, ale trzy linijki — i uśmiechnęłam się do Stelli wdzięczna — za zrozumienie.

Usiadłam na fioletowym krześle i wzięłam egzemplarz „House Beautiful”. Za moich czasów mieliśmy porozkładanych masę „National Enquirerów”, co pa-

cyjenci naprawdę doceniali. Nic tak nie odrywa myśli od mikrodermabrazji jak lektura o czyichś pryszczach wielkości piłek do golfa.

— Pani Lee? Birdie? Doktor teraz cię przyjmie.

Ruszyłam korytarzem za inną pielęgniarką. Otworzyła drzwi jednego z gabinetów. — Doktor za moment przyjdzie.

— Chwileczkę. — Nogi po prostu wrosły mi w ziemię. — Nie będę się z nim spotykać w gabinecie. Nie przyszedłam tu, żeby usunąć pieprzyki! Proszę powiedzieć doktorowi... Danowi, że spotkam się z nim w biurze. Na litość boską, jestem jego byłą żoną!

Pielęgniarka szybko zatrzasnęła drzwi do gabinetu. Pobiegła z powrotem, żeby skonsultować się ze Stellą. Usłyszałam szepty, Stella podnosiła słuchawkę i mówiła coś nalegającym tonem, potem były dalsze szepty. Pielęgniarka przytruchtała z powrotem.

— Oczywiście, proszę tędy — wysapała. I z największą godnością, na jaką umiałam się zdobyć, poszłam za nią do sanktuarium — Wymarzonego Biura Doktora Dana.

Mahoniowe biurko wielkości frachtowca. Mosiężne lampki do czytania z ciemnozielonymi abażurami. Dyplomy oprawione i oświetlone lampami odbiciowymi. Stare angielskie ryciny przedstawiające sceny polowań. Oprawne w skórę książki stojące w szeregu na półkach z wiśniowego drewna. Pluszowy dywan tak gruby, że nie byłam pewna, czy jeszcze kiedyś zobaczę swoje stopy. A na biurku w schludnym rzędzie rodzina, każdy w swojej rameczce.

Nawet kiedy byliśmy małżeństwem, nigdy, nie zostałam uprawiona do posiadania własnej ramki. To, czym się zajmowałam — gotowanie, sprzątanie, kolorowanie z dziećmi — nie wyglądało dobrze zamknięte w srebrnej ramce. Jednak Dixie w kostiumie przyjmująca nagrodę Izby Handlu ładnie wyglądała w ramce. Podobnie Kelly w sukience na Święto Plonów. Nawet Martin w stroju do piłki nożnej.

Supermama. Ona wyglądałaby świetnie w jednej z tych srebrnych ramek.

— Birdie — przemówił Dan, odchylając się w skórzanym fotelu i układając ręce w piramidkę na piersi.

— Doktorze... Dan, Dan, Dan — zająknęłam się, siadając naprzeciw. Sięgnęłam do górnego guzika bluzki nagle zaniepokojona, że jest niezapięty.

— Więc.

— Więc.

— Cóż. — Westchnął i spojrzał na zegarek. Mimo że sam zwołał to zebranie, omal nie przeprosiłam, że zabieram mu czas, ale coś mnie powstrzymało. Prawa dłoń — sprężysta, gąbczasta, silna — przypomniła mi o wszystkim, co potrafiłam zrobić, wszystkim, czego się o sobie dowiedziałam podczas kilku ostatnich tygodni.

Rozsiadłam się więc wygodniej, westchnęłam i też spojrzałam na zegarek.

— Cóż — powtórzył, marszcząc brwi. — Jak się masz?

— Świetnie. A ty?

— Dobrze.

— To miło.

Spojrzeliliśmy na siebie — para obcych sobie ludzi prowadzących grzeczną rozmowę. A jednak kiedyś prałam mu bieliznę. Kochaliśmy się. Urodziłam w jego obecności. Widział mnie najbardziej bezbronną, najbardziej nieopanowaną. A teraz rozmawialiśmy ze sobą jak dwie panusie na herbatce. Czasami było mi smutno, że doszliśmy do tego stadium, a czasami czułam ulgę.

— Kelly — powiedział wreszcie, po ojcowsku kiwając głową. — Co z nią zrobimy?

— Co masz na myśli?

— Kelly twierdzi, że jesteś przeciwna jej znajomości z Harrym Osborne'em.

— To prawda.

— Cóż, byłbym wdzięczny, gdybyś trochę jej odpuściła. Nie chcę, by była wciąż tak rozstrojona, wydzwania do biura dniami i nocami.

— Dan, to nastolatka, a ja jestem jej matką i mnie nienawidzi. To normalne.

— W takim razie musi przynajmniej czekać do naszych ustalonych weekendów. I chciałbym, żeby przestała płakać — narzekał. — Zawsze płacze.

— Dan. Ma piętnaście lat, tęskni za swoim ojcem i nienawidzi matki, ponieważ tęskni za ojcem. Nie zawsze może czekać na co drugi weekend, żeby z tobą pomówić.

— W takim razie musisz się bardziej starać, Birdie. Sądziłem, że w tej jednej dziedzinie mogę na ciebie liczyć. Wcześniej zawsze s! tak dobrze radziłaś sobie z dziećmi. Nie mogę zrozumieć — zaczął, 1 opierając się o blat, rozgrzewając się przed jednym z ulubionych refrenów — czemu ostatnio ze wszystkim masz problemy. Płacę ci alimenty w wysokości więcej niż wystarczającej. Zapewniłem ci ładny dom. Nie musisz pracować, jeśli nie chcesz, i czemu z uporem trzymasz się tego miejsca, pozostaje dla mnie tajemnicą. To kłopotliwe, kiedy pacjenci przychodzą i wspominają, że widzieli moją byłą żonę przy pakowaniu zakupów.

— Dan.

— W każdym razie masz jedwabne życie, Birdie. A jednak nasza córka jest zrozpaczona, a syn wrogo do mnie nastawiony i żyje w świecie wyobraźni.

— Są teraz nastolatkami. To jest problem i będzie. Ale ty nigdy nie radziłaś sobie z kłopotami, prawda? — Z wysiłkiem zachowywałam przyjemny ton, odpowiedni do spotkania przy herbatce. — Dan, Kelly cię teraz potrzebuje. Może chodzi o komunikację z ojcem, nie wiem, ale ostatnio stale wszczyna ze mną walkę i chociaż rozumiem dlaczego, mam trochę dosyć brania na siebie winy za to, co ty...

— Co ja co?

— Co ty zrobiłaś. Świetnie wiesz, co mam na myśli. — Patrzyłam na niego bez mrugnięcia. Uśmiechnął się.

— Wpakowałaś mnie w bardzo nieprzyjemną sytuację, Birdie.

— Nie. A jeśli nawet, posunęłaś się za daleko. A potem, żeby pomylić taśmy na oczach uczniów całej drugiej klasy i ich rodziców!

— To nie było zamierzone. Ale podejrzewam, że podświadomie czułem, iż muszę zrobić coś rozpaczliwego, żeby ci uświadomić, jak bardzo chcę się wyrwać z tego małżeństwa.

— Nie. Dla tego, co i jak zrobiłeś, nie ma wymówki. Żadne z tych dzieci już nigdy nie będzie w stanie uczestniczyć w Dniu Orientacji Zawodowej!

— Wszyscy poważnie przesadzili z reakcjami. Zresztą taśma była kiepskiej jakości. Nikt nie widział niczego nieprzyjemnego.

— Martin owszem.

— Bzdura. Miał tylko osiem lat. Nie wie, co widział.

— Dobra — rzuciłam, chociaż miałam ochotę wskoczyć na biurko i przyłożyć mu w szczękę. Aż mnie zatrzęsło na wspomnienie tamtego popołudnia, tamtego wstydu, tak że prawa ręka zaczęła mnie swędzieć i pulsować, więc bałam się, iż zaraz w niego strzelę. Szczypałam się, dopóki nie odzyskałam spokoju. — Dobra — powtórzyłam.

-Więc odpuść trochę Kelly i Harry'emu. — Doktor Dan spojrział na zegarek. — Lex i Patty Osborne to w tym mieście wpływowi ludzie. Zatrudniają setki pracowników. Sami doszli do...

— Milionów. — Ściągnęłam usta.

— Dokładnie. Więc sytuacja, w której moja córka...

— Nasza córka.

— Nasza córka umawia się z ich synem, jest dla mnie korzystna, To znaczy dla Kelly.

> — Słusznie. Dla Kelly.

— Oczywiście. Myślę tylko o jej przyszłości. Harry Osborne to potężny, uczciwy obywatel.

— Cóż, Supermama twierdzi coś innego.

— Kto?

— Supermama.

— Supermama? — Roześmiał się. Odchylił do tyłu swoją wielką głupią głowę, rzednące włosy opadły mu na czołko. — Supermama? Ta wariatka?

— To nie wariatka!

— Birdie, jest stuknięta. Szalona. To chora osoba ubrana w kostium na Halloween.

— To superbohaterka, która sprawia, że Astro Park jest bezpieczne dla dzieci — oświadczyłam, starannie wymawiając każdą sylabę.

— Jasne. Cóż, ja w każdym razie nie brałbym poważnie tego, co mówi. W dniu, kiedy rzeczywiście zrobi coś sensownego, zjem swój kapelusz.

— Naprawdę? — Pochyliłam się z uśmiechem. — Chcesz pójść o zakład?

— Co masz na myśli? — Znow spójrzał na zegarek i zaczął zbierać jakiś wykresy.

— Ze założę się z tobą o to, czy Supermama dokona czegoś heroicznego. Na przykład odkryje skandal, który dotyczy zdrowia i szczęścia dzieci w Astro Parku... czy coś w tym rodzaju. A jeśli nie, ja zrobię coś dla ciebie. Ale jeśli wyjdzie na moje, ty musisz coś dla mnie zrobić.

— Na przykład?

— Jeżeli okaże się wariatką, jak twierdzisz, rzucę pracę w spożywczym.

— Naprawdę? — Przestał grzebać w wykresach i popatrzył na mnie.

— Tak. Naprawdę.

— Mów dalej, mów dalej. A co ja mam zrobić?

— Cóż — nie mogłam powstrzymać złośliwego uśmiechu. — Musisz publicznie przeprosić za ten incydent w drugiej klasie. I powiedzieć Kelly, co dokładnie zaszło, kiedy odszedłeś. Musi usłyszeć to od ciebie. Uważam, że jesteś mi to winien, Dan.

— Co? Nie sędzę. Zwariowałaś.

— Świetnie. — Wstałam, żeby wyjść. — I tak nie chciałam rzucać pracy. Uwielbiam pakować zakupy twoich pacjentów. Płatki i placki ziemniaczane. I wiesz co, Dan? Jestem w tym naprawdę dobra. Najlepsza.

— Zaczekaj. — Wstał. — Naprawdę się zwolnisz, jeżeli ta Supermama okaże się oszustką?

— Tak.

— W porządku. — Pokręcił głową. — W porządku. W życiu nie byłem taki pewny wygranej. Idź i powiedz swojej przyjaciółce Su— permamie, że nie mogę się doczekać, kiedy wpakują ją do czubków.

— Och, załatwione. A ty obiecujesz, zgadza się?

— Tak, tak. — Doktor Dan skinął ręką, powalając mi odejść. — Och... i Birdie?

— Co?

— Co z twoim... przyjacielem? Carlem?

— Carlem.

— Tak. Cóż. Postaraj się nad sobą panować. Nie chcę, żeby sypiał w moim domu.

— Twoim domu?

— Tak. Moim domu. Za który ja zapłaciłem, w którym mieszkają moje dzieci. Jeżeli musi... być z tobą... — Zmarszczył nos, jakby myśl o byciu ze mną stanowiła najgorszą perspektywę na świecie. A ja chciałam zerwać z siebie ubranie i zrobić na jego biurku szalony striptiz tylko po to, żeby zobaczyć, co stracił przez te wszystkie lata. Ale dla dobra dzieci tego nie zrobiłam. — Bądź ostrożna, Birdie. Nie zrób niczego, co mogłoby...

— Przynieść ci wstyd. Jasne. Chyba już to słyszałam. — Ruszyłam do wyjścia, nie mogłam się doczekać, kiedy się stamtąd wyniosę. Jednak gdy dotarłam do drzwi, obejrzałam się na doktora Dana. Marszczył brwi nad jakimś wykresem, sięgając po telefon. Już zapominał, że w ogóle tam byłam.

I to mnie rozwścieczyło. Tym razem wreszcie strząsnęłam z siebie ciężar jego lekceważenia. Wreszcie pozwoliłam, żeby zapłonął ten płomycek oburzenia, wręcz go podsyciłam, skłoniłam, żeby płonął jaśniej. Dość jasno, wystarczająco gorąco, żeby popchnąć mnie z powrotem przed biurko, gdzie wyrwałam Danowi z ręki wykres i rozłączyłam telefon.

— Ja? Przynieść ci wstyd? Lepiej się zastanów, co wygadujesz, doktorze Dan. Pomyśl o tym, co zrobiłeś mnie, swojej rodzinie. A potem porozmawiamy o wstydzie. Do tego czasu będę z Carlem. Carlem. C-A-R-L-E-M. Kiedykolwiek i gdziekolwiek zechcę. I nie będę miała z tego powodu poczucia winy. Nie pozwo-

łę, żebyś mi to zrobił. Nie jestem tamtą osobą, doktorze Dan. Nie jestem tamtą Birdie. Już nie.

Doktor Dan stał ze słuchawką w dłoni, mrugając. A potem szyderczo wykrzywił usta.

— Cóż, kim w takim razie jesteś?

Wyprostowałam się i nogi w mokasynach ustawiłam równoległe, wskazując dokładnie na niego.

— Dowiesz się niedługo, doktorze Dan. Dowiesz się. — Następnie z godnością opuściłam jego biuro, nie oglądając się za siebie.

I nawet nie potwierdziłam swojego wyjścia podpisem w recepcji.

Rozdział 17

To wszystko jest takie fascynujące. Mów dalej.

— Och, Carrie — jęknęłam zesztywniała od leżenia na własnej sofie, tak krótkiej, że nawet ja nie mogę się na niej wyciągnąć. Ale Carrie się uparła, że-
bym podczas naszych sesji leżała na kanapie.

Analizowała mnie. Była przekonana, że moja przemiana w su— perbohaterkę ma coś wspólnego z niemożnością śnienia. I z moją niespełnioną ambicją albo brakiem ambicji, a może zduszoną ambicją — nie była do końca pewna. I moją matką. I oczywiście bardzo wiele z doktorem Danem.

Nic mnie to nie obchodziło. Wcale nie chciałam zbyt dogłębnie tego badać, ale Carrie miała chore dziecko i była moją najlepszą przyjaciółką, a ja żałowałam, że miałam wcześniej przed nią tajemnice. I dlatego się dostosowałam, czasami zmyślając coś, o czym wiedziałam, że jej się spodoba.

— Nie widzisz tego? Przez całe dorosłe życie byłaś identyfikowana jako matka. Nigdy nie byłaś nikim innym. A teraz cała ta frustracja manifestuje się jako Supermama! Fantastyczne!

— Carrie, nie frustrowało mnie bycie mamą. Lubiłam to. Wciąż lubię. I moje moce są rzeczywiste, nie mówimy to wytworach spaczonyj, sfrustrowanej wyobraźni. — Błyskawicznie usunęłam znad jej głowy pajęczynę, żeby przedstawić dowód.

— Wiem, wiem. Nie twierdzę, że twoje siły nie są realne. Ale mam teorię, posłuchaj mnie spokojnie, że większość superboha— terów ma tendencje, by budować na własnych słabościach. Jak Aquaman. Tak się zastanawiam... myślisz, że jako dziecko umiał pływać? Może prawie utonął! I dlatego został Aquamanem! Och!

— Gorączkowo bazgrała coś w swoim notesie, marszcząc nos. — Może znalazłam temat pracy!

- Świetnie. — Przekreśliłam się, usiłując znaleźć wygodną pozycję. — Ale nigdy nie uważałam, że bycie matką to słabość. Za to doktor Dan na pewno.
- Oczywiście! Nie znosił tego, że byłaś tylko gospodynią domową.
- Niepracującą zawodowo matką — poprawiłam ją.
- Niepracującą zawodowo matką — powtórzyła. — Więc mimo zadowolenia musiałaś czuć pewien bezsens. Mieć zaniżoną samoocenę. Zresztą przeważnie nadal masz. Szczególnie w obecności mężczyzn, a zwłaszcza doktora Dana.
- Cóż... — Uśmiechnęłam się, myśląc o ostatnich kilku dniach.
- Zobaczymy, jak Lex wejdzie na następne spotkanie SPD. A potem pomówimy o niskiej samoocenie.
- I jeśli moja teoria jest słuszna, to może znaczyć, że w pobliżu doktora Dana twoje siły są większe! Może jest dla ciebie odwrotnością kryptonitu! Oooh!
- Carrie znów wróciła do pisania.
- Czym?
- Kryptonit osłabia Supermana. Więc koncepcja odwrotności kryptonitu oznaczałaby coś, co czyni cię silniejszą.
- Twierdzisz więc, że przebywanie w pobliżu doktora Dana czyni mnie silniejszą? Czyni lepszym człowiekiem? — Musiałam usiąść, czegoś takiego nie mogłam przyjąć na leżać.
- No, nie lepszym człowiekiem, ale znasz to powiedzenie „Co cię nie zabije, to cię wzmocni”? Zastanawiam się, czy mogłoby być prawdziwe w dosłownym znaczeniu. Zdarzyło ci się walczyć z kryminalistami w jego pobliżu?
- Jasne, jasne. Wykończyłam grupę rabusiów banków ze śladami po trądziku.
- Osunęłam się na sofę. — A tak w ogóle odkąd to się znasz na sprawach superbohaterów?
- Od przedwczoraj. Czytałam. Mówię, ci, moja praca będzie wspaniała! Pewnie nawet ją opublikują! A wszystko dzięki tobie! — Uśmiechnęła się do mnie promiennie.
- Cóż, robię, co mogę.

Nagle za drzwiami rozległ się łomot. Spojrzałyśmy na siebie, a potem podeszłam do drzwi i ostrożnie je otworzyłam. U moich stóp leżała duża biała koperta. Nikogo nie zobaczyłam, chyba tylko... Kątem oka... Czyżbym na podjeździe dostrzegła smugę rozmazanej czerwieni?

— Nie, niemożliwe. — Potem podniosłam kopertę: narożnik zdołały litery ALS.

— Och super!

— Co to jest?

— Zobaczmy. — Otworzyłam. — „Pozdrowienia, Birdie Lee znana jako Supermama — przeczytałam na głos. — Dziękujemy za zgłoszenie swojej kandydatury do Amerykańskiej Ligi Sprawiedliwości. Jak wspomnieliśmy w poprzednim liście, członkostwo można otrzymać wyłącznie po uzyskaniu zaproszenia. Ustaliliśmy, że spełnia pani podstawowe kryteria. Nie podlega żadnej wątpliwości, że posiada pani supersiły...” Hurra! Carrie! Jestem superbohaterką! — Uściśkałam ją.

— No cóż, tak — powiedziała, poprawiając okulary na nosie.

— „Jeśli chodzi o krok drugi — ciągnęłam — oświadcza pani, że postanowiła użyć swoich sił na rzecz dobra. Deklaracja ta wymaga potwierdzenia. W pewnym momencie w niedalekiej przyszłości musi pani zniszczyć miejscowe imperium zła albo, przy pomocy lokalnych sił egzekwujących przestrzeganie prawa, zmniejszyć wskaźnik przestępczości w swoim mieście o siedemdziesiąt pięć procent. Musimy mieć możliwość skontaktowania się z lokalnymi siłami egzekwującymi przestrzeganie prawa w pani otoczeniu, by potwierdzić jej udział, lub musimy otrzymać dowód, że lokalne imperium zła zostało zniszczone. Mogą to być na przykład zwłoki bądź dokumenty orzekające o osadzeniu przestępcy w więzieniu federalnym, cokolwiek będzie dogodniejsze.

Będziemy monitorować pani działalność i skontaktujemy się, gdy w naszym mniemaniu wypełni pani swoją misję. Wówczas, jeżeli uznamy panią za zasługującą na członkostwo w ALS, zostanie pani przydzielony superbohater mentor, który przeprowadzi ją przez inicjację oraz pierwszy rok członkostwa.

Z poważaniem, Liga Sprawiedliwości w Ameryce

Post scriptum. Nie uszło naszej uwagi, że próbowali się z panią skontaktować także Avengersi. Chociaż ich oferta może być atrakcyjna, proszę mieć świadomość, że w porównaniu z ALS są w stanie zaproponować zaledwie ułamek przywilejów członkowskich. Jako członek ALS zostanie pani wraz z rodziną zaproszona na specjalną prezentację w Klubie DC, gdzie będzie pani mogła skorzystać ze specjalnej jednorazowej i z niskim wkładem własnym z oferty dotyczącej wakacyjnego domu w naszym luksusowym rajku na Karaibach!

— O rany, nie mogę się połapać, czy to przekręt z apartamentami wakacyjnymi, czy co. — Wręczyłam Carrie list. — Ale Carl i Martin twierdzą, że Liga Sprawiedliwości to naprawdę świetny klub, więc pewnie są ucziwi. I ta część o wyznaczeniu mentora! Brzmi naprawdę super!

— Aha. — Carrie badawczo oglądała list. — Zastanawiam się, kogo byś dostała.

— Ooch, Superman byłby cudowny!

— Tak, ale Green Lantern też jest całkiem do rzeczy.

— Prawda.

— Carl mógłby być zazdrosny — zanuciła Carrie, poruszając biodrami w tył i w przód.

— Przestań! — Uszczypnęłam ją. — Myślisz?

— Zdecydowanie. Superman? Jaki facet nie byłby zazdrosny, że jego dziewczyna spotyka się z Supermanem?

— Tak naprawdę to nie jestem jego dziewczyną.

— Oczywiście, że jesteś. A cały ten seks?

— Dwa razy. Kochaliśmy się — szeptałam, chociaż wiedziałam, że dzieci nie ma w domu — dwa razy. I mieliśmy coś w rodzaju randki. Więc nie sędzę, żeby można nas już było uznać za parę. A poza tym, Carrie, strasznie głupio to brzmi. No i... — przyjęłam pozycję leżącą na sofie, ponieważ wiedziałam, że będzie miała używanie — jeszcze nie powiedziałam dzieciom, chyba nie umiem.

— Birdie! — Podbiegła do swojego krzesła i chwyciła notes. — Mów dalej.

Cóż, nie musiałam jej opowiadać, bo sama była świadkiem dalszego ciągu na następnym spotkaniu SPD.

Lex, utykając, wszedł do kafeterii o kulach, nogę miał usztywnioną.

— O rany. — Cmoknęłam, kręcąc głową. — Co się stało, Lex?

— Świeżo woskowana podłoga w pracy — wymamrotał.

— Okropność. Ale przynajmniej sprzątaczką robiła, co do niej należy. — Odwróciłam się, ukrywając złośliwy uśmiech. Lex zaczął bulgotać, ale wkrótce uspokoili go różni „bracia”, którzy roili się wokół niego, pod— tykając poduszki pod uniesioną nogę i plecy, mało brakowało, a ocieraliby mu pot z czoła. Zajęłam miejsce obok Carrie, która spojrzała na Leksa, potem na mnie i uniosła brew. Potwierdziłam. Szeroko się uśmiechnęła. Po chwili poczułam dotyk ręki na ramieniu i odwróciłam się, żeby zobaczyć Carla przysuwającego do mnie krzesło.

— Cześć — powiedział, energicznie cmokając mnie w policzek.

— Carl! — Zrobiłam unik i rozejrzałam się, czy ktoś to zauważył.

Zrobił minę i usiadł. Obok mnie. Na spotkaniu SPD. Na oczach

Patty, Mary, Marge i całej reszty.

— Radio w pogotowiu, Carl? — wyszeptała Carrie. Błysnął zębami w uśmiechu.

Patty na podium stukała młotkiem.

— Raz jeszcze SPD musi się zająć problemem tak zwanej Supermamy.

Carrie i Carl spojrzeli na mnie, potem na siebie, a następnie zachichotali.

— Och, proszę — syknęłam. — Nie zachowujcie się jak dzieci.

Carl rozsiadł się wygodnie, wyciągnął rękę i otoczył nią moje ramiona. Na oczach Patty, Mary, Marge i całej reszty.

Nachyliłam się, jakbym musiała zawiązać but, i jego ręka ześlizgnęła się z moich ramion.

— Nie dość, że naraża nasze dzieci, postanowiła teraz zagrozić kręgosłupowi naszej społeczności. Zakładom Nowy Kosmos! — Tłum jęknął. — Tak, moi

przyjaciele, moi bracia, jeśli wolno mi tak was nazywać, Supermamę widziano włamującą się i nachodzącą biuro naszego ukochanego prezesa. Ale to nie koniec, wysunęła złe, fałszywe oskarżenia, kompletnie szalone. Aż nazbyt jasno widać, czego dotyczy jej plan.

Carl objął mnie ramieniem w talii i zaczepił kciuk o szlufkę mojego paska.

— Chce zniszczyć nasze kochane miasto. Chce skrzywdzić nasze dzieci, pozbawić wszystkich pracy, zmusić nas, żebyśmy jedli importowane przekąski — ciągnęła Patty. — Niestety szef naszej policji nie jest tak zaniepokojony, jak można by oczekiwać. Zatem wszystko zależy od nas, SPD, pierwszej linii obrony bezpieczeństwa ojczyzny. Obowiązki przewodniczącej SPD należy traktować poważnie i dlatego też opracowałam złożony plan gotowości. — Ktoś wyłączył część świateł, Patty dramatycznym gestem uruchomiła znajdujący się na podwyższeniu projektor. — Kodowany kolorami schemat telefoniczny. Zielony to czysty teren. Żółty — była widziana, ale nie da się potwierdzić jej bieżącej lokalizacji, można zajmować się normalnymi czynnościami, ale zachować czujność. Pomarańczowy oznacza zbliżające się wydarzenie, w którym narażone są dzieci, można spodziewać się policji. Czerwony alert oznacza, że Supermama się pojawiła, należy chwycić dzieci i natychmiast szukać schronienia. Birdie!

— Co? — Zerwałam się, strząsając poszukującą dłoń Carla. — Co? Czego ode mnie chcesz?

— Birdie. Proszę. Chcę tylko, żebyś rozdała te ulotki ze schematem.

— Och! No dobrze. Hej, dlaczego zawsze ja to muszę robić?

— No bo... bo tak. — Patty opuściła drewniany młotek i wpatrywała się we mnie. Podobnie wszyscy pozostali.

— Cóż, może powinnaś zajrzeć do spisu moich obowiązków. Nie sądzę, żeby znalazło się tam określenie „na posyłki” — rzuciłam ostro, po uszy mając Patty, Leksa, Carla i całej reszty głupiego SPD okręgu szkolnego Hawthorne.

— Ależ Birdie, co w ciebie wstąpiło? — zapytała Patty.

— Och, nieważne. — Podeszłam do niej energicznie, chwyciłam ulotki i je rozdałam. Kiedy wróciłam na swoje miejsce, wyszeptałam do Carla. — Proszę, nie rób tego... co robisz. Nie tutaj.

— Jak to „nie tutaj”? — Odwrócił się do mnie, a jego oczy, zawsze takie łagodne i przyjazne, nagle załśniły jak twarde kamyki.

— Tutaj. Na zebraniu SPD. Trudno to uznać za najlepsze miejsce, rozumiesz. Jesteśmy na oczach wszystkich naszych przyjaciół, Carl, nie możemy być widziani.

— Kiedy co robimy?

— Porozmawiajmy o tym później — syknęłam i spojrzałam w stronę Patty.

— Owszem, porozmawiajmy — powiedział głosem tak lodowatym, że o mało nie zmroził mnie na kamień.

Siedziałam tam i słuchałam, jak Patty odsłania zło Supermamy i jej „nieamerykańskie pragnienie doprowadzenia do upadku kapitalistycznego społeczeństwa istniejącego dzięki wolnemu rynkowi i przedsiębiorczości”, i tylko westchnęłam. Gdybym chciała, mogłam doprowadzić do jej upadku jednym celnym kiwnięciem wskazującego palca prawej ręki. (Chociaż Supermama nie usprawiedliwia użycia przemocy z wyjątkiem sytuacji przymusowych w chwilach zagrożenia życia). Co jednak zrobić z siedzącym obok naukowcem, który aż się dusił z nadmiaru pragnień i potrzeb?

I wszystko to pod okiem Carrie, która w chwilach, gdy nie zrywała się i gwałtownie nie broniła nieamerykańskich superbohaterów, bazgroliła na odwrocie schematu jakieś notatki, ponieważ język mojego ciała dostarczał jej obfitego materiału do pracy.

— Naszym obowiązkiem jako rodziców i patriotów jest więc doprowadzenie tej przestępczyni przed oblicze sprawiedliwości! — Patty radośnie walnęła drewnianym młotkiem.

— Nie chcę stracić pracy — zawołał ktoś.

— Ja też nie! I ciarki mnie przechodzą na myśl, że ona tropi nasze dzieci!

— Ludzie, ludzie! — Lex z wielkim wysiłkiem ruszył w stronę Patty i kiedy wreszcie mu się udało do niej dotrzeć, nagrodzono go oklaskami.

— No nie — szepnęła Carrie. — Przecież to nie start w olimpiadzie specjalnej!

— Ludzie, proszę! — Lex ruchem ręki uciszył brawa. — Nie róbcie krzywdy Supermamie. Przemoc nigdy nie jest odpowiedzią. Musi zostać postawiona przed obliczem sprawiedliwości. W końcu nasza konstytucja zapewnia prawo do uczciwego i szybkiego procesu. Nawet działającym na podstawie błędnego założenia tak zwanym superbohaterom. Wolałbym, żeby Supermama pozostała nie-
tknięta, tak żebym mógł... abyśmy mogli upewnić się, że spotka ją zasłużona kara.

Z wysiłkiem przełknęłam ślinę.

Kolejne brawa, pełne podziwu spojrzenia i nawet kilka łez. Następnie Patty odstukała koniec spotkania, zanim Carrie, która wiała się i podskakiwała obok mnie, zdążyła wygłosić ostatnie słowo.

— Wszystko jak zwykle — westchnęłam, zwracając się do Carla. Jego jednak już nie było, szedł korytarzem tak szybko, że musiałam biec, chcąc go dogonić.

— Carl! Carl, zaczekaj!

— Czemu? — zapytał, nie zwalniając ani odrobinę. — Więc teraz się nie wstydzisz, że cię ze mną zobaczą?

— Wstydzę? Wcale się nie wstydziłam — wysapałam, ciągnąc go za rękaw.

— Och, doprawdy? — Wreszcie zwolnił. — Cóż, mnie nabrałaś.

— Nie, Carl... zaczekaj. — Cofnęłam się i przywarłam do szafki, kiedy przechodziły Marge i Mary. Spojrzały na nas i zachichotały.

— Hej, wy dwoje! Uważajcie na Supermamę! — Marge puściła oko.

— Aha! Może was postawić do superkąta za obściskiwanie się przy szafkach! — głupawo uśmiechnęła się Mary.

— Widzisz? — syknęłam, kiedy nas minęły. — Tego właśnie się obawiałam.

— Czego?

— Że ludzie się dowiedzą. O nas.

— I co? Co, jeżeli się dowiedzą?

— No, mogą... mogą... nie wiem, ale po prostu wydaje mi się, że to niewłaściwe!

— Birdie, dlaczego się boisz? Co jest takiego złego w naszym związku? Co takiego okropnego, że chcesz spotykać się ze mną tylko w mrocznych ustronnych restauracjach? Albo opuszczonych parkach? Dlaczego nie możemy być ze sobą otwarcie? Na oczach wszystkich?

— Bo... — Spojrzałam na swoje buty, sznurówki miałam postrzępione i brudne. — Nie jestem na to gotowa. Słuchaj, na razie uczę się o sobie różnych rzeczy, których nie rozumiałam, i muszę się do tego przyzwyczaić. A do tego jeszcze, jeśli nie zauważyłeś, wyznaczono nagrodę za moją głowę. I tak, boję się. Boję się, co powiedzą moje dzieci o tym, że wywracam im życie do góry nogami. Boję się też... — A potem podniosłam głowę i trafiłam dokładnie na jego surowe brązowe oczy osadzające mnie, badające. I nie mogłam sobie przypomnieć, jak wyglądał, jaki się wydawał przedtem. Już za nim tęskniłam.

— Boję się ciebie stracić — wyjąkałam. — Nas, to, co czujemy, to, jak czujemy, kiedy jesteśmy razem. Ale jeżeli zaczniemy w tym grzebać, dopuścimy do tego prawdziwy świat, boję się, że to zniszczymy. A było całkiem idealnie, prawda? Tak jak było, tylko my dwoje? — Czułam ucisk w piersi. Bałam się odetchnąć, bałam się, że jeśli to zrobię, pęknie we mnie coś delikatnego i niewinnego. Nie mogłam spojrzeć na Carla. Nie mogłam znieść widoku tego, co czekało w jego oczach.

— Birdie — zaczął, potem zamilkł. Słyszałam jego oddech, czułam go tak blisko. Wiedziałam, jaki był dotyk jego skóry na mojej, i potrafiłam sobie wyobrazić, że mnie obejmuje i pieści. Ale tylko tyle mogłam. Wyobrazić to sobie. Bo nie przysunął się w moją stronę. W ogóle się nie poruszył. Po prostu stał jak człowiek porażony jakąś straszliwą myślą.

Odchrząknął, a kiedy w końcu się odezwał, głos miał gruby i obcy.

— Birdie, nie wiem nic o twoich dzieciach. Nie wiem, czego się boisz z ich strony, jeśli się o mnie dowiedzą, i nie wiem, czemu ci się zdaje, że jesteś im coś dłużna z powodu czegoś, co nie było twoją winą. Wiem tylko, że chcę cię mieć w swoim życiu cały czas, nie tylko pod sosną, kiedy uda się nam znaleźć wolną chwilę. Wiem tylko, że nie mogę się doczekać, żeby powiedzieć o tobie Grego-

wi, nie mogę się doczekać, żeby wszystkim o tobie opowiedzieć. A raczej nie mogłem się doczekać. Teraz nie jestem już taki pewny.

— Nie? — Wciąż nie mogłam na niego patrzeć, oczy wydawały mi się nabrzmiałe i piekące, gdy walczyłam z łzami.

— Nie.

— Och.

— Nie jestem głupi, Birdie. Długo szukałem kogoś takiego jak ty, ale nie jestem zakochanym nastolatkiem. Jeżeli nie możesz tego zrobić, nie umrę. Będę żył dalej, widując cię jak dawniej tylko na spotkaniach SPD i kiermaszach ciast. Dam radę. Chociaż... — Głos mu trochę zadrżał i cofnął się o krok. — Teraz, kiedy o tym pomyślę, robi mi się, nie wiem, jak to wytrzymam i... no. — Znów odchrząknął.

Nie wiedziałam, co zrobić. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie pierwszy raz ostatnio czułam się zagubiona, utknęłam w bez— czasie, skąd mogłam tylko się przyglądać, jak moje życie toczy się beze mnie, obserwować, jak na drodze nagle pojawia się zakręt, zmierzać w jego stronę bez przygotowania. Nie miałam jednak pojęcia, jak to zatrzymać. No i czy tego chcę. Czy naprawdę chciałam zawrócić i dojść znów do miejsca, gdzie byłam z Carlem, do nas?

— Cóż, w porządku. — Carl wbił ręce w kieszenie i kopnął szafkę. — To chyba na razie, Birdie.

— Ja... ale...

Ruszył. Nie obejrzał się.

Stałam tam i nie mogłam się powstrzymać, żeby nie patrzeć, jak odchodził ode mnie coraz dalej.

— Carl? — odezwałam się głosem tak zduszonym, jak sama się czułam. — Carl?

Ale było za późno. Nie mógł mnie usłyszeć, minął drzwi. A to, co poczułam, kiedy zobaczyłam zamykające się skrzydło, zaskoczyło mnie i przeraziło: czułam ulgę, jakąś lekkość. Życie, ostatnio takie skomplikowane, przynajmniej pod tym względem będzie prostsze.

— Birdie? — Nagle zmaterializowała się Carrie. — Birdie? Co się stało? Gdzie Carl?

Odwróciłam się na pięcie i chwyciłam ją za ramiona.

— Nie ma go, rozumiesz? Po prostu nam nie wyszło. Popęłniłam błąd. To nie była właściwa pora. Tak naprawdę nie mógł sobie poradzić... — Ale to nie była prawda. To nie Carl nie mógł sobie z tym poradzić. — Wszystko jedno. — Uniosłam brodę i usiłowałam uśmiechnąć się z przekonaniem. — Tak będzie lepiej. Mam masę pracy. Później się zobaczymy.

— Ale Birdie, nie rozumiem.

Powstrzymałam ją zdecydowanym gestem i potrzęsęłam głową. Nie mogłam, nie zamierzałam mówić, bo nagle nie czułam już takiej ulgi. Zaciśnęłam usta, próbując utrzymać w sobie to wszystko, co nagle chciało się wydostać wraz ze łzami. Miałam ochotę opłakiwać Carla, siebie, tę cudowną sosnę o gałęziach tak nisko zwieszonych, że znałam dotyk igieł na skórze.

Ponownie potrzęsęłam głową, a potem samotnie ruszyłam przez korytarz. Żeby samotnie pojechać do domu, tam samotnie pójść do łóżka. Tak jak przywykłam, dokładnie tak, jak sobie zasłużyłam. W tamtym momencie w najmniejszym nawet stopniu nie byłam superkobietą. Byłam tylko zwykłą matką i ekszorną, która popełniła różne błędy; wciąż je popełniała. A puste łóżko i puste serce to były bezpieczne miejsca, gdzie z pewnością nie mogłam nikogo zranić.

Rozdział 18

„Szanowna Supermamo,

proszę, spotkaj się ze mną we wtorek o 19 w tym miejscu.

Wiesz którym. Mam coś, co cię zainteresuje.

J. Nelson”

I ani słowa więcej. Mała notatka starannie złożona na pół, wetknięta pod wycieraczkę mojego poobijanego minivana. Znalazłam ją pewnego wieczoru, wychodząc z pracy.

Dlatego też we wtorek włożyłam kostium, wsiadłam do vana (właśnie dostałam wycenę kosztów jego malowania) i pojechałam w tamto miejsce. To było nasze miejsce. I wtedy właśnie zrozumiałam cenę, jaką się płaci za bycie Amazonką. Kiedy tylko wjechałam na parking i uświadomiłam sobie, że Carl nie siedzi na piknikowym stole, czekając na mnie, poczułam fizyczny ból, jakby wyciano mi kawałek ciała. A spojrzenie bez niego na to miejsce pozbawione magii, którą rozsnuwaliśmy wokół siebie pod sosną, kazało mi dostrzec, jak nędznie tam wszystko wygląda. Złamany słupek, zardzewiały śmietnik, wyblakły stół pełen drzazg. To było naprawdę smutne, żalosne miejsce; tak widziały je smutne, żalosne oczy.

Po chwili obok mnie zajechał czarny sedan. Poprawiłam maskę, wygładziłam fartuch. I spokojnie wysiadłam z samochodu, ponieważ teraz byłam Supermamą. Silną odporną obrończynią dobra, wojowniczką, która nie miała czasu na złamane serce.

— Supermama, jak mniemam? — Z sedana wysiadł niski łyсы mężczyzna o okrągłych oczach, wydawał się znajomy. Miał na szyi aparat, trzymał minimagnetofon i dużą kopertę. Otarł czoło, chociaż było zaledwie pięć stopni i wiał silny wiatr.

— Tak. — Stałam nieprzenikniona jak forteca.

— Rany. Jest pani znacznie mniejsza, niż wyglądało na zdjęciu.

— Wszyscy to mówią.

— Cóż, zaczynajmy zabawę. Usiądziemy tam? — Wskazał na piknikowy stół.

— Nie! — krzyknęłam, wskazując palcem i z gęstego strumienia płynu tworząc między nim a stołem jakby ścianę. Odskoczył w tył jakieś dwa metry.

— Nie strzelaj! — Jego grube rybie wargi wykrzywiły się, jakby miał się rozpłakać. — Nie jestem uzbrojony!

— Przepraszam. — Zawstydzona opuściłam ramię. — Przepraszam. Ten stół ma dla mnie wartość sentymentalną. Hej, czy ja pana skądś nie znam? — Zajrzałam mu w twarz, próbując go jakoś umiejscowić.

— Nie. Nie zna mnie pani. Nigdy w życiu mnie pani nie widziała. Nie mam pojęcia, o czym pani mówi. A zatem, Supermamo, tak się składa, że mam zdjęcie, którym, jak sądzę, może pani być zainteresowana.

— Z pewnością. — Wyciągnęłam rękę.

— Nie tak szybko. Nie chce pani nawet wiedzieć, kim jestem?

— Nieszczególnie.

— Jestem Jimmy Nelson z „National Enquirer”. My...

— Jest pan z „National Enquirer”?

— Eee, tak...

— O mój Boże! Ale super!

— Rany. Ludzie przeważnie się denerwują, kiedy im to mówię.

— Och nie! Uwielbiam „Enquirer”! „Najgrubsza świnia świata rodzi najgrubszego prosiaka świata!”. To była cudowna historia!

— Naprawdę? To jedna z moich!

— Żartuje pan! — Uśmiechnęliśmy się do siebie radośnie.

— Cóż — powiedział, ruchem ręki ścierając uśmiech z twarzy. — A teraz, jeśli chodzi o to zdjęcie...

— Wiem, wiem. — Westchnęłam. — Ma pan zdjęcie mnie półnagiej i niezidentyfikowanego mężczyzny pod sosną.

— Aha. — Zabrzmiało to przepraszająco.

— Zerwaliśmy.

— He?

— Ja i niezidentyfikowany mężczyzna. Właśnie się rozstaliśmy. — Usiadłam na wielkim kamieniu. Jimmy, sapiąc, usiadł obok.

— Och, co za szkoda. Naprawdę. Dlaczego?

— Po pierwsze, chciał powiedzieć moim dzieciom, a ja nie byłam gotowa. Jestem taka głupia. Nie wiem, czemu nie umiem im powiedzieć.

— Kiedy się ma dzieci, jest ciężko. W jakim wieku są pani?

— Trzynaście i piętnaście.

— Moje dziesięć i dwanaście. — Sięgnął do portfela. — Chce pani zobaczyć zdjęcia?

Kiwnęłam głową, a on pokazał dwie szkolne fotografie: chłopca, który wyglądał, jakby już łyślał, i dziewczynki o rybich ustach.

— Rozkoszne!

— Tak. Nic się z tym nie może równać, prawda? Z rodzicielstwem?

— Nie.

— Wyrazy współczucia z powodu chłopaka. Na oko... no, z tego, co widziałem... to znaczy wydawał się naprawdę miły. Próbowала pani z nim porozmawiać? Może wysłać kartkę? Może nie jest dla was za późno... hej! Zaraz. Rany. Zbiła mnie pani z tropu. A zatem — odchrząknął — mam tu ciekawe zdjęcie. Takie, które zapewne chętnie by pani, powiedzmy, zniszczyła?

Kiwnęłam głową.

- Proszę więc pozwolić, że przedstawię pewną ofertę, panno Supermamo. Czy pani Supermamo?
- Wystarczy Supermamo, dzięki.
- Okej, Supermamo. Dajesz nam wywiad na wyłączność, pierwszy na świecie rzut oka na macierzyńskie dynamo znane jako Supermama.
- „Macierzyńskie dynamo”?
- Och. Wymyślę coś lepszego. Zobaczysz. W każdym razie ty dajesz nam wywiad na wyłączność, a my oddajemy zdjęcie.
- Jasne. — Wzruszyłam ramionami. — Czemu nie?
- Naprawdę? — Upuścił kopertę. — Tak po prostu?
- Tak. Co chcesz wiedzieć?
- Zaraz, zaraz, nie byłem na to przygotowany. Nikt nigdy nie mówi „tak”.
- Gmerał przy magnetofonie. — Nawet nie mam do tego taśmy. Nikt nigdy nie udziela nam prawdziwych wywiadów! Po prostu zmyślamy!
- Ale nie wszystko, prawda? Niektóre rzeczy są prawdziwe, tak?
- Co masz na myśli? — Teraz przeszukiwał kieszenie. — Mógłbym przysiąc, że miałem tu gdzieś taśmę.
- Ale trójgłowa krowa z cielakiem o sześciu wymionach! To była prawda, zgadza się?
- Żartujesz? — Przestał grzebać w kieszeniach. — Czy ty... tak — powiedział, odwracając wzrok. — Jasne. Niektóre rzeczy są prawdziwe.
- Wiedziałam! I Ptakoczłek i ten kawałek o Supermanie... wiedziałam!
- Cóż, tak, 'ci faceci to świry. Większość jest taka arogancka, że nawet nie pogadają. Przez całe lata chciałem dostać coś o Batmanie. Miło by było mieć poważny materiał. Przydałby się. Sytuacja jest teraz trochę trudna, mówią o zwolnieniach i...
- Naprawdę? Och, to by była straszna szkoda. Przecież jesteś facetem od najgrubszej świni! Potrzebują cię!

— Cóż, czasy są ciężkie z reality TV i resztą. Ludzie po prostu nie czytają tyle co dawniej.

— Wiem, wiem. Nie mogę zmusić dzieciaków, żeby czytały.

— Aha. A twój chłopak ma dzieci?

— Jedno, chłopca.

— Wiesz, założę się, że możecie wszystko naprawić. Wyglądaliście razem naprawdę ładnie ta... to znaczy na zdjęciu...

— Mam! — Wyprostowałam się i rzuciłam mu ostre spojrzenie. — w restauracji! To ty zakrztusiłeś się krakersem!

Jimmy kiwnął głową i odwrócił się, próbując umknąć przed moim Bezlitosnym Spojrzeniem.

— Co słyszałeś?

— Nic! Przysięgam! Nic. O niczym nie słyszałem, po prostu jadłem kolację i zajmowałem się własnymi sprawami...

— Z pewnością. — Przez chwilę milczeliśmy, słyszałam jednak, jak Jimmy ciężko oddycha, sapiąc trochę przy dłubaniu w magnetofonie. Z namysłem postukałam się palcem po nosie. — Wiesz, skoro podsłuchiwałeś... może będę mogła ci pomóc. A ty też oddałbyś mi przysługę. Chciałbyś towarzyszyć Supermanie, kiedy obala imperium zła pewnego milionera? I może, jeśli wszystko pójdzie dobrze, uda mi się załatwić ci wywiad z Ligą Sprawiedliwości.

— Z ALS? Żartujesz. Ona żartuje, prawda? — Zwrócił się do kamienia obok. — ALS? Ja? O tak. Przydałoby mi się!

— I może wesprze to czytelnictwo? Zwiększy dochód? Nie możemy pozwolić, żeby „National Enquirer” wypadł z rynku.

— Jak wtedy nakarmiłbym dzieci? — Potrząsnął głową.

— Więc dobrze. Umowa stoi?

Potwierdził.

— Daj mi zdjęcie.

Wręczył mi je. Nie zaglądałam do koperty, ufałam mu. I nie chciałam zobaczyć siebie z Carlem. Nie chciałam widzieć nas przyłapanych, niezręcznych, zamartwych i zawstydzonych. Chciałam to zapamiętać jako idealne, naturalne... ten flesz w ogóle nie mignął.

— Negatywy?

Otarł czoło.

— Tak, negatywy... Zabawne, miałem je przynieść i...

— Nie ma negatywów, nie ma umowy. Przynieś mi je w przyszłym tygodniu o tej samej porze i będę coś dla ciebie miała. Sensacyjkę o skandalu farmaceutycznym. Zainteresowany?

— Zainteresowany! No pewnie! — Zerwał się i pomógł mi wstać. Wymieniliśmy uścisk dłoni.

— Rany, Supermamo, dzięki.

— Nie ma sprawy. A teraz jedź ostrożnie do domu, jest ciemno i nie znasz okolicy.

— Jasne.

— Och — powiedziała, sięgając do fartucha. — Zjedz trochę krakersów. Pewnie przegapiłeś kolację.

— Supermamo, jesteś cholernie... to znaczy jesteś najlepsza!

— Och, ale jesteś słodki! — Czekałam, kiedy popędził otworzyć dla mnie drzwi samochodu. — I nie mów z pełnymi ustami!

Jimmy kiwnął głową, policzki miał wypchane jak wiewiórka. Wspiął się do własnego wozu i ruszył, ale kiedy napotkał mój wzrok, stanął.

A potem zapiął pas.

Rozdział 19

Fakt ten nie jest powszechnie znany, ale prawdziwy: większość superbohaterów zaczynała jako kujony. Weźmy na przykład Petera Parkera, w szkole wszyscy mu dokuczali, dopóki nie został ugryziony przez radioaktywnego pajaka. Flasha, cudacznego naukowca przed dziwną burzą w jego laboratorium. Hawkmana, dziwaczного archeologa, zanim odkrył, że tak naprawdę jest reinkarnacją staroegipskiego księcia.

Dlatego nie powinnam się była martwić, kiedy Martin zaczął wracać ze szkoły do domu spóźniony, zadyszany i zasapany, zwykle też czegoś mu brakowało: guzika przy koszuli, czapki, pracy domowej. W końcu miał superbohaterstwo w genach.

A jednak się martwiłam — jestem matką. Supermamą. Kiedy zapytałam go, co się dzieje, odparł, że nic. Gdy usiadłam z nim w kuchni przy mleku i ciastkach, nadal twierdził, że nic.

Gdy spojrzałam mu w oczy, założył okulary słoneczne, które osłoniły go przed Bezlitosnym Spojrzeniem. Sprytne, nawet jak na zaufanego adiutanta.

Zrobiłam więc coś, co zrobiłaby każda szanująca się Super—mama. Wykorzystałam jedno z tych rzadkich zawirowań czasoprzestrzeni, kiedy Kelly się do mnie odzywała, i przekupiłam ją, żeby wydobyła z brata informacje.

— Jamie Flugal — powiedziała, spokojnie chowając w garści pięć dolarów.

— Kompletny duppek?

— Wciąż ten sam. Czepia się Martina i nikt nie wie dlaczego. Powiedział, że nie podoba mu się to, jak Martin wygląda.

— No! — Zaczęłam odczuwać ogólne drżenie, włączył się mój supermamozmysł. Oczy płonęły jak lasery, skórę przebiegały gorące dreszcze wzruszenia, ręce aż mnie swędziały, żeby chwycić tego kompletnego dupka za uszy.

— Nie pozwala Martinowi jeździć autobusem. To dlatego się spóźnia. Ten smarkacz stoi na zewnątrz, dopóki autobus nie jest gotowy do odjazdu, i nie pozwala Martinowi wsiąść, zwykle też wymusza od niego pieniądze.

— A czemu kierowca autobusu nie reaguje? — Energicznie ruszyłam do kuchennego telefonu. — W tej chwili dzwonię do szkoły!

— Mamo. — Kelly pokręciła głową nad moją ignorancją. — To by tylko pogorszyło sprawę. Każą kompletnemu dupkowi przez tydzień zostawać po szkole, a kiedy tydzień minie, doczepi się do Martina jeszcze bardziej.

— Hmm. — Spojrzałam na swoją mądrą córkę. — Masz rację. Jakieś sugestie?

— Pozwól, żeby Martin sam to załatwił. Za bardzo go niań— czysz. Musi się nauczyć, jak sobie radzić z takimi sprawami.

— Tak, może. — Skinęłam głową, jakbym się z nią zgadzała.

Nie zgadzałam się jednak. Miałam w zanadrzu jedną czy dwie sekretne tożsamości.

Supermama starała się nie zbliżać do szkoły w godzinach otwarcia, przecież Patty ogłosiła żółty alarm. I chociaż dyrektorzy w duchu stali po mojej stronie, prawda jest taka, że w dzisiejszych czasach nawet superbohater, który kręci przed szkołą, musi wywołać pewien niepokój.

No i alarmują wszystkie wykrywacze metalu swoimi nożyczkami.

Tak się jednak zdarzyło, że przypadkiem przejeżdżałam obok szkoły pewnego popołudnia, kiedy dzieciaki wychodziły. I oto obserwując hałaśliwą, ruchliwą gromadkę, zauważyłam pewnego dużego niezgrabnego chłopca o zjeżonych czarnych włosach i z pryszczami z tyłu szyi, który brudną łapą, grubą jak serdelek, trzymał mniejszego chłopca o jasnych miękkich włosach i w wojskowej kurtce.

— Cześć, chłopcy!

Kompletny dupek wciąż trzymał Martina, który nie przestawał wymachiwać wątlymi ramionkami.

— Supermama? — powiedział kompletny dupek i szczeka mu opadła, odsłaniając złoty ząb.

— Tak, Supermama. Więc co my tu mamy? W czym problem?

— W niczym. — Wciąż trzymał Martina, który teraz machał rękoma tylko od czasu do czasu.

— Cóż, panie Flugal, usilnie nalegam, by natychmiast puścił pan tego chłopca.

— Dlaczego? — Spojrzał na mnie, twarz miał pustą, nierozumiejącą.

— Ponieważ nieładnie jest bić chłopców mniejszych od siebie — wyjaśniłam słodko, chociaż mocno szczypałam się w prawą rękę, żeby nie strzelić mu płynem czyszczącym prosto w te czerwone świńskie oczka.

— Sraka — odparł kompletny dupek.

— Okej, dość tego. Ładnie prosiłam. Teraz czas, żebyś puścił Mar... tego chłopca. Powiedziałam „teraz”! — Wyprostowałam się, spojrzałam badawczo w świńskie oczka swoim Bezlitosnym Spojrzeniem i patrzyłam, jak twarz Jamiego powoli się rozplywa, oczy zaczynają łzawić, z nosa zaczyna kapać, a broda zaczyna się trząść.

Ale ta ręka wciąż trzymała Martina.

— Powiedziałam „teraz”. Powinieneś się wstydzić! Czy twoja matka wie, że bijesz małych chłopców?

— Ma... Supermamo! — wrzasnął Martin.

— Nie — mruknął kompletny dupek.

— O, witam, Supermamo! Cóż za przyjemna niespodzianka! — Biegiem zjawił się dyrektor Davis.

— Witam. Akurat przejeżdżałam, gdy wyczułam tu jakiś problem. Po prostu wykonuję swoją pracę.

— I to słuszną pracę. Naprawdę to doceniamy! A teraz, Jamie, czemu nie puścisz małego Martina Lee? No dalej, puść go.

Jamie, znany też jako kompletny dupek, zrobił wielkie oczy, ale wciąż trzymał Martina, który przestał udawać, że walczy. Po prostu wisiał jak ryba na wędce, której los jest przesądzony.

— Nie mogę — wyjąkał Jamie. — Nie mogę puścić!

Westchnęłam i chwyciłam go za rękę. Pan Davis zaczął bełkotać.

— Och nie, nie, Supermamo, stosujemy bezwzględną politykę niestosowania kar fizycznych wobec naszych uczniów!

— Nie wymierzam mu kary fizycznej. — Potrząsałam ramieniem Jamiego, dopóki nie rozluźnił uchwytu i Martin nie upadł na ziemię. — Widzi pan? Nic się nie stało.

— Supemama mnie skrzywdziła. — Jamie zaczął pociągać nosem.

— Nieprawda!

— Tak, skrzywdziła. Widzi pan? Mam siniaka! — Jamie zaprezentował swoje obwisłe ramię panu Daviesowi, który pokręcił głową i cmoknął.

— Przykro mi, Supermamo, ale musimy dokumentować wszelkie wypadki domniemanego znęcania się nad dziećmi.

— Znęcania się nad dziećmi!

— Obawiam się, że technicznie rzecz biorąc, tak się to kwalifikuje. Przykro mi, ale będę musiał zgłosić zdarzenie policji.

Martin tymczasem pozbierał się i powoli zaczął się oddalać.

— Och, proszę dać spokój. Nikogo nie skrzywdziłam. A poza tym, gdyby bardziej się pan starał, żeby szkoła była bezpieczna dla małych bezbronnych dzieci, takich jak to... — wskazałam na Martina — do niczego by nie doszło.

— Cóż, na pewno zastanowimy się nad naszą polityką, ale tymczasem lepiej, żebyś już poszła, Supermamo.

Rozejrzałam się. Zgromadził się tłum dzieci i jedno po drugim spoglądały na mnie, po czym zaczynały szeptać.

— Widzieliście? Supermama pobiła Jamiego Flugala.

— Kompletnego dupka?

— No! Kompletnie go znokautowała!

— Chwyła go i rzuciła nim o ziemię!

— Skoczyła na niego! Widziałem! Widziałem, jak to się stało!

— Doprawdy! — Rozzłościłam się. — Wszyscy powinniście się wstydić, żeby tak kłamać! Co by powiedziały wasze matki?

— Już dobrze, Supermamo. — Pan Davies poprowadził mnie chodnikiem. — Nie ma potrzeby rzucać wyzwiskami.

— Och, też coś! — Odtrąciłam go i energicznie ruszyłam do minivana, po drodze mijając zgarbionego Martina. — Chodź. Zabiorę cię do domu.

— Nie.

— Martin, daj spokój. Chodźmy już.

— Nie — powiedział cicho. Cicho, ale z determinacją.

Zatrzymałam się i spojrzałam na niego. Twarz miał bladą i wymiętoszone ubranie, ale w oczach stal, która przejęła mnie dreszczem.

— Idę do domu. Nie chcę wracać do domu z tobą. Nie chcę wracać do domu z Supermamą. Wszystko popsulaś. Czemu to zrobiłaś? Czemu?

— Ależ Martin! Ja tylko... Miałaś kłopoty i pomyślałam, że przyda ci się drobna pomoc.

— Nie potrzebuję, żebyś mnie ratowała! — Zaczął się oddalać długimi szybkimi krokami jak mężczyzna. — Nie potrzebuję! Mam trzynaście lat, rozumiesz? Nie potrzebuję cię! I nie potrzebuję Supermamy!

— Ale potrzebowałaś! Byłam ci potrzebna. Ten dzieciak był od ciebie większy. Bił cię, a ty jesteś taki malutki, jesteś moim maleństwem i...

— Nie jestem! — Odwrócił się gwałtownie, twarz miał czerwoną i ściągniętą, wiedziałam, że bardzo stara się nie rozplakać. — Nie jestem maleństwem! Tak o mnie myślisz? A myślałem...

— Nie. Nie, Martin, nie o to mi chodziło Naprawdę! Oczywiście, że nie jesteś maleństwem, jesteś już młodym mężczyzną i nie chciałam...

— Ale to zrobiłaś. Zrobiłaś! Teraz wszystkie dzieciaki uznają... och, nieważne. Po prostu idź sobie! Zostaw mnie w spokoju! — Ruszył biegiem.

— Martin! Ale... Martin!

Stałam tam, patrząc, jak mój syn coraz bardziej się ode mnie oddala. Biegł i biegł popekany chodnikiem, sznurówki miał rozwiązane i powiewające, bałam się, że się przewróci. Też zrobiłam kilka kroków, jakbym miała go gonić. Wiatr wydmął mi pelerynę i uniósł z ramion, a mój syn wciąż biegł. Zupełnie jak w tamtym przywidzeniu: syn oddalał się ode mnie biegiem, wiatr wydmął pelerynę — ale tym razem moją.

Teraz nie mogłam za nim pobiec, wiedziałam przynajmniej tyle. Zatrzymałam się więc, a potem zrobiłam jedyną sensowną rzecz, jaka mi przyszła do głowy, to znaczy pojechałam do domu i na niego czekałam. Czekając, przygotowałam na kolację jego ulubione danie.

Kiedy wreszcie wrócił — blady, obszarpany, ale pełen cichej godności — i odmówił jedzenia, zapakowałam je i włożyłam do lodówki.

W razie gdyby zgłodniał później.

Rozdział 20

SUPERMAMA NAPADA NA UCZNIĄ; — krzyczał nagłówek.

„Świadkowie z Liceum i Gimnazjum Jerome'a Siegela uparcie twierdzą, że Supermama wpadła w szal podczas sprzeczki, w którą zaangażowanych było dwóch uczniów.

»Po prostu jej odbiło. Kompletnie rozkwasiała tego gościa. Złamała mu rękę, tak słyszałem« powiedział Tristan Wright, siódmoklasista.

»Słyszałam, że skakała mu po twarzy. Chcę powiedzieć, że ten koleś to kompletny [przekleństwo usunięte], ale nie zasłużył na coś takiego« oburzała się Kerry Fellows, ósmoklasistka.

Patty Osborne, przewodnicząca SPD okręgu Hawthorne, oświadczyła, że nie jest zdziwiona rozwojem wypadków.

»Podglądanie na szkolnych zabawach, włamania i teraz to, atak na bezbron- nego ucznia! Czym to się skończy? Komisarz naszej policji i rada miasta nie chcieli jak dotąd podejmować działań przeciw Supermamie. Można mieć nadzie- ję, że wydarzenie to zadziała otrzeźwiająco. I proszę pamiętać, członkowie SPD, że wciąż obowiązuje żółty alarm«.

Komisarz policji Borden wyraził niepokój i smutek z powodu incydentu.

»Mam szczerą nadzieję, że Supermama ma dobre usprawiedliwienie dla swo- ich działań. Była zagorzałą obrończynią dzieci w tym mieście, nie wspominając już o świetnym sprzątanii. Trudno mi uwierzyć, by celowo skrzywdziła dziecko.

Ale jest moim obowiązkiem wszcząć śledztwo w sprawie wypadku«.

Wzmiankowane dziecko, gimnazjalista, zostało opatrzone i zwolnione z miej- scowego szpitala. Rodzice chłopca zastanawiają się, czy i jakie oskarżenia zosta- ną wniesione".

— Jezu Chryste, Birdie!

— O mój Boże. — Klapnęłam na sofę Carrie. — Co mam robić?

— Nie wiem. — Carrie usiadła obok mnie. — To okropne. Ty nie... to znaczy naprawdę nie...?

— Oczywiście, że nie. Po prostu potrząsnęłam trochę jego ramieniem, żeby puścił Martina. Nawet nie miał siniaka! To absurdalne. Ale boję się, Carrie. A co... co jeżeli mnie aresztują? Wtedy poznają moją sekretną tożsamość.

— A doktor Dan pęknie ze złości. — Carrie zachichotała.

— Gorzej. A co, jeżeli odbiorą mi dzieci? — Mój żołądek podskoczył, wciśnęłam twarz w poduszki kanapy, żeby powstrzymać wznoszące się do gardła mdłości.

— Nie dojdzie do tego. Po prostu nie. Nie może. Nie ruszałam się, czekając, żeby żołądek się uspokoił.

— Czemu mi to robią? Czemu? Chcę tylko pomagać tym dzieciakom.

— Kto wie? Przede wszystkim to psychologia tłumu. I ma wsparcie w Leksie i Patty. Pytanie, co zamierzasz z tym zrobić.

— Nie wiem — wymamrotałam z ustami w tapicerce. — Kto mówi, że muszę coś zrobić? A jeżeli nie mogę, Carrie? Jeżeli Supermama po prostu zniknie.

— Mamo?

Podniosłam wzrok. Przed nami stała Chrissie. Twarz miała białą, maskę z dwójgim wielkich oczu pociemniałych ze strachu, drżała i się pocila.

— Mamo? Jakoś zapomniałam zjeść dzisiaj lunch. — Osunęła się na krzesło, bo ugięły się pod nią nogi.

Carrie zerwała się jak wystrzelona z armaty. Pognała do kuchni i wróciła z sokiem jabłkowym, ciastkiem i mokrą ściereczką, którą przyłożyła do szyi Chrissie, mrużąc uspokajająco.

— Wszystko w porządku, kochanie, po prostu to weź. Wypij to teraz, grzeczna dziewczynka. A teraz zjedz ciastko... powoli, już. Wszystko w porządku. Nic ci nie będzie.

Patrzyłam na nie — drżącą dziewczynkę i jej przestraszoną matkę — przytulone do siebie we własnym świątku, usiłujące walczyć z chorobą silniejszą od nich. To nie było w porządku. Chrissie powinna krzyczeć na Carrie, Carrie powinna wywracać oczami i to znosić. Tak zachowywały się nastolatki z rodzicami.

Ale nie nastolatki z Astro Parku. Już nie. I tylko ja wiedziałam, kto ponosi za to odpowiedzialność.

Wstałam. Carl, doktor Dan, moje dzieci, ostatnio za bardzo się rozdrabniałam, martwiłam o ich potrzeby, o własne potrzeby. Zapomniałam, co było naprawdę ważne, co działo się w tym pokoju, w tym mieście — dzieci chorowały. Rodzice byli zbyt przestraszeni, by robić cokolwiek poza uporczywym koncentrowaniem się na jednym — jak przeżyć kolejny dzień.

Mogłam to zmienić. Nie umiałam niczego naprawić — nie potrafiłam ich wyleczyć. Ale mogłam ułatwić im życie, mogłam to powstrzymać, zanim coś przydarzy się kolejnym dzieciom. Ja — Supermama — Birdie — jedna i ta sama. Kobieta obarczona obowiązkami, jasne, która kobieta ich nie ma? Ale zbyt długo się nimi zaślaniałam, wymawiałam się przed sobą tym, że jestem matką, nawet dobrą matką. Używałam tego jako wymówki, żeby doktor Dan mógł mnie poniżyć, Kelly winić o wszystko, a Carl się usunąć.

Ale dość tego.

Uniosłam rękę do światła, zgięłam palce i przypomniałam sobie tę pierwszą noc pod gwiazdami, kiedy byłam sama, za świadka swojego zachwyty mając tylko wiatr. Kiedy podniosłam rękę w kierunku księżyca zahipnotyzowana nią jak zarysem jakiegoś nowego lądu. Nieoznaczonego na mapie, pełnego tajemnic, ukrytych skarbów. Niewykorzystanej mocy.

Posiadałam tyle mocy, ponieważ byłam matką. Miałam dość sił, by obalić imperium zła całkiem sama. Nie potrzebowałam niczyjej pomocy. Ani niczyjej aprobaty.

Potrzebowałam tylko tej ręki, tych oczu, tego oburzenia płonącego w mojej piersi. Silnej nieugiętej piersi ozdobionej pomarańczowym „S”, żeby cały świat mógł zobaczyć.

— Wiem, co robić — powiedziałam Carrie, kiedy Chrissie przestała drzeć i odrobina normalnego koloru wróciła na jej policzki.

— Co?

— Wiem, co muszę zrobić. I być może dzięki temu ludzie z Astro Parku zapomną o tym głupstwie z kompletnym dupkiem. Może nawet dostanę się do Amerykańskiej Ligi Sprawiedliwości. Ale nie dlatego to robię. Wiesz, prawda?

Carrie nie odpowiedziała. Po prostu zachęcała Chrissie, żeby sączyła sok jabłkowy. Ale jej oczy, czerwone zmęczone oczy za okularami, zwróciły się w moją stronę i załśniła w nich aprobata.

— Dziękuję, Birdie. Dziękuję.

— Nie — wyszeptałam z uśmiechem, napinając swoje potężne zdumiewające dłonie. — Dziękuję, Supermamo.

— Nie — Carrie mówiła wolno, jakby rozmawiała z dzieckiem. — Dziękuję tobie, Birdie.

Popatrzyłam na nią. Czułam się jak wtedy w college'u z Danem: zupełnie jakbym pierwszy raz usłyszała swoje imię. Tylko tym razem dźwięk był twardszy, spółgłoski brzmiały bezlitośnie, ostro. Nie tak miękko, nie tak ładnie, ale bardziej zdecydowanie. Nieskończenie bardziej zdecydowanie.

Rozdział 21

Przepraszam, że przeszkadzam, ale to ważne. — Drżące ręce trzymałam głęboko w kieszeniach płaszcza.

— W porządku. — Przytrzymał otwarte drzwi i wpuścił mnie do środka z wdziękiem i obojętnością portiera w eleganckim hotelu.

— Dziękuję, że pozwoliłeś mi wpaść.

— Proszę bardzo.

Carl sprowadził mnie na dół, do piwnicy. Włączył światło i stał tyłem do mnie, bawiąc się naczyniami laboratoryjnymi.

— Potrzebuję odrobiny pomocy. Tylko trochę i nie przychodziłabym, gdyby nie chodziło o coś naprawdę ważnego.

— Wiem. Czytam gazety.

— Ach, to! — Prawie zapomniałam o nagrodzie wyznaczonej za moją głowę dzięki uprzejmości kompletnego dupka. — Nie, nie to miałam na myśli. Chociaż właściwie, co o tym myślisz?

— O czym?

— O artykule. Czy ty... to znaczy, czy myślałeś...

— Nie uwierzyłem w to, Birdie, jeżeli o to pytasz.

Łzy stanęły mi w oczach, ale odwróciłam głowę w drugą stronę. Nie mogłam pozwolić, żeby zobaczył, jak bardzo mnie to ucieszyło — i zasmuciło.

— Dziękuję. To dla mnie bardzo ważne. — Patrzyłam na jego plecy, flanelową koszulę, na to, jak wypełniają ją jego szerokie ramiona i jak zwięża się w pasie. Stać obok niego, ale nie móc go dotknąć, nie móc go dosięgnąć w żaden spo-

sób, to jakby zostać pozbawionym Bożego Narodzenia. I Wielkanocy. I Halloween. I każdego szarego dnia pomiędzy nimi.

— A więc, czego ci potrzeba, Birdie? — Nie odwrócił się.

— Potrzebuję pomocy przy grze wideo, przy głosach. Już czas, muszę w końcu dopaść Leksa. Widziałam, co zrobił. Widziałam, jak Chrissie, córka Carrie, parę dni temu o mało nie dostała wstrząsu. — Carl odwrócił się z wyrazem niepokoju na twarzy. — W każdym razie nie mogę pozwolić, żeby to dłużej trwało, muszę to natychmiast przerwać. Ale potrzebuję twojej pomocy.

— Aha.

— Więc możesz? To znaczy pomóc mi?

— Tak, mogę pomóc... Supermamie. Bo to jej pomagam, jasne? Rozumiesz?

— Jasne. — Wzięłam głęboki oddech. — Rozumiem.

— Okej. — Spojrzenie Carla było spokojne i twarde, usta zaciśnięte, co nadało jego twarzy surowy wyraz. To nie była ta dobra kojąca twarz, którą zapamiętałam. — Okej — powtórzył. — Chodź ze mną.

Poszłam za nim po schodach na górę, mineliśmy pokój dzienny, gdzie stała niebieska drabinka, która sprawiła, że serce uwięzło mi w krtani, dalej do góry, aż do zamkniętych drzwi oklejonych różnymi groźnie brzmiącymi napisami: UWAGA! WEJŚCIE NA WŁASNE RYZYKO! UWAGA! PIES OBRONNY! WYSYPISKO TOKSYCZNYCH ODPADÓW — NIE WCHODZIĆ!

— Greg! — Carl załomotał do drzwi.

Brak odpowiedzi.

— Greg! — Carl zastukał jeszcze raz.

Znowu żadnej odpowiedzi.

— Gregory! — Carl znów zastukał, po czym napał na drzwi ramieniem i pchnął. Otworzyły się, ukazując...

Studio nagraniowe. Z podwójnym łóżkiem wciśniętym w kąt otoczonym kolumnami głośnikowymi, komputerami, odbiornikami, głośnikami wysoko- i niskotonowymi i całą masą rozmaitych gadżetów z pokrętłami i przyciskami. W

środku, przed głównym komputerem, w słuchawkach i z zamkniętymi oczami, kiwając się w rytm muzyki rozsadzającej głowę (przynajmniej moją, Carl nie mógł jej słyszeć), siedział Greg.

— Greg! — Carl poszedł i potrząsnął ramieniem chłopaka. Greg spojrział zaskoczony.

— Greg. — Carl zdjął mu słuchawki. Greg westchnął i stuknął przycisk na komputerze. Opuściłam ręce, którymi zakrywałam uszy, a muzyka ucichła.

— Przyszła pani Lee. Pamiętasz grę wideo? Komunikaty podprogowe?

— A, tak. — Popatrzył na mnie z wściekłością, też zrobiłam do niego minę. — Dziękuję za zepsucie świetnej gry.

— Greg!

— Przepraszam. No dobra, tak. Te komunikaty. Mam je.

— Masz? — Z miejsca chciałam go uściskać, ale coś, prawdopodobnie wyraz szczerzej nienawiści w jego oczach, mnie powstrzymało.

— Tak. To dziwne. Większość komunikatów podprogowych wbudowuje się w nagranie od tyłu, to się nazywa maskowanie, i robi się to teraz za pomocą komputerów. Więc mogę kliknąć i odwrócić tekst, czyli usunąć maskę. Ale tu jest inaczej. Mamy takie jakby basowe dudnienie, jakby strunowy instrument czy coś w tym rodzaju naśladowało ludzką mowę. No w każdym razie musiałem użyć podstawowego systemu dwieście pięćdziesiąt sześć, żeby to przekonwertować. Całkiem proste, kiedy już to rozgryzłem. Proszę bardzo. — I rzucił mi płytę CD.

Wpatrywałam się w tego nadąsanego małego chłopca. Kiedy go ostatnio widziałam, jęczał, żeby mu dać trochę Patriotycznych Lizaków.

— Zawsze taki jest? — spytałam dumnego ojca.

Carl uśmiechnął się, brązowe oczy zabłysły.

— Mój chłopak!

— Dziękuję, Greg. Dziękuję bardzo. Nawet nie wiesz, czego dokonałeś, jakie to ważne.

— Taak. Nie ma sprawy. — Po czym z powrotem założył słuchawki i włączył muzykę.

Carl i ja wróciliśmy na dół. Schowałam płytę do torebki i chwyciłam płaszcz.

— No dobrze — powiedziałam, nie patrząc na niego.

— No dobrze.

— Jeszcze raz podziękuj ode mnie Gregowi. Niezwykły chłopak.

— Tak, to prawda.

— Tobie też dziękuję. Za to, że mi pomogłeś. To znaczy, że pomogłeś Supermamie. — Uszczypnęłam się mocno w prawą rękę, nie żeby powstrzymać wypływanie płynu, ale łez.

— Tak, to dobry człowiek — powiedział miękko Carl. — Supermama. Chce dobrze.

— To prawda. — Popatrzyłam na niego i przez łzy ledwie mogłam dostrzec jego twarz. — Ona naprawdę chce czynić dobro.

Nie odpowiedział. Staliśmy tak, patrząc na siebie, każde z nas balansowało na swoim końcu liny, która rozciągała się między nami, oboje baliśmy się zrobić krok w kierunku drugiego. Bo gdybyśmy zrobili, moglibyśmy stracić równowagę i spaść.

Otworzył mi drzwi. Włożyłam płaszcz. A potem wyszłam. Tylko raz obejrzałam się za siebie, żeby sprawdzić, czy jeszcze patrzy. Patrzył.

Nietrudno zgadnąć, że w drodze do domu włączył się mój supermamozmysł.

Nakazałam sobie go zignorować. Powiedziałam sobie, że nie mogę ryzykować zbliżania się do dzieci, dopóki nie ucichnie skandal z Supermamą i kompletnym dupkiem. Przekonywałam siebie, że nie będę dobrze wyglądać w pomarańczowym kombinezonie więziennym.

Ale gdzieś tam dziecko znalazło się w niebezpieczeństwie.

Gdy więc kark i czubek głowy wibrowały mi jak struny skrzypiec — wysoki dźwięk, staccato — zatrzymałam minivana przy chodniku, sięgnęłam do papierowej torby i wyjęłam kostium Supermamy, trochę już wygnieciony, bo impre-

gnowany materiał na ściereczki do kurzu strasznie ciężko wyprasować. I kiedy się przebrałam, stanęłam na chodniku nieustraszona i zbuntowana, ponieważ w kostiumie nagle poczułam się niewidzialna. Miałam wrażenie, jakby tkanina okrywała mnie niczym mumię, maska kryła nie tylko oczy, ale i duszę. Nikt nie mógł mi zrobić krzywdy, nikt nie mógł mnie dotknąć bezpiecznie ukrytej wewnątrz Supermamy.

Noc była chłodna i bezchmurna, gwiazdy wisiały nisko jak zwykle przed nadjeściem zimy. Stałam bez ruchu i słyszałam tylko wiatr oraz struny wibrujące mi w głowie. Potem całe moje ciało ogarnęło mrowienie i drżenie, prawa ręka wskazała na zachód i bez wahania podążyłam za nią przez dwa puste parkingi oraz ciemny zaułek prosto do domu, w którym migwały światła i ryczała muzyka. A przed domem zaparkowano pomarańczowe kombi.

Miałam uczucie, jakby klatkę piersiową miało mi rozerwać na dwoje. Musiałam skupić się na sile ciężenia. Musiałam o niej pamiętać, wyobrażać ją sobie, żeby stać twardo na ziemi i zrobić, co miałam do zrobienia.

Ruszyłam w kierunku domu, krocząc w rytm gitar basowych. Właśnie miałam zadzwonić do drzwi, kiedy usłyszałam głosy z tyłu domu i poczułam dym jakby palonych liści. Zakradłam się tam, przylegając płasko do ściany.

Wokół ogniska zebrała się grupa dzieciaków. Właściwie całkiem sympatycznie wyglądających dzieciaków. Smażyły na ogniu pianki i gadały wszystkie naraz. Niewinne rozmowy nakładały się na siebie i nie mogłam się zorientować, kto z kim rozmawia. Ale dzieciaki wiedziały. Wyglądały na zadowolone, szczęśliwe, blask ognia odbijał się w ich oczach, twarze miały zaróżowione od ognia.

To nie tu czaiło się niebezpieczeństwo. Tu nie mogło być zagrożenia. A jednak było, czułam to.

Wtedy jedna z twarzy odwróciła się od ognia. Długie popielato— blond włosy, nos obsypany piegami, ostrożny uśmiech.

— Kelly! — jęknęłam, zanim zdołałam się powstrzymać.

Rozmowa została przerwana. Kelly się rozejrzała, by sprawdzić, kto zawołał ją po imieniu. Ktoś krzyknął:

— Patrzcie! To Supermama. — I natychmiast zostałam otoczona.

— Hej! To prawda, że pobiłaś tego dzieciaka?

— Nie — powiedziałam. Kelly poderwała głowę i spojrzała na mnie dokładnie w wycięcia w masce. — Nie — powtórzyłam, zniżając głos o oktawę.

— Słyszałem, że skoczyłaś mu na rękę i złamałaś.

— To źle słyszałeś.

— Wiesz, policja cię szuka.

Wzruszyłam ramionami.

— Słyszałem, że SPD wyznaczyło za ciebie nagrodę.

— Wyobrażam sobie — mruknęłam z niesmakiem. — Cóż, dzieciaki, wszystko ślicznie, ale jeśli nie macie nic przeciw temu, chciałabym porozmawiać z rodzicem, który was pilnuje. Bo jest taki, prawda?

Pełne winy spojrzenia, ręce w kieszeniach. Kilkoro dzieci zaczęło się wycofywać.

— Jasne. — Westchnęłam. — Kiedy to wreszcie zrozumiecie? No dobra, zabawa skończona. Ale zanim pójdziecie do domów — zresztą już prawie minęła wasza godzina policyjna — czy ktoś mógłby wskazać mi właścicieli pomarańczowego kombi, które widziałam zaparkowane od frontu?

Nikt się nie odezwał.

— Okej. Świetnie. Sama ich znajdę. — Odwróciłam się na pięcie i ruszyłam do drzwi na patio.

Nagle jakiś młody człowiek zablokował mi drogę. Wysoki układny młody człowiek z jasnobłond, prawie białymi, włosami. Spojrzał mi w oczy z chłodną arogancją.

— A ty dokąd się wybierasz? — zapytał Harry Osborne.

— Zależć tego, kto tu rządzi.

— To ja.

— Doprawdy?

— Tak. Więc w czym problem? Mamy po prostu małą imprezę. — Mrugnął w stronę gromadzącego się tłumu, rozległo się kilka nerwowych chichotów, ale generalnie dzieciaki stały w ciszy, obserwując. I miałam wrażenie, że nikt tak naprawdę nie lubi Harry'ego. Nikt nie przesunął się, żeby stanąć obok niego, nikt nie potwierdzał tego, co powiedział.

— A dilerzy narkotyków, właściciele tego pomarańczowego kombi? Też byli zaproszeni? — Miałam wrażenie, że zimne ręce wykręcają mi żołądek.

— Można tak powiedzieć. Można powiedzieć, że byli gośćmi honorowymi.

— No dobrze, niechętnie to robię, młody człowieku, ale będę zmuszona poprosić, żebyś się odsunął.

— Zmuś mnie.

— Co? — Spojrzałam na niego. Jasne, był ze trzydzieści centymetrów wyższy ode mnie, ale jednak. Byłam superbohaterką! A może nie słyszał?

— Powiedziałem „zmuś mnie”. Lubisz bić małe dzieci, czemu nie spróbujesz się z kimś bardziej zbliżonym do twojego rozmiaru?

— Harry — Kelly chwyciła go za rękę — co ty robisz? Zwariowałeś? I co to za dilerzy? Powiedziałeś mi...

— A ty uwierzyłaś, prawda? Więc się zamknij. — Odepchnął ją i potknęła się lekko, robiąc krok w tył. Tak bardzo chciałam ją złapać, ale wiedziałam, że nie mogę. Poznałaby mnie, nie mogłam narażać jej na takie niebezpieczeństwo.

— Jaki ojciec, tak syn — mruknęłam. — Świetnie. Naprawdę niechętnie to robię, ale nie dajesz mi wyboru. — I strzeliłam płynem w doniczkę z kwiatami wiszącą tuż nad jego głową. Spadła, o mało go nie trafiając, i roztrzaskała się na ziemi.

Harry się roześmiał.

— Potrzebujesz okularów, babciu? Nie za dobrze celujesz. — Potem powoli, z namysłem, wyciągnął z kieszeni komórkę i wcisnął guzik. — Mamo? Tak. Jest tutaj.

I wtedy zrozumiałam, że dałam się nabrać.

Zaczęły wyć syreny, czerwone i niebieskie światła migwały zza domu. W jednej chwili zapanował chaos:

— Policja!

— O cholera!

— Kto ich wezwał?

— Spokojnie, chcą tylko jej.

— Tak, ale znajdą całą resztę i rodzice mnie zabiją!

— Biegiem!

Ktoś wywrócił torbę pianek, dzieciaki falą wylewały się z domu, kiedy w tym samym momencie inne usiłowały uciec do środka. Ja tymczasem stałam jak wryta, z przerażeniem wpatrując się w Harry'ego.

Znów się zaśmiał. Potem chwycił Kelly, która chciała uciec.

— Hej, mała, skąd ten pośpiech? To przyjęcie na twoją cześć, pamiętasz? A teraz rozrywkowa część naszego wieczoru. Nie chcesz zostać i obejrzeć fajerwerków? Nie chcesz popatrzeć, jak policja łapie tę superwariatkę?

— Nie! — Kelly się wyrywała, ale on wzmocnił uścisk, widziałam, jak jego palce zagłębiają się w dziewczęcych nadgarstkach, znacząc ciało. Powoli doszłam do siebie rozgrzana palącym gniewem. Zmrużyłam oczy, wycelowałam dłoń i...

— Supermamo, wyjdź z budynku — zawołał komisarz policji Borden przez megafon. — Wyjdź z podniesionymi rękoma. Nie, zaraz... wyjdź z rękoma w kieszeniach. Mamy nakaz aresztowania.

— Czerwony alarm! Powtarzam, czerwony alarm! Supermama w zasięgu wzroku! — w hałasie zaskrzeczał głos Patty Osborne. Muzyka nadal ryczała, syreny wyły, a dzieci uciekały na wszystkie strony.

Opuściłam rękę dokładnie w chwili, gdy Kelly kolanem trafiła Harry'ego w krocze. Zgiął się wpół z bólu, a ona pobiegła dookoła domu, w kierunku przeciwnym niż megafon. Wiedziałam więc, że będzie bezpieczna:

Ja tymczasem ze zdziwieniem stwierdziłam, że nie jestem w stanie się ruszyć. Nie byłam już niewidzialna w swoim kostiumie, miałam dotkliwą świadomość, że na mojej piersi znajdują się gigantyczne pomarańczowe litery „S” oraz „M”, które wyraźnie mówiły: „Strzel do mnie”. Serce biło mi tak szybko, że mogłoby eksplodować. Stopy stanęły przed tyloma możliwymi decyzjami — uciekać, ukryć się, pójść pomóc Harry'emu, pójść dołożyć Harry'emu — że nastąpiło zwarcie i nie mogły się ruszyć.

W końcu, spokojnie przechodząc nad szlochającym Harrym, podszedł do mnie jakiś dzieciak; nie wiem, kto to był, ale nigdy go nie zapomnę. Miał wielkie oczy, był ostrzyżony przy skórze, a usta wypchał ziemniaczanymi chrupkami.

— Uciekaj, Supermamo! Musisz zwiewać! Wynoś się stąd!

— Słusznie! — Otrząsnęłam się, uściskałam go (ale obyło się bez krakersów, z powodu pośpiechu) i ruszyłam biegiem. Potknęłam się o drewno do kominka, ale biegłam dalej, za sobą słyszałam głosy nalegające, żebym się zatrzymała, przestała, stanęła w imieniu SPD.

— No strzelaj wreszcie! — To był Lex.

— Zwariował pan? — Komisarz policji Borden miał przerażony głos. — Przy tych wszystkich dzieciakach?

— Nic mnie to nie obchodzi! — wrzasnął Lex.

Ktoś powiedział:

— Moglibyśmy spróbować psów. — A potem usłyszałam gwizdy, szczekanie i dudnienie stóp.

— O cholera! — Przyspieszyłam, odwróciłam się i wystrzeliłam w swoje ślady płynem czyszczącym, żeby ukryć zapach przed psami. Skręcałam w prawo i w lewo, wbiegałam do domów, przeskakiwałam nad skrzyniami z piaskiem, potykałam się o zraszacze, zatrzymując się tylko raz, żeby usunąć plamę z koszuli wiszącej na sznurku. (Czerwone wino na jedwabiu? Nie ma mowy, żeby to zeszło w praniu). Za sobą słyszałam łomot stóp, ale nagle szczekanie stało się niepewne. Lex i Borden krzyčili, żeby ruszyć tędy, nie, tamtędy... — Co z wami, głupie kundle? — i w końcu doleciał do mnie głośny łomot i żalony skowyt, jakby pies wpadł na drzewo.

A ja wciąż biegłam, aż dotarłam do swojego minivana za rogiem. Wpadłam do środka, zerwałam z siebie kostium i wepchnęłam go do papierowej torby, włożyłam normalne ubranie i właśnie miałam wdrapać się na siedzenie kierowcy, kiedy zobaczyłam biegnącą ulicą znajomą postać.

— Kelly! — Trzymałam się za bok, usiłując złapać oddech i zachowywać się tak, jakbym wcale nie wyprzedziła stada dzikich psów.

— Mama? — Zatrzymała się pod latarnią, nachyliła i spojrzała w moją stronę.
— Mama? Co tu robisz?

— Ja... — sapnięcie, charkot — po prostu byłam w pobliżu — kaszel, dyszenie — sprawdzałam...

— Sprawdzałaś mnie? Szpiegowałaś?

— Nie. Cóż, tak. Jednak nie. Ale wybacz, młoda damo, nie sędzę, żeby twoja sytuacja pozwalała na zadawanie pytań. Co tu robisz tak późno, do licha? Czemu nie jesteś w domu?

— Ja... ja... była taka impreza...

— Impreza? Nie wolno ci chodzić na żadne imprezy!

— A, jasne. Zapomniałam. Zabroniłaś mi prowadzić życie towarzyskie. — Zgrzytanie jej zębów było słychać przecznicę dalej.

— Wsiadaj do samochodu. Ale już. Później o tym porozmawiamy. — Syreny wciąż wyły, chociaż szczekanie umilkło.

— Nie. Porozmawiajmy o tym teraz. Dziś wieczorem mam dość ludzi!

— Co chcesz powiedzieć?

— Mam powyżej uszu ludzi, którzy mnie okłamują!

— Kochanie, chcesz powiedzieć...

— Harry! Tak, okej? I co, jesteś szczęśliwa? Jesteś? Bo miałaś rację co do Harry'ego? — Teraz już szlochała.

— Nie! Oczywiście, że nie jestem szczęśliwa! Szczególnie że ta impreza była dla ciebie...

— Co? — Otarła oczy rękawem. — Skąd wiesz?

— Ja... cóż, domyśliłam się...

— Nieprawda! Podśluchiwałaś mnie przez drugi telefon, zgadza się?

— Eee, niezupełnie.

— I sprawdzałaś moje e-maile, kiedy byłam w szkole?

— Nie robię tego, naprawdę.

— Owszem, robisz! Czemu się po prostu nie przyznasz? — Pobiegnęła w moją stronę, wymierzając ciosy w powietrze. — Czemu się po prostu nie przyznasz, że mnie szpiegowałaś? Czemu już mi nie ufasz?

— Bo cię widziałam! — Nie mogłam się powstrzymać. — Widziałam cię! Na potańcówce! Widziałam cię z Harrym i tymi facetami w pomarańczowym kombi! Prawie kupiłaś trawkę, Kelly. Widziałam cię!

Nawet nie drgnęła. Po chwili usłyszałam jej głos, zduszony, pełen złości, oskarżający.

— Nie. Nie zamierzałam tego robić. Po prostu poszłam z Harrym i miałam się stamtąd zabrać, ale wyskoczyła ta dziwaczna postać i przybiegli wszyscy rodzice, więc uciekłam jak inni. Ale on wie, że nie palę trawy. A potem mi powiedział, że sam też chce przestać. Dla mnie. Ale ja nie zrobiłam niczego złego. Nie zrobiłabym. Myślałam, że tyle o mnie wiesz. — Głos się jej załamał.

— Też tak myślałam.

— Ja się nie zmieniałam — wyszeptała i widziałam w jej oczach łzy, w których odbijało się światło księżyca, tak że wyglądały jak toczące się po policzkach gwiazdy. — Ale ty tak. Kiedyś mi ufałaś.

— Kelly, przepraszam, ostatnio wszystko było jakieś dziwne, widziałam różne rzeczy i przepraszam.

— Chcę pojechać do taty.

— Co?

— Chcę pojechać do taty. On mi ufa. Kocha mnie. Zawieź mnie tam, proszę. Chcę u niego zostać.

— Co masz na myśli? — Poczułam się, jakbym połknęła kawałek lodu. — Co to znaczy „zostać u niego”?

— Chcę z nim zostać. Od teraz. Nie chcę już z tobą mieszkać, mamó. Rozumiesz?

Słowa były zatrutymi strzałami wycelowanymi prosto w moje serce i trafiały w cel z zabójczą precyzją.

— Tak — wyszeptałam.

Wsiadła do samochodu i czekała, aż zajmę miejsce kierowcy. Pojechałyśmy do domu i zostałam w wozie, gdy poszła na górę spakować torbę. Następnie odwiozłam ją do wielkiego domu po drugiej stronie miasta. To była długa jazda. Żadna z nas nie miała nic do powiedzenia.

Dotarłam na podjazd Dana. Odwróciłam się do córki.

-Kelly, zaczekaj chwilę. Zanim wejdiesz... twój ojciec... musisz wiedzieć, że on...

Spojrzała na mnie, twarz miała taką młodą i taką zaciętą; uważała, że wie. Myślała, że mnie zna, że zna swojego ojca. Przez lata żyła z własną wersją historii. A ja zrozumiałam, że nadszedł czas, by poznała prawdę. Nawet jeśli to złamie jej serce. Nawet jeśli, pozwalając jej wysiąść z samochodu, pozwalając jej pójść tym długim chodnikiem z pięknego bruku, z wmontowanymi światłami, pozwalając jej zapukać do tych wielkich drewnianych drzwi — drzwi jej ojca — bez zapowiedzi, zgadzałam się na największe w jej życiu rozczarowanie. Ale nie mogłam, nie powinnam była dłużej jej chronić.

— Nieważne — rzuciałam i uśmiechnęłam się do niej, do mojej pięknej córki. Żadne z wypowiedzianych przez nią niedawno słów nie mogło sprawić, że przestałabym ją kochać, choćby nie wiem jak się starała. — Idź. Wiesz, że cię kocham.

Zamrugła, potem zaczęła obgryzać paznokcieć.

— Okej. — Wsiadła, sięgnęła na tylne siedzenie i chwyciła swoje torby.

Potem ruszyła chodnikiem, a ja odjechałam, zanim zdążyła zadzwonić do drzwi, ponieważ nie mogłabym znieść widoku twarzy Dana, kiedy ją tam zobaczy.

W drodze do domu słuchałam radia. Wysłano list gończy za Supermamą, która stawiała opór przy aresztowaniu. Ostatnio widziano ją uciekającą z miejsca, gdzie odbywała się impreza nastolatków. A SPD okręgu Hawthorne dawało nagrodę za wszelkie informacje prowadzące do aresztowania tej wariatki w fartuchu: tysiąc dolarów i możliwość zostania na jeden dzień dyrektorem szkoły podstawowej.

Pojechałam do Carrie.

— Możemy się zamienić na samochody? Na wszelki wypadek?

Kiwnęła głową, wyprowadziła swoje auto z garażu, a ja wstawiłam tam poobtłukiwanego minivana.

— Dzięki. — Westchnęłam. — To była pułapka.

— Co?

— Ta impreza. To była pułapka. Lex i Patty... musieli ją zaplanować. Policja była na miejscu. Ten mały gówniarz Osborne zachowywał się zbyt swobodnie. I użyli dzieciaków jako przynęty, także Kelly. Możesz uwierzyć?

— O mój Boże!

— I to mnie uważają za groźną dla dzieci?

— Bądź ostrożna, Birdie, dobrze? Obiecujesz?

— Tak. Ale to jeszcze nie koniec. Dzięki za samochód. A, zaczekaj chwilę.
— Cofnęłam się, żeby zabrać kostium.

Tylko że go tam nie było.

Wsadziłam głowę pod siedzenia, przeszukałam schowek na rękawiczki, tył samochodu, wszystko. Nie było tam mojej pogniecionej torby. I wtedy sobie przypomniałam. Kelly, kiedy ją podwoziłam, chwyciła bagaże z tylnego siedzenia, gdzie leżała torba.

— Gorzej już dzisiaj być nie może. — Zatrzęsnęłam drzwiami i usiadłam na podłodze garażu Carrie. Byłam taka zmęczona, mdliło mnie. Uświadomiłam sobie, że nie jadłam od prawie dwóch dni. Marzyłam o tym, żeby się położyć choćby na

tej podłodze i żeby Carrie się mną zajęła, okryła kocem, nakarmiła zupą i przeczytała bajkę na dobranoc.

— Co? — Carrie podbiegła do mnie, szarpiąc grzywkę.

— Kelly wzięła mój kostium. Do doktora Dana.

— Co?

— Tak.

— Och, Birdie!

— Aha. — Zamknęłam oczy i oparłam się o samochód. Spaliny szczypały mnie w nos.

— I co teraz?

— Nie wiem. Zmęczona jestem rozważaniem tego „co teraz”. Chcę, żeby ktoś inny to za mnie zrobił.

— Idź do domu. Musisz się przespać. Pomartwisz się tym jutro.

— Nie mogę. Muszę wrócić do doktora Dana i odebrać torbę. Z nadzieją, że zdążę, zanim zajrzy do środka.

Chrissie wsadziła głowę do garażu.

— Mamo? Ciociu Birdie? Ktoś do ciebie dzwoni.

— Do mnie?

Kiwnęła głową.

Zmusiłam się do wstania i poszłam do telefonu na nogach, które sprawiały wrażenie worków piasku.

— Halo?

— Birdie?

— Dan? — Nagle całkiem oprzytomniałam i poczułam mrowienie.

— Dzwoniłem do domu, Martin powiedział, że cię nie ma. Sądzę, że mam coś, co należy do ciebie.

— Tak — odparłam, oblizując suche wargi. Mój głos brzmiał, jakby dobiegał z głębokiego tunelu. — Owszem.

— Czy mogłabyś zaraz tu przyjechać?

— Tak.

Odłożyłam słuchawkę.

— Znalazł — powiedziałam do Carrie, która nadal szarpała grzywkę.

— Co chcesz zrobić?

— Pojechać to odebrać.

— A potem?

— Za cholerę nie mam pojęcia. — Wzięłam jej kluczyki i odjechałam, zabezpieczona przynajmniej przed grupą pościgową rodziców z SPD. Ale nie przed gniewem doktora Dana. Któremu stawiałam czoło, gdy dowlokłam drewniane nogi na próg jego stylowego domu i nacisnęłam pozłacany dzwonek.

— Cóż — powiedział. Niezadowolenie wryło się w każdą linię na jego twarzy. — Cóż.

— Tak? — Stałam na ganku, nie zaprosił mnie, żebym weszła.

— Musimy to przedyskutować.

— Okej.

— Więc po prostu podrzuciłaś to pod moje drzwi?

— Cóż, nie, Dan, ja nie... Kelly? Kochanie?

Kelly spychała ojca z drogi, łzy ciekły jej strumieniami, nos miała czerwony.

— Po prostu zabierz mnie do domu, mamó, dobrze? Po prostu zabierz mnie do domu.

— Dan? — Spojrzałam na niego. — Miałeś na myśli Kelly? To Kelly była „tym czymś”, co do mnie należało? Co po prostu podrzuciłam ci pod drzwi?

— Cóż Birdie, to nie jest mój weekend, żeby ją przyjąć. Znasz moją rozpiskę. Jestem zaskoczony, że obie...

— To miałaś na myśli? To miałam odebrać? Jezu, Dan, jesteś żałosny. Po prostu żałosny. Jest twoją córką! Nie rzecz! Nie zasługujesz na nią, wiesz? Nie zasługujesz na żadne z nich! — Nie mogłam dłużej na niego patrzeć, na tę zadowoloną z siebie twarz z wyniosłą miną, która kiedyś miała dla mnie urok. Jak to możliwe? Jak w ogóle mogłam kochać tego mężczyznę, pragnąć go, czuć się przez niego zdradzona? Nie był mężczyzną. Był dawcą spermy. To wszystko. I nawet nie zrobił tego zbyt dobrze.

— Ty... ty... mały fiutku! — wrzasnęłam. Mogłam przysiąc, że słyszę, jak Dixie zarechotała w salonie. Odwróciłam się i pobiegłam za córką, która siedziała na przednim siedzeniu samochodu, płacząc, zachłystując się szlochem, który o mało nie rozerwał jej na pół.

— Kochanie, nie płacz — powiedziałam, włączając silnik. — Nie płacz. On nie jest tego wart.

— Mamusiu — szlochała moja córka, a ja w wyścigowym tempie jechałam w stronę domu, żeby ją objąć, ukołysać, żeby znowu poczuła się kochana.

— Wiedziałaś, że mnie nie chce, prawda? Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Pogłaskałam Kelly po jedwabistych włosach. Trzymałam ją w ramionach, obie leżałyśmy rozciągnięte na moim łóżku.

— Kochanie, czasem trzeba pozwolić ludziom, żeby popełnili błąd na własny rachunek. Tak właśnie musiałam zrobić dziś wieczorem. Gdybym powiedziała, że nie możesz iść, to co byś zrobiła?

— Wrzeszczałabym i powiedziałabym, że cię nienawidzę.

— No właśnie. Widzisz, Kelly, pozwalałam ci na to już dosyć długo. Dziś wieczorem musiałam pozwolić, żeby spotkała cię przykrość, żebyś sama się przekonała. I nie chodzi o to, że on cię nie chce, Kelly. Musisz to sobie zapamiętać. Ale on... no cóż, nie chce tego robić codziennie, być rodzicem. Ma teraz nowe życie, swój plan dnia. Ale cię kocha.

— Wątpię — powiedziała głosem suchym i sceptycznym. — Mamusiu?

Uśmiechnęłam się i pocałowałam ją w czubek głowy. Od tak dawna tego nie słyszałam.

— Tak?

— Dlaczego za niego wyszłaś?

— Bo mnie o to poprosił.

— Pytam serio.

— Właściwie to bliskie prawdy. — Westchnęłam. — Och, kochałam go. Naprawdę go kochałam. I on też mnie kochał, na swój sposób.

A ja chciałam wyjść za mąż i mieć dzieci, i chociaż to brzmi całkiem bezna-
dziejnie, naprawdę tego chciałam.

— Ale... — Wierciła się, żeby ułożyć się wygodnie w moich ramionach. Kie-
dy ostatnio się przytulałyśmy, nie była wyższa ode mnie. — W takim razie cze-
mu się rozwiedliście? Skoro kiedyś się kochaliście?

— Kochanie, rozmawialiśmy już o tym. Czasem ludzie się odkochują. Co nie
znaczy, że nie kochają swoich dzieci, to znaczy tylko tyle, że czasem się zmie-
niają.

— Mamo, przestań pieprzyć.

— Kelly!

— Mamo, poważnie. To mi nic nie mówi. Dlaczego? Co zrobiłaś? Co on zro-
bił?

— Kelly. — Tak wiele chciałam jej powiedzieć! Jeśli jakkolwiek chwila by-
ła właściwa, to właśnie ta. Ale mieliśmy umowę, doktor Dan i ja. I zamierzałam
go zmusić, żeby jej dotrzymał. — Oboje zachowaliśmy się jak idioci, rozumiesz?
Udawałam, że wszystko jest w porządku, a nie było, a on... no cóż, sam ci opo-
wie. Już niedługo. Po prostu się stało i to dawno temu, więc teraz musimy iść da-
lej. Ty i ja. A zwłaszcza ja.

— Mężczyźni są do dupy. — Westchnęła.

— Kelly!

— Przepraszam — wymamrotała sennie, ziewając. Nagle usiadła, wymykając
mi się z objęć. — Och! Mamo! Coś dziś znalazłam. To chyba twoje. — Sięgnęła
obok łóżka i wyjęła torbę. Wymięta brązową papierową torbę. — To ty, prawda?
Jesteś Supermamą. — Nie wyglądała na specjalnie zdziwioną.

— No cóż. — Zaczerwieniłam się — Cóż, tak. Tak, jestem.

— Rany. Wiesz, myślałam... takie drobne rzeczy... jak dziś na imprezie, kiedy Supermama coś powiedziała, to brzmiało jak twój głos. Ale potem zrobiło się zamieszanie i Harry...

— Harry naraził cię, was wszystkich, na bardzo poważne niebezpieczeństwo — powiedziałam, chociaż naprawdę nie chciałam jej więcej ranić. Musiałam jednak mieć pewność, że rozumie, jaki jest zły. — Tylko po to, żeby do mnie dotrzeć. Takim właśnie jest człowiekiem.

— Wiem. — Odwróciła się, mrugając oczami. — Od jak dawna jesteś Supermamą?

— Od tego dnia, kiedy znaleźliście mnie w łazience. Od dnia Straszego Wypadku ze Swifferem.

— O rany. Czyli się wykradałaś? By walczyć z przestępczością? Naprawdę rzuciłaś kompletnym dupkiem o ziemię?

— Nie i nie mogę uwierzyć, że wszyscy tak się tym przejmują.

— Czemu mi nie powiedziałaś?

— Nie wiem. — W tej chwili, siedząc i rozmawiając ze swoją córką, zamiast mówić do niej, naprawdę nie wiedziałam. — Wydawało się, że tak będzie łatwiej.

— Czy Martin wie?

Wzięłam głęboki oddech. Następnie skinęłam głową.

Odwróciła głowę.

— Nie ufałaś mi?

— Och, Kelly! Oczywiście, że... No cóż, nie. Nie byłam pewna, czy nie powiesz ojcu. A gdyby on się dowiedział...

— Och. — Głos miała cichutki; odsunęła się ode mnie, kiedy wyciągnęłam do niej rękę. — A Martin by nie powiedział. Rozumiem.

— Ale chciałam ci powiedzieć, naprawdę. Tak wiele chciałam ci ostatnio powiedzieć.

— Mamo? Kel?

Odwróciłyśmy się obie. Martin stał w drzwiach.

— Wszystko w porządku? — Zwiesił głowę, włosy opadły mu na oczy.

— Tak, kochanie. Wszystko w porządku. Po prostu Kelly miała ciężką noc. Ja też.

— Okej. Jakby co, będę w swoim pokoju. Mamo, zmieniłem żarówkę na werandzie. Przepaliła się.

— Tak? — odwróciłam głowę, żeby ukryć uśmiech. — Dziękuję, kochanie.

— Okej — powtórzył. Spojrzał mi w oczy po raz pierwszy od dnia z kompletnym dupkiem.

— Martin?

— He?

— Muszę przeprosić cię za to, co się stało parę dni temu. Najwyraźniej nie ufałam ostatnio własnym dzieciom i jest mi bardzo przykro. Czy możesz mi wybaczyć?

Martin wzruszył ramionami, zwiesił ręce tak, że dłonie schowały się w wystrzepionych rękawach. A jednak zauważyłam w jego oczach błysk czegoś miękkiego, przypominało śnieg, kiedy zaczyna topnieć. Uśmiechnęłam się i poklepałam łóżko obok siebie, a on nagle też uśmiechnął się szeroko i poszybował w powietrzu, wskakując na łóżko i podbijając nas, jakbyśmy stali na trampolinie — Wspaniała Rodzina Lee, Znakomici Artyści Cyrkowi. Chwyciłam dzieci za ręce, skakaliśmy i skakaliśmy. Nasza trójka tak jak kiedyś, jak zawsze, chyba że...

Tak. Chyba że.

Wylądowałam z lekkim hukiem.

— Muszę wam jeszcze coś powiedzieć. W tym domu za dużo było ostatnio tajemnic. Dlatego myślę, że powinniście o czymś wiedzieć. Widuję się z kimś.

— Naprawdę? — Kelly odwróciła się do mnie, szare oczy wypełniały jej pół twarzy. — Chodzisz z kimś? Z facetem? Ty?

Martin nic nie mówił. Skubał szew dzinsów.

— Tak. — Nagle uśmiechnęłam się szeroko i schowałam głowę pod poduszką.

— Mamo! — pisnęła Kelly i wyrwała mi poduszkę z ręki. — Kto? Kto to jest? Przystojny?

Martin jęknął.

Wyciągnęłam rękę i przygarnęłam go do siebie.

— Tak, myślę, że jest przystojny — zwróciłam się do Kelly. No dobrze. — Wzięłam głęboki oddech. — Znasz Grega Sayersa z klasy Martina? A jego ojca? Tego, który prowadzi klub rysunkowy?

— Pan Sayers? — pisnął Martin.

Kiwnęłam głową. Oczy Kelly zrobiły się jeszcze większe.

— O mój Boże, mamo. To jest świetny facet! Podobasz mu się?

— Nie bądź aż taka zdziwiona. Tak, podobam. W każdym razie podobałam. On... no cóż, w tej chwili gniewa się na mnie, między innymi dlatego, że bałam się wam o tym powiedzieć.

— Bałaś się, czego? — Sięgnęła i wyjęła mi coś z włosów, mały listek.

— Bałam się, że was zdenerwuję. Że sprawię wam zawód.

— Jak? Znaczący, naprawdę, mamo. Najwyższy czas. Masz ile... czterdzieści lat?

— Czterdzieści jeden.

— O rany. Poważnie, nie robisz się młodsza. Jeżeli masz się z kimś zacząć umawiać, to czas zacząć.

— Dziękuję ci, Kelly. Martin? — Odwróciłam się do syna.

— Hm?

— Co ty o tym myślisz?

— To dziwne — powiedział. Kelly już otworzyła usta, żeby wygłosić wykład, ale ją powstrzymałam.

— To normalne, że czujesz się dziwnie. To jest dziwne, nawet dla mnie. Dlatego też chciałam to utrzymać w tajemnicy, ale popełniłam błąd. Źle zrobiłam, że wam o tym nie powiedziałam, postąpiłam źle wobec pana Sayersa. Carla. Sprawiałam mu przykrość.

— Naprawdę się na ciebie gniewa? — zapytał Martin.

Kiwnęłam głową.

— To fajny facet, mamó. Bo wiesz, w klubie rysunkowym, kiedy ludzie tylko siedzą i się wygłupiają, on nigdy nic nie mówi. Założę się, że nie będzie się gniewać w nieskończoność.

Uśmiechnęłam się i pocałowałam go w czoło. Szkoda, że dzieci nie mogą rządzić światem.

— Uważam, że powinnaś go przeprosić — orzekła Kelly, stanowczo kiwając głową.

— I to by was nie denerwowało? Gdybym... gdybyśmy się spotykali?

— No nie. Nie na serio. To znaczy nigdy nie myślałam, że ty i tata kiedyś do siebie wrócicie. Bardzo tego chciałam, ale nigdy nie myślałam, że to możliwe. I sama nie wiem... to trochę dziwne, że byłaś zajęta tylko Martinem i mną. Serio, mamó, to chyba niezdrowo.

— Aha, kompletnie niezdrowo. Musisz mieć jakieś życie, mamó. — Martin poklepał mnie po dłoni.

— Mówicie oboje jak ciocia Carrie!

— W takim razie ciocia ma rację. To znaczy... — Kelly wymieniła spojrzenie z Martinem — niedługo pojedziemy do college'u i martwimy się, co się z tobą stanie, kiedy nas nie będzie.

— Tak? Martwicie się o mnie? — Byłam wzruszona. Szczerze mówiąc, do łez. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że dzieci mogą się o mnie martwić. To ja się o nie martwiłam, tak bardzo, dawałam i dawałam, a one też chciały dawać. Rzadko im na to pozwalałam.

To właśnie się dzieje, kiedy dzieci dorastają. Martwią się o ciebie. Wiedzą, nawet jeśli ty sama tego nie wiesz, że istnieje szczęście bycia z innymi ludźmi.

— Więc co waszym zdaniem powinnam zrobić? — zapytałam dzieci; zrównoważoną córkę, która nie mogła uwierzyć, że potrafię poderwać świętego faceta, mądrego syna, który uważał, że muszę mieć jakieś życie.

— To zależy. Kochasz go? — Kelly wpatrywała się we mnie bez mrugnięcia okiem, Martin wstrzymał oddech. Wiedziałam, że ich nie zranię, mówiąc prawdę.

— Tak — powiedziałam zaskoczona, jak łatwo mi to przyszło. Ale taka była prawda. Wreszcie spod kłamstw coś wyszło na jaw — prawda. Redukując wszystko do sedna, a raczej księżycowego promienia przeświecającego przez sosnowe gałęzie. Choćbym była nie wiem jak silna, nie wiem jak niezależna, wciąż czułam się bezpiecznie w jego ramionach. I nie było powodu, by się tego wstydzic, że mogłam dzielić siebie, swoją miłość, z cudownym mężczyzną, który pragnął mnie widzieć w swoim życiu. To mnie nie pomniejszało, tym razem było inaczej. Tym razem sama byłam silna. Tym razem uczucie mogło mnie tylko wzbogacić.

— Tak — szepnęłam swoim dzieciom. — Kocham go. Kocham.

— Więc mu to powiedz. — Kelly pokręciła głową nad moją głupotą.

— I tyle? Po prostu mu powiedzić?

— O rany, mamo! — Martin podrapał się po nosie. — Mogę już iść do łóżka? Jestem trochę skonany.

— Ja też. — Kelly ziewnęła.

— Jasne. Oczywiście, kochanie. — Uniosłam twarz, żeby przyjąć jej pocałunek, uścisk, delikatne błogosławieństwo na resztę mojego życia, z nimi i bez nich.

— Dobranoc.

— Dobranoc, skarbie. Dobranoc Martin.

— Dobranoc! — Patrzyłam, jak wychodzą, oboje wyżsi, niż pamiętałam. Kiedy o nich myślałam, zawsze byli ode mnie niżsi. A kiedy zadawałam sobie trud, żeby cofnąć się o krok i naprawdę im przyjrzeć, jak zrobiliby to obcy człowiek, zawsze mnie zaskakiwało, jacy są duzi. Jacy chudzi. Na skraju reszty swo-

jego życia. W ich twarzach więcej było z dorosłych, którymi się staną, niż z dzieci, którymi byli. Nieodmiennie mnie to wzruszało.

Poszliśmy więc spać, moja rodzina i ja. Nasza trójka, każde w swoim pokoju. I mimo wielkości domu wiedziałam, że wreszcie jest tu dość miejsca na coś więcej. Musiałam tylko poprosić.

TLR

Rozdział 22

Psikusy, cukierki, straszne fajerwerki!

Przybywajcie świętować Halloween w Patriotycznym Parku Zakładów Nowy Kosmos. W świetle ostatnich wydarzeń SPD postanowiło zaoferować naszym duszkom i goblirkom bezpieczne miejsce na spotkanie!

Przybądźcie wcześniej, zostańcie do późna i zarezerwujcie w swoich torbach masę miejsca na Patriotyczne Lizaki!

— To chyba jakiś żart — warknęłam.

— Co? — Kelly nachyliła się nad moim ramieniem i spojrzała na ulotkę, którą Martin przyniósł do domu ze szkoły.

— Popatrz tylko! Patrz! To takie oczywiste, równie dobrze mogli zamieścić neon z napisem „Witaj, Supermamo! Przybądź na spotkanie z fatum!”. Wiedzą, że nie mogę się tam nie zjawić. Dzieciaki, cukier, potencjalnie niebezpieczne ogrodzenie... koszmar Supermamy!

— Więc to pułapka?

— Ano pułapka. — Wrzuciłam ulotkę do kosza na śmieci. Potem usiadłam przy kuchennym stole.

— I co zamierzasz zrobić? — Kelly usiadła obok.

— Nie mam wyboru. Muszę pójść. I to jest to. Nie trafi mi się następna szansa. Jeżeli tam pójde, zostanę schwytana, z całą tą nagrodą za mnie i tak dalej. Muszę więc być przygotowana. Muszę być gotowa dostarczyć Leksa przed oblicze sprawiedliwości. — Sięgnęłam po kartki, wydruk pliku, który zabrałam z biura Leksa. Całe strony propozycji marketingowych, opisów cudu oralsuliny i liczb.

Nieprzeniknionych, obcych. Numerów kont, arkuszy kalkulacyjnych, oznaczeń giełdowych.

— Ojej — jęknęłam, nalewając sobie wiadro kawy i grzebiąc w szufladzie z różnościami w poszukiwaniu kalkulatora. Udało mi się znaleźć jedynie plastikowy kalkulator Myszki Miki, który dołączono do pudełka płatków. Miał dwie funkcje: dodawanie i odejmowanie.

— Pomogę ci — powiedziała moja córka, matematyczny geniusz. — Pokaż, zobaczę, co mi z tego wyjdzie. — Sięgnęła do plecaka i wyjęła kalkulator wielkości małego komputera. Rozpłynęłam się we łzach i z miejsca podniosłam jej kieszonkowe.

W tym czasie mój zaufany adiutant wziął na siebie wprowadzenie kilku poprawek w moim wyposażeniu.

— Naprawdę potrzebne ci nowe cztery kółka, z turbodoładowaniem, spojlerem i o aerodynamicznym kształcie — oświadczył, wycierając smar z rąk w jedną z moich lepszych ścierek. — Ale domyślam się, że tata nie planuje podwyższenia ci w najbliższym czasie alimentów?

Potrząsnęłam głową.

— Tak myślałem. Okej. Zobaczymy, co uda mi się zrobić. I daj mi swoje szpilki, mam pomysł.

A ja stałam i przyglądałam się swoim dzieciom — moim adiutantom — które pierwszy raz od lat pracowały razem. Wszystko w imię Supermamy. (To ja!).

Oprócz tego Carrie przy każdej okazji poddawała mnie analizie.

— No dobrze, powiedz mi to jeszcze raz. Jako dziecko nigdy nie śniłaś?

— Nie — westchnęłam. Zaczynał mnie łąpać skurcz w nogach.

— Masz jakieś niespełnione marzenie?

— Możesz wybrać — prychnęłam.

— Latanie — powiedziała.

— Och, latanie! — I zamknęłam oczy, wyobrażając sobie siebie, Supermamę, szybującą nad dachami z powiewającą z tyłu peleryną. I co zabawne, czułam się wtedy dość lekka, wystarczająco wolna, żeby to zrobić. Polecieć wolna niczym ptak. Zabawne, jak wyjawienie prawdy, odsunięcie gładów urazy, strachu,

kłamstw i winy może jakoś człowieka wyzwolić, tak że stale podskakuje, sięga nieba.

Została tylko jedna sprawa: kamień w kieszeni. Ale spory kamień i z dnia na dzień wydawał się cięższy. Tylko to trzymało mnie na uwięzi, obciążało, wysuszało usta.

— Po prostu mu powiedz — nalegała Kelly. Podobnie Carrie, podobnie Martin.

„Po prostu mu powiedz”. To były tylko słowa. A jednak nie. Podałabym mu jak na dłoni swoją duszę, serce, nadzieje i lęki oraz najczulsze myśli. Ręce Carla, takie silne i zręczne, czy byłyby otwarte, gotowe na przyjęcie tych prezentów?

Najpierw jednak musiałam zrobić pewną rzecz. Potrzebowałam kogoś, kto mnie złapie, jeśli się potknę i upadnę, dając mu swoje serce. I gdyby Carl nie mógł, mogłaby Supermama.

Była prawie gotowa.

— Okej, chyba wiem — oświadczyła Kelly któregoś dnia po szkole. Usiadła przy kuchennym stole, wyjęła z plecaka wydruk starannie złożony na cztery części i wygładziła go na blacie. — Ta-da!

— Hę? — Spojrzałam na papier. Odwróciłam go na drugą stronę. Potem do góry nogami. Pojęcia nie miałam, co to takiego. Pełno liczb i słów w rodzaju „korporacyjne wpływy” i „ukryty dochód” i więcej liczb, niektóre czarne, większość czerwona. — Co to jest?

— To, czego potrzebujesz, żeby obalić imperium zła, mamó!

— Możesz mi to przetłumaczyć?

— Boże, mamó. Potrafisz chociaż zbilansować swoją książeczkę czekową?

— Moja córka westchnęła i odrzuciła włosy.

— Czasami.

— No dobrze. Widzisz tę liczbę? I te tutaj? Widzisz? Zakłady Nowy Kosmos nie przyniosły w zeszłym roku zysku. Podobnie w trzech pierwszych kwartałach tego roku. Wygląda na to, że Lex nigdy nie włożył w ten interes ani centa ze swoich prywatnych pieniędzy.

— Milioner, który do wszystkiego doszedł własną pracą, akurat! — Prychnęłam. — Ale co z tego? Kogo to obchodzi, że nie przynieśli zysku?

— No dobrze. — Zaczęła ponownie, mówiąc wolniej. — Wyłożę ci to. Znasz teren zakładów, jest piękny. I wesołe miasteczko. Poszła na nie masa pieniędzy, prawda?

Potwierdziłam.

— To nie wszystko. Lex i Patty mają prywatną lożę na stadionie futbolowym, luksusowy apartament w Gotham City. Kondominium na Bermudach. Jak płacą za to wszystko?

— On jest w rzeczywistości Batmanem?

— Mamo! Spójrz/Poszłam do sądu okręgowego. — Wyjęła kolejny papier, właściwie kilka. Akty własności loży, apartamentu, kondominium.

— Wszystkie podpisane przez Edwarda D. Cobblepota.

— Naszego tajemniczego człowieka z pieniędzmi.

— Owszem! Nowy Kosmos nie zarabia, więc czemu nie wypada z rynku i zatrudnia pół miasta?

— Bo Moulton Pharmaceuticals za wszystko płaci!

— Zgadza się. Moulton potrzebują ich na rynku i pompują kasę w Nowy Kosmos. A żeby podnieść zyski Moultonu, zobacz, Lex jest poważnym udziałowcem i najwyraźniej on za tym wszystkim stoi, więc fałszuje księgi, wymyśla wszystkie koncepcje marketingowe, w tym zamieszczenie podprogowych przekazów. Mówiłaś, że Cobblepot jest w Japonii? Przeczytaj to. — Wręczyła mi artykuł z gazety.

„Zakłady Yamamoto, twórca popularnej gry wideo Amerykańska sprawiedliwość, zostały sprzedane amerykańskiemu finansjście Edwardowi D. Cobblepotowi. Umowę najprawdopodobniej zawarto ostatniej zimy z zalecenia Lexa Osborne'a, założyciela Zakładów Nowy Kosmos, ale . nie ogłoszono jej, dopóki Amerykańska sprawiedliwość nie przeszła wstępnego testu marketingowego na Środkowym Zachodzie. Cieszy się wielką popularnością i Cobblepot planuje wprowadzić ją na rynek w całych Stanach tej wiosny”.

— Więc to tyle? — Popatrzyłam na wszystkie wykresy, liczby i proste linie.
— Chodzi o fałszowanie ksiąg? Żadnych pogwałceń traktatu ONZ? Żadnego łamania tysięcy praw FDA*⁴? Chodzi o księgowość?

— To konflikt interesów i ukrywanie powiązań finansowych, może też pranie pieniędzy. Dorzuć komunikaty podprogowe i masz coś całkiem...

— Złego? — Spojrzałam na nią z nadzieją.

— Złego! — Uśmiechnęła się, zgarnęła szkolne książki i poszła na górę.

— Księgowość — powtórzyłam, porządkując papierowy bałagan.

Zadzwoił telefon.

— Halo?

— Birdie? — To była Patty Osborne. Wepchnęłam papiery pod toster na wypadek, gdyby mogła mnie widzieć przez słuchawkę.

— Cześć, Patty. Co, ee, słyhać?

— Chodzi o zabawę na Halloween. Wyznaczyłam cię do rozdawania cukierków, więc musisz tam być punktualnie o szóstej, za żadne skarby nie wolno ci się spóźnić.

— Och, przepraszam, Patty, ale nie mogę. — Owinęłam kabel telefoniczny wokół palca i się uśmiechnęłam.

— Ty... co?

— Powiedziałam, że nie mogę.

Długa pauza. Najwyraźniej za bardzo była zdumiona, żeby mówić.

— Patty? Dobrze się czujesz?

— Tak, ja... Jak to nie możesz?

— Nie mogę ci jutro pomóc. Mam inne plany.

— Jakie inne plany? Co może być ważniejszego niż twoje obowiązki jako członka SPD okręgu Hawthorne?

⁴ *FDA — Food & Drug Administration, agencja regulująca wprowadzanie na rynek żywności i leków

— Cóż, prawdę mówiąc, muszę załatwić drobne sprzątanie. — Zachichotałam. — Drobny nieporządek... och, no dobrze, wielki, ogromny, gigantyczny bałagan, do którego „doszłam własną pracą”, i muszę się nim zająć.

— Ale Birdie, trzeba myśleć o dzieciach.

— Och, myślę o nich, Patty. Wierz mi, myślę!

—Ale... ale...

I kiedy wciąż jeszcze się jąkała, odłożyłam słuchawkę.

TLR

Rozdział 23

Halloween. Noc cukierka i psikusa. Nie wiedziałam, który z nich miał mi się trafić tym razem. Miałam nadzieję, że czarne koty i sztuczne nagrobki, które miałam po drodze do Patriotycznego Parku Zakładów Nowy Kosmos, nie Uczyły się jako zła wróżba.

Wjechałam swoim świeżo odmalowanym minivanem na parking. Poprawiłam maskę, sprawdziłam nowe ulepszone wysokie obcasy (przerobione z pneumatycznych podeszew wyjętych z ulubionych butów do koszykówki Martina, które gwarantowały, że za każdym razem utrzymam się w pozycji stojącej przez prawie dwie godziny) i nałożyłam świeżą warstwę szminki, na co siedzący na siedzeniu pasażera w kostiumie Abe'a Lincolnatora Martin się wzdrygnął.

— Naprawdę musisz to robić?

— Tak — odparłam. — June Cleaver zawsze miała świeżą szminkę nawet w samym środku kryzysowej sytuacji.

— Mamo?

— Tak?

— Nic ci się nie stanie? — Wyglądał przez okno, głos miał zachrypnięty.

— Popatrz na mnie, kochanie.

— Nie.

— Popatrz na mnie.

Popatrzył. Dwa ślady łez znaczyły jego zakurzone policzki.

— Nic mi się nie stanie. Lex nie może mi zrobić krzywdy, a policja jest tak naprawdę po mojej stronie. Więc nic się nie martw. — Przyciągnęłam go do siebie i kościste ramiona wbiły mi się w żebra, ale mniejsza z tym. Niedługo miał być wyższy ode mnie, z szerokimi ramionami i zbyt zamknięty w sobie, żeby płakać. Ale teraz chciał wiedzieć, czy jego mama jutro też z nim będzie.

Powiedziałam mu, że będę, ale nie wiem, czy uwierzył. Nie wiem, czy sama w to uwierzyłam.

— Kocham cię, mamó.

— Och, kochanie! — Wtuliłam twarz w jego szyję wdzięczna za dar, którym był dla mnie.

— Nie wysmarowałaś mnie szminką, co? — Moje ramiona stłumiły jego głos.

— Och! Nie. — Zmusiłam się, żeby go puścić. — Oczywiście, że nie! — Wytarłam mu szyję brzegiem peleryny. — Okej — powiedziałam z niepewnym uśmiechem. — Chyba już czas.

— Ruszaj, Supermamo! — Złączyliśmy pięści, chwyciliśmy swoje torby na słodycze i wysiedliśmy z samochodu...

Gdzie powitała nas niewielka grupka Supermam. Różnych kształtów, rozmiarów i najwyraźniej (mrużąc oczy, wpatrywałam się w jedną wysoką i barczystą) różnych płci.

— Cukierek albo psikus! — zagrzmiała ta wysoka chrapliwym basem. Zrobiłam krok w „jej” stronę; zachwiała się w szpilkach rozmiar dwanaście.

— Stój prosto, Howardzie — warknęła drobniutka Supermama w okularach. — To tylko kwestia równowagi. I popraw perukę.

Poprawił. Ale i tak przycupnęła mu z tyłu łysej głowy jak chora małpka.

— Co u licha...? — Zrobiłam krok w stronę tej drobnej. — Carrie? Co do...?

— Niespodzianka! — Wysoka szczupła Supermama z błyszczącymi blond włosami wyszła przed szereg.

— Kelly? Co się tu dzieje?

— Cóż, stwierdziliśmy, że dziś wieczorem przyda ci się pomoc. Więc postanowiliśmy się przebrać za ciebie dla odwrócenia uwagi. Niech teraz spróbują złapać cię w zasadzkę!

— A do tego to świetna zabawa — zapiszczała Chrissie, wygładzając swój fartuch. — Już dobrych parę lat nie przebierałam się na Halloween!

— Zabawa? W tych wysokich obcasach to się zabić można — burknął Howard, trzymając się kurczowo boku jakiegoś kombi.

— Nie wiem... Nie wiem, co powiedzieć — zająknęłam się i łzy pociekły mi z oczu.

Okulary malutkiej Supermamy zaśniły w światłach parkingu.

— Eee, Carrie? — wyszeptałam — Supermama nie nosi okularów.

— No, chyba że chcesz, żebym gdzieś zablądziła i wpadła pod samochodzik elektryczny — rzuciła Carrie. — Jeśli nie, ta Supermama nosi!

— Po prostu nie wiem — zaczęłam, szczypiąc się w prawą dłoń, żeby się nie rozbeczeć. — Nie mogę was o to prosić. Wchodzi tu w grę pewne ryzyko, a Supermama nigdy nie naraziłaby nikogo na niebezpieczeństwo.

— Cicho bądź, Supermamo! — Kelly uśmiechnęła się szeroko. — Już się zdecydowaliśmy. Nie puścimy cię tam samej.

— Tak! Supermama daje czadu! — Howard wyrzucił w górę pięść.

— Cóż, dziękuję. To wszystko, co mogę powiedzieć. Dziękuję wam z głębi serca. Że wszyscy chcieliście zrobić to dla mnie.

I wtedy wybuchnęłam płaczem. Odwróciłam się i wytarłam nos w pelerynę.

— Mamo. — Martin przysunął się do mnie. — Weź się w garść. Superman nigdy nie płacze!

— Wiem, wiem, — pociągnęłam nosem. — Ale oni są tacy mili!

— Mili. — Potrząsnął głową z obrzydzeniem.

— No dobrze, dobrze. — Odwróciłam się w stronę przyjaciół, starając się wyglądać bohatersko i emanować pewnością siebie. — A teraz ustalmy kilka reguł, zanim wejdziemy. Po pierwsze, nie chcę, żeby ktokolwiek udawał bohatera. Zachowujcie się normalnie, bawcie się, cukierek lub psikus. Oni są zainteresowani tylko mną, wy jesteście na wabia. A jeśli coś by się stało, nie bójcie się. Będę tam w sekundę. Po drugie, czy wszyscy pamiętali, żeby zabrać antybakteryjne chusteczki do rąk? Tu się roi od zarazków. Po trzecie, nie jedzcie za dużo cukierków, bo was żołądki rozbolą. A jeśli kogoś rozboli, dajcie mi znać. Mam tabletki na niestrawność.

Chrissie podniosła rękę.

— Czy mogę kogoś aresztować?

— Nie, Supermama nie ma uprawnień do ograniczania wolności osobom fizycznym. Poza tym — spojrzałam na Howarda — zachowajcie dyskrecję, chodząc do ubikacji. — Zaczerwienił się. — Dobrze, słuchajcie wszyscy, myślę... po prostu wchodźcie. Rozejdźcie się po terenie, bawcie się dobrze i nie zapomnijcie wieczorem wyczyścić zębów nitką dentystyczną! A teraz... — Odwróciłam się do Martina, kiedy gromadka mężnych Supermam udała się w kierunku wejścia; Howard trzymając się kurczowo Carrie. — Masz kompakt?

Kiwnął głową.

— Na pewno wszystko w porządku? Na pewno dasz sobie radę?

— Mamo! — wyglądał na poirytowanego pod tym swoim cylindrem. — Nie martw się, panuję nad sytuacją.

— Ale nadal nie wiem, jak poradysz sobie z systemem nagłaśniającym.

— Mamo. Zaufaj mi, dobrze?

Wstrzymałam oddech, spojrzałam ponad morzem samochodów w kierunku poświaty na horyzoncie. Niebo było fioletowe i nieruchome. Mój syn stał obok mnie, miał za zadanie wykonać męską robotę.

I pierwszy raz w życiu wierzyłam, że da sobie radę.

— Dobrze, zaufam ci. W końcu — uśmiechnęłam się — jesteś moim zaufanym adiutantem.

— Tak. — Martin poklepał mnie po plecach i spacerkiem udał się w kierunku wejścia, istny John Wayne z torbą na słodycze. Zostałam jeszcze minutę, żeby ochłonać, wytrzeć łzy, uspokoić nerwy, skupić się na tym, co ważne. Tym czymś był widok mojej rodziny i przyjaciół, ludzi, którzy we mnie wierzyli. Nagle nie mogłam się doczekać, żeby już się to wszystko zaczęło. Pobiegłam, by wprowadzić ich do parku. Ale zanim doszliśmy do wejścia, zobaczyłam krępego mężczyznę o rybach ustach kryjącego się za mini Cooperem, który jednak nie do końca zapewniał mu schronienie.

Jimmy Nelson podszedł do nas, sapiąc.

— Hej, patrzcie tylko! Cała gromadka Supermam!

— Masz tam film? — Wskazałam na jego aparat.

Kiwnął głową.

— A baterie w magnetofonie?

— No pewnie!

— Dobrze. Teraz spróbuj trzymać się mnie, ale żeby to nie było zbyt oczywiste.

— Powodzenia, Supermamo!

— Dziękuję. I pamiętaj, żeby wziąć do domu trochę cukierków dla dzieci. — Uścisnęłam jego ramię. — Okej, życzę wszystkim dobrej zabawy — powiedziałam, po czym wraz ze swym oddziałem wkroczyłam do Patriotycznego Parku Zakładów Nowy Kosmos. Tylko po to, by zaraz się zatrzymać z wytrzeszczonymi oczyma. Wyglądało na to, że w tym roku kostium Supermamy cieszył się w Hal— loween wielką popularnością.

Przed nami znajdowała się jeszcze większa armia Supermam, grubych, chudych, malutkich, chybotających się na maminych wysokich obcasach. Tu i ówdzie kostium potraktowany został dosyć swobodnie. Niektóre brzuchy były odsłonięte, co zazwyczaj spotyka się z dezaprobatą Supermamy, ale w tej chwili za bardzo ją zatkało, żeby zdołała cokolwiek powiedzieć. Widać też było trochę kolczyków w dziwnych miejscach. Jakiś wolny duch napisał z tyłu na pelerynie „Nixon na prezydenta!”. Naprawdę wolałam nie wiedzieć, co niektóre z nich miały w kieszeniach fartuchów. Ale w moich oczach wszystkie były piękne i odważne. Każda z nich. Nawet Supermama w stylu goth, której kostium został ufarbowany na czarno.

— Dobrze ci tak, Leksie Osbornie! — Howard wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Kelly ścisnęła moje ramię.

— Mamo, ci ludzie cię kochają. Chcą być tobą! — Po czym razem z Chrissie weszły prosto w morze zieleni w swifferowym odcieniu peleryn łopocących na wietrze i ruszyły ku jaskrawym światłom karuzeli, cyrkowej muzyki i stołów ze stertami specjalnych poma— rańczowo-czarnych Patriotycznych Lizaków.

— Bądź ostrożna — szepnęła mi do ucha Carrie. W jej okularach założonych na maskę Supermamy odbijały się kolorowe światła diabelskiego młyna.

— Nie bój się. — Poklepałam ją po czubku głowy, a ona nie odtrąciła mojej ręki. — Jesteś prawdziwą przyjaciółką.

— Och, Birdie... — Głos jej zadrżał.

— Nic nie mów. Wszystko będzie dobrze.

Kiwnęła głową, po czym wmaszerowała w tłum, a za nią Howard, który pomachał i zaraz potknął się na swoich obcasach.

Odwróciłam się i zaczęłam polowanie. Skradałam się zakosami przez tłum rodziców i ślicznych małych potworów, goblinów i miniaturowych superbohaterów. Wszystkie oczy patrzyły na mnie. Podejrzliwe oczy. Niektórzy rodzice odciągali dzieci, kiedy się zbliżałam. Nie nawiązywałam kontaktu wzrokowego, nie uśmiechałam się, nie machałam. A wokół mnie kluczyły inne Supermamy.

Supermama, Supermama, Supermama... słyszałam to poprzez muzykę, przez okrzyki „cukierek lub psikus!”. Moje imię było na ustach wszystkich, powtarzane raz po raz jak uderzenie bębna, jak zakłęcie. Dudniło w uszach, pchając mnie naprzód, domagając się, żebym skończyła to, co zaczęłam.

Muzyka. Śmiech. Supermama. „Mogę wziąć cukierka?”. „Mogę wziąć popcorn?”. Supermama. Szłam za swoim imieniem. Odwracałam się to w tę stronę, to w tamtą, wirując, wznosząc się, wchodząc na pagórki, schodząc w dół ulicami, biegnąc z wiatrem rozwiewającym moją pelerynę. Supermama.

— Supermamo! Supermamo! — W końcu usłyszałam wołanie, które przebiło się przez inne dźwięki. Płacz, łkanie. Stałam w bezruchu, zamknęłam oczy i słuchałam, słuchałam wiatru, muzyki, własnego serca. Drżenia w uszach, napięcia w piersiach, wibrowania w głowie, która bez mojego udziału odwróciła się w stronę...

Otworzyłam oczy. Zwalisty mężczyzna ciągnął Kelly w górę po schodach. Skąd wiedziałam, że przynętą stanie się właśnie Kelly?

Skąd wiedziałam, że to moje dziecko, kiedy dali mi ją w objęcia piętnaście lat temu?

Po prostu wiedziałam.

— Kelly! — krzyknęłam, chociaż wiedziałam, że nie może mnie usłyszeć. — Idę do ciebie! — I zaczęłam przepychać się przez tłum w górę po drewnianych schodach w pogoni za córką. Moje nogi - nie mogłam ich zatrzymać. Niosły mnie po tych schodach szybciej, niż zdarzyło mi się kiedykolwiek poruszać.

— Kelly! Idę do ciebie!

— Supermamo! — usłyszałam jej głos odbijający się echem gdzieś nad głową. Schody zdawały się nie mieć końca. W każdej chwili mogliśmy wejść w chmury. Cała konstrukcja trzeszczała i klekotała jakby w czasie trzęsienia ziemi. Zadarłam głowę i zobaczyłam, że wspinam się po drewnianych schodach układających się w kształt plastra miodu, z poprzecznymi i ukośnymi belkami podpierającymi drewniane tory, które prowadziły w górę i w dół. Znaleźliśmy się w brzuchu kolejki górskiej Bitwa pod Bunker Hill.

— Supermamo! — ten krzyk dobiegł z dołu, gdzie Jimmy Nelson świszczał, sapał i robił się niepokojąco zielony.

— Idź dalej! — krzyknęłam do niego. — Nie mogę ci pomóc! — Odwróciłam się. Kelly i jej porywacz dotarli już do szczytu klatki schodowej i wspinali się na platformę. Szłam dalej.

Kiedy dotarłam do platformy, podciągnęłam się i rozejrzałam dookoła. Znalazłam się dość wysoko, mniej więcej w połowie trasy, i wiał gwałtowny wiatr. W dole migotały światła wesołego miasteczka. To była jedna z małych platform dla obsługi umieszczonych wzdłuż torów. Stała tam szklana budka z jakąś maszyną w środku, skąd pracownik mógł kontrolować przebieg przejazdu. Ale wydawała się pusta.

— Supermamo! — Barczysty ochroniarz trzymał Kelly, która wiała się i wyrywała z jego uchwytu. Rozpoznałam w nim koleżkę Lexa z dnia otwarcia parku, kiedy uratowałam małą dziewczynkę na kładce.

— Puść ją! — Ruszyłam w ich stronę.

— Znowu prześladowiesz niewinne dzieci, co? — Służalczy głos zatrzymał mnie w miejscu. — Myślałaś, że jesteś taka sprytna, Supermamo, prawda? — Lex Osborne otworzył drzwi budki i wykuśtykał na zewnątrz już bez kul.

— Wypuść dziewczynkę, Lex.

— Chronię ją, żeby nie wpadła w drapieżne szpony Supermamy. Nie zrobię jej krzywdy. To o ciebie mi chodzi, a nie o któregoś z tych niewinnych nastolatków, których przekonałaś, żeby się za ciebie przebrali. Myślałaś, że mnie nabierzesz? Mnie? Właśnie mnie?

— Nie, Lex — uśmiechnęłam się po macierzyńsku, słodko. — Wcale nie. Wyżej cię cenię. — Spojrzałam kątem oka, Jimmy prawie dotarł do podestu i gmerał przy swoim magnetofonie. — W końcu ty byłeś mózgiem całej operacji. Operacji „Pokusa”. Prawda?

— Oczywiście. Myślisz, że Cobblepot sam by to wymyślił? — Lex pokuśtykał w moją stronę, wiatr rozwiewał jego siwe włosy, tak że wyglądały, jakby żyły własnym życiem.

— Ale miał pieniądze.

— Ludzie z pieniędzmi są głupi. Głupi, ale niezbędni.

— Ale dlaczego, Lex? Po co komunikat podprogowy? Nie mogłeś po prostu zrobić pieniędzy na oralsulinie jako inwestor?

— Typowa kobieta. — Potrząsnął głową. — Zawsze myślicie w mikroskali.

— Typowy mężczyzna — odparowałam. — Zawsze przejmujecie się rozmiarem.

Rzucił mi wściekłe spojrzenie. W oddali zobaczyłam wagoniki kolejki górskiej zjeżdżające w dół. Lex pokuśtykał z powrotem do budki i przestawił kilka dźwigni. W tym czasie spokojnie wycofałam się bliżej miejsca, gdzie Jimmy siedział tuż poza zasięgiem ich wzroku. Nie spuszczałam wzroku z Kelly i jej prześladowcy. W oczach miała lęk, ale obserwowała każdy mój ruch. Miałam wrażenie, że gdybym nagle znikła, ona znikłaby ze mną. Ale zdobyła się na uśmiezek. Uśmiechnęłam się do niej, udając odwagę, której nie czułam, po czym syknęłam w stronę Jimmy'ego przykucniętego obok platformy.

— Nagrywasz to?

— Tak — wysapał.

— Okej, trzymaj się blisko mnie, choćby nie wiem co.

—Ale...

Wyprostowałam się. Pusty wagonik kolejki powoli wjechał i zatrzymał się przy platformie.

— Wsiadaj — warknął Lex. Osobnik z niedoczynnością tarczycy wpakował Kelly do jednego z wagoników. Rzuciłam jej spojrzenie i zapięłam pasy.

—Co?

— Po prostu wsiadaj. Już. — Wyszedł z budki. I wtedy zauważyłam pistolet.

— Dobrze. — Byłam zaskoczona, słysząc, jak spokojnie i czysto brzmiał mój głos. — Co tylko zechcesz, Lex. — Ustawiłam się mię dzy nim a Kelly. — Tylko nie strzelaj. — Ale on chwycił mnie za ramię i wepchnął do pierwszego wagonika, po czym sam usiadł na siedzeniu obok. Kiedy ruszaliśmy, zauważyłam, że Jimmy'emu udało się wtłoczyć na ostatnie siedzenie. — To co, dokąd jedziemy?

— Zobaczysz. — Lex patrzył przed siebie z rozbawionym wyrazem twarzy, kiedy wjeżdżaliśmy na drugie wzniesienie. Najwyraźniej jazda kolejką sprawiała mu przyjemność. Żałowałam, że nie mogę się nią cieszyć jak on. Ale było to raczej trudne, z uwagi na pistolet, który wbijał mi się w bok, pistolet, którego spust pieściły palce Lexa.

Przełknęłam ślinę, ale nie byłam na tyle przerażona, żeby nie zapiąć pasów.

— Dlaczego to robisz? Może byś wypuścił dziewczynkę? — zawołałam do Lexa, przekrzykując turkot kolejki, która wspinała się w górę po drewnianych torach.

— Nie przejmuj się. Nie zamierzam nikogo zabić, nie z moją reputacją. Oczywiście z wyjątkiem poszukiwanej zboczonej wariatki, która została przyłapaną, gdy wywabiała to biedne niewinne dziecko z wesołego miasteczka.

— Kto mógłby coś takiego zrobić?

— Właśnie ty. Taki ktoś jak ty.

— Ooooch...

Nagle wrzasnął się na cały głos, cienko jak mała dziewczynka. Kolejka zaczęła zjeżdżać w dół.

— Iiiijjaaaa! — Oboje darliśmy się i wrzeszczeliśmy, nie mogłam się powstrzymać. Przypomniało mi to dziką jazdę z Kevinem Stantonem, byłam w pułapce, w sytuacji, nad którą nie panowałam, pędząc w kierunku nieznanego przeznaczenia z niebezpiecznym mężczyzną u boku. Zerknęłam na Leksa, który kręcił się i kiwał, a wiatr smagał mnie po twarzy, wyciskając łzy. Jego wielka siwa głowa była jedną groteskową maską chorobliwej radości.

Wjechaliśmy na ostatnie wzniesienie wtłoczeni w oparcie, tak że nie widziałam, co jest przed nami. W końcu zaczęliśmy zjeżdżać w dół, wrzeszcząc z całych sił, pędząc prosto do piekła.

Jednak wagonik zwolnił, ostatecznie nie dotarliśmy do piekła. Dojeżdżaliśmy do przystanku na końcu trasy, obleganego przez niewinnych ludzi czekających w kolejce. Pacholek Leksa wywłókł Kelly z wagonika. Mogłam policzyć wszystkie miedziane piegi na jej bladej twarzy. Wtedy Lex wyciągnął mnie i objął ramieniem, jakbyśmy byli najlepszymi przyjaciółmi. Jeśli pominąć zimny twardy pistolet, który przyciskał do moich pleców pod osłoną peleryny. Jimmy nadal leżał rozciągnięty w poprzek podłogi swojego wagonika, zieleń na jego twarzy przechodziła w jaskrawą żółć.

— Teraz bądź cicho. Ani słowa, to wypuszczę dziewczynkę. Nie zrób mi tu sceny — warknął mi do ucha Lex, przepychając się przez ciżbę. — Nie przynieś mi wstydu.

— Coś ty powiedział? — Stałam.

Lex pomachał w stronę zaskoczonego tłumu i się uśmiechnął.

— Nie bójcie się ludzie, nie martwcie się. Całkowicie panuję nad sytuacją! Schwyciłem Supermamę, która próbowała wywabić to niewinne dziecko z parku. W końcu doprowadzę tę zboczoną kobietę przed oblicze sprawiedliwości! — Jego głos zniżył się do poziomu syku. — Powiedziałem, nie przynoś mi wstydu.

— Mam nie przynosić ci wstydu? — W moim mózgu włączyły się dzwonki alarmowe, przed oczami zawirowały mi czerwone plamy. — Nie przynosić wstydu? Tobie? — Zadrzały mi nozdrza. Tupnęłam w ziemię jak byk. Rozżarzony do białości płomień zasilony piętnastoma latami upokorzeń wybuchł z wściekłością, która wykluczała zrozumienie, co znaczy zimna stal wbijająca się w moje ciało. — Nikt nie będzie tak do mnie mówić. Nigdy więcej! Chcesz wstydu?

Chcesz? Tak? Dobrze, Lex, co powiesz na to? — Okręciłam się na pięcie, podniosłam prawą rękę.

Ale zanim zdążyłam ruszyć palcem, muzyka, którą nadawano przez głośniki, zatrzymała się ze zgrzytem. Znajomy głos wymamrotał: Próba mikrofonu, próba mikrofonu. Rozgłośnia Supermamy nadaje! Wtedy wciął się głos drugiego chłopca: Jesteś na antenie, jełopie!

Po czym jeszcze inny głos, ciepły, męski, poważny, przerwał im: Dość tego, chłopcy.

Carl. I Greg, geniusz audio. Pomagają Martinowi. Zaufaj mi, powiedział. Byłam taka zadowolona, że mu zaufałam!

I Patriotyczny Park Zakładów Nowy Kosmos otrzymał porcję reklamy podprogowej, a wszystko dzięki uprzejmości Leksa Osborne'a, który stał nieruchomo z twarzą równie białą jak jego włosy i słuchał głosów z entuzjazmem przemawiających przez głośniki:

Jedz Patriotyczne Lizaki. Marzysz o Patriotycznych Lizakach. Mmmmm. Chrupiące, słodkie. Ślinka ci leci. Jedz Patriotyczne Lizaki.

— Jak ty to...? — Ledwie mógł wydobyć z siebie głos.

— Słyszałam je, Lex. Słyszałam głosy w grze wideo. I słyszałam, jak rozmawiałeś z Cobblepotem przez komórkę o operacji „Pokusa”. Wiem wszystko o oralsulinie, nie mówiąc już o rozmaitych nieprawidłowościach finansowych w Zakładach Nowy Kosmos. Ja. Supermama.

— Ty dziwko. — Jego głos był zimny, wrogi. Zrobił krok do tyłu i wycelował pistolet w moją twarz. — Ty dziwko.

Kelly krzyknęła. Ludzie zaczęli zbiegać po schodach i chować się za śmietnikami. Nastolatek siedzący za sterami kolejki natychmiast zemdłał.

— To bardzo brzydkie słowo, Lex. — Spojrzałam na niego, mrużąc oczy. — Chyba będę musiała wyszorować ci buzię mydłem! — Po czym strzyknęłam płynem czyszczącym w jego pistolet i wrzuciłam go do kosza na śmieci.

— Lars! Cuddles! — wrzasnął Lex. Pojawił się jeszcze jeden spory pacholek. Ten, który trzymał Kelly, odsunął się na bok. — Brać ją!

— Cześć, chłopcy! — Zrobiłam krok w tył, kiedy ten większy, olbrzymi wiking z jasnymi włosami, założyłam, że to właśnie był Lars, podszedł w moją stronę. Przystanął, żeby wytrzeć ślinę, która ciekła mu po brodzie, po czym rzucił się na mnie.

— Uff! — Uderzyłam brodą w drewniany peron i przygryzłam język. Łzy stanęły mi w oczach, ale zdołałam trafić w te jego szwedzkie kulki moimi nowymi, ostro zakończonymi obcasami.

— Chooo leera jjaasnaa! — wrzasnął Lars, turlając się po podłodze.

— Na drugi raz wkładaj ochraniacz, dobrze, Lars? I powinieneś wiedzieć, że kobiety się nie bije. Gdzieś ty się wychowywał, wśród wilków?

Usłyszałam gardłowy chichot. Odwróciłam się i stanęłam twarzą w twarz z Cuddlesem, który szczerzył się w uśmiechu, demonstrując masę krzywych szerniałych zębów.

— Czyżbyś nie używał nitki dentystycznej? — Pokręciłam głową i rzuciłam mu pudełeczko z nitką. — To niedobrze. Wizyta u stomatologa dwa razy w roku, mój chłopcze. Pamiętaj, zadbaj o swoje zęby, bo cię opuszczą!

Cuddles gapił się tępo na nitkę dentystyczną, wyciągając ją z pudełka, aż uzyskał całkiem długą linę, po czym spróbował obwiązać ją wokół mojej szyi.

— Głupia nitka — sapnęłam, dławiąc się ze łzami w oczach.

Wiłam się, łapałam oddech, wrywałam, nitka wrzynała mi się w szyję, wyciskając ze mnie oddech, a Cuddles śmiał mi się w twarz, aż w końcu nie byłam pewna, co mnie szybciej zabije, nitka dentystyczna czy potworny fetor z jego ust. Kiedy już myślałam, że stracę przytomność, udało mi się wbić obcas w jego kolano. Okręciłam się wokół własnej osi i strzeliłam mu prosto w oczy starym dobrym płynem do czyszczenia.

— Aaarrgh! Aaarrgh! Pali! Pali! — Opadł na podłogę i zakrył twarz.

— Nie trzyj, to tylko pogarsza podrażnienie — powiedziałam. Obok Cuddlesa Lars dalej trzymał się za krocze i jęczał.

— Dobrze. — Zatarłam ręce. — Teraz jesteśmy tylko ty i ja, Lex. Więc jak będzie, pójdiesz spokojnie?

— Pójdę dokąd? — Wyglądał na dziwnie zadowolonego, zważywszy, że jego dwaj siepacze wili się z bólu u moich stóp.

— Do więzienia.

-Ja nigdzie nie idę. Natomiast ty dla odmiany...

Nagle po schodach wbiegli komisarz policji Borden i kilku sierżantów z wycelowaną we mnie bronią.

— W porządku, Supermamo. Nie utrudniaj pracy policji, a nic złego się nie stanie.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Mamy nakaz aresztowania. Za znieważenie małego Jamiego Flugala.

— Ten kompletny dupek — mruknęłam. — Niech pan posłucha, nie zrobiłam temu dziecku nic złego. Zresztą mamy tu większą rybę do złowienia, komisarzu. Nie słyszał pan głosów? — Wskazałam głośnik, z którego nadal dochodził entuzjastyczny szept o Patriotycznych Lizakach. — To reklamy podprogowe umieszczone w ścieżce dźwiękowej gry Amerykańska sprawiedliwości — Borden wyglądał na zaskoczonego, spoglądał to na Leksa, to na mnie. — Czy muszę to panu przeliterować? Ten człowiek jest odpowiedzialny za chorobę setek dzieci!

Lex przygładził włosy i skierował w stronę policjantów swój sprawdzony ośliży uśmiech.

— Panie komisarzu, komu pan uwierzy? Tej zboczonej, cierpiącej na urojenia osobie, która napada na małe dzieci? Czy mnie? Milionerowi, który sam do wszystkiego doszedł, zatrudniającemu tysiące wspaniałych, uczciwych obywateli Astro Parku?

— Nie, uwierzcie mnie. Musicie mi uwierzyć. — Odwróciłam się w stronę sierżantów, którzy opuścili broń i patrzyli na Bordena.

— Przykro mi, Supermamo. — Borden ze smutkiem potrząsnął głową. — Naprawdę robię to z przykrością, ale musimy chronić nasze dzieci.

— Przecież to właśnie próbuję zrobić! — Zbliżyłam się krok w jego stronę. Popatrzył na mnie błagalnym wzrokiem, a potem wycelował we mnie pistolet.

— Przykro mi, Supermamo. Naprawdę mi przykro.

— No, dobrze — westchnęłam, podnosząc ramiona. Jeden z oficerów podszedł, trzymając kajdanki. — Rozumiem. Nie chciałam tego robić, ale... — po czym wytrąciłam wszystkim rewolwery... raz, dwa, trzy... gwałtownym strzałem płynu do czyszczenia. Następnie podeszłam i każdego z nich przytrzymałam mocą Bezlitosnego Spojrzenia. — No proszę. Wszyscy trzej. Powinniście się wstydić, jak mogliście mi nie uwierzyć? Bardzo mnie zawiedliście. Jedyłą odpowiednią karą, jaka przychodzi mi do głowy, jest postawić was do kąta, od razu, żebyście mogli zastanowić się nad tym, co właśnie zrobiliście. Po prostu to sobie przemyślcie. Wierzcie mi, mnie samą boli to bardziej niż was. Proszę bardzo, do kąta! Ale już! — Moja pierś zaczęła wibrować i z gardła wydobył się potężny ryk: — DO SUPERKĄTA MARSZ!

Policjanci rozpierzchli się do kątów jak myszki. Stali twarzami do ściany. Jeden zaczął pociągać nosem.

— A teraz — podeszłam do Leksa, który aż zjeżył się z wściekłości — chciałabym, żebyś się przyznał. Jest tu ktoś, kto chętnie wysłucha twojej historii. Jimmy! Chodź tu!

Jimmy Nelson wysiadł ociężale z kolejki górskiej, jego twarz odzyskała już niemal swój normalny kolor krochmalu. Po zlustrowaniu placu boju — Lars i Cuddles wili się na podłodze, trzech policjanci stali w kątach, Lex drżał, stojąc przede mną bez słów — Jimmy wykrzywił swoje rybie usta w szerokim uśmiechu.

— Aaaa. Dobra robota, Supermamo! Co za baba!

— Tylko sprawdź, czy mikrofon włączony.

Kiwnął głową.

Odwróciłam się do Leksa.

— A teraz, czy przyznasz się bez grymasów? Czy mam ci umyć buzię mydłem? — Sięgnęłam do fartucha i wyciągnęłam moje nowe Antybakteryjne Mydło Prawdy.

— Nie przyznaję się do niczego! — Lex w końcu był w stanie krzyknąć.

— Dobrze więc. — Skoczyłam w jego stronę, chcąc złapać go za te siwe włosy i wsadzić mu kostkę mydła do ust. Ale on znowu wrzasnął wysokim tonem —

tak samo jak w kolejce górskiej — i odskoczył, po czym przebiegł przez tory na drugą stronę wagonika. Skoczyłam za nim i zaczęłam gonić go wokół wagonika. Biegaliśmy tak w koło, jakbyśmy grali w jakąś dziecięcą grę.

Wtedy nagle głosy umilkły i z głośników popłynęła muzyka. Muzyka cyrkowa dla dzieci. Natychmiast rozpoznałam melodię, piosenkę, którą śpiewałam swoim dzieciom, gdy były małe.

Mknie w powietrzu z największą łatwością...

— Nie! — krzyknęłam porażona strasznym wspomnieniem. To się już kiedyś zdarzyło, stało się coś złego.

Poczułam, że z każdą nutą piosenki coraz bardziej słabnę. Ręce mi się trzęsły, wszystko wokół mnie zrobiło się szare i niewyraźne. Lex spoglądał na mnie z zaskoczeniem, teraz bezbarwny w moich oczach.

Opadłam na kolana, przygięta do ziemi ciężarem przeszłości, swoich wspomnień. Trzyletni Martin płaczący w łódeczku, że „słońce zgasło”. Sześcioletnia Kelly, uparcie trzymająca mnie za rękę całą drogę do szkoły łapką lepka od masy orzechowego. Martin i Kelly w dzień Bożego Narodzenia śpiący pod choinką jak cenne prezenty, którymi przecież byli.

Martin i Kelly, młodzi, czuli, słodcy, sepleniący, szczerbaci, z potarganymi włoskami — mamusiu, mamusiu, mamusiu, kocham cię, jesteś mi potrzebna, gdzie jesteś, przyjdź po mnie, mamusiu, mamusiu, mamusiu...

Upadłam na tory kolejki i patrzyłam w górę na Leksa, na Jimmy'ego, na gromadzący się tłum rozmazanych twarzy. Czułam, że noc ze wszystkimi kolorowymi światłami wiruje wokół mnie, i było tak jak pierwszego dnia, kiedy przydarzył mi się Straszny Wypadek ze Swifferem i zemdlalam obok toalety. Pamiętałam stokrotki z tapety tańczące dokoła i śpiewające tę piosenkę. Czułam nawet te same opary: pomarańczę, chlor i amoniak, i swiffera. Chyba przeciekałam — zewsząd — płyn i moc wyciekały ze mnie wszystkimi porami.

Próbowałam się poruszyć, ale przygwoździło mnie do ziemi coś, czego nie widziałam, ale mogłam wyczuć: wszechogarniający smutek, że moje dzieci już nigdy nie będą takie małe, delikatne i doskonałe. Podniosłam prawą rękę i próbowałam wycelować nią w Leksa, ale opadła zwiotczała i bezwładna, kapnęła z niej tylko odrobina płynu.

— Aha! — powiedział Lex, tylko brzmiało to wolno i niewyraźnie, jakbym była pod wodą. — A więc Supermama ma jednak słabość!

— Coś takiego, coś jakby kryptonit. — Usłyszałam, że Jimmy mamrocze ze łzami w oczach.

Odwróciłam głowę. Teraz mogłam rozróżnić twarze w tłumie. Zwłaszcza dwie twarze — Kelly i Martina. Kelly była taka piękna, miała jedwabiste włosy i spokojne szare oczy, pewne i jakby nieco znużone spojrzenie. Martin był przystojny, niezdarny, włosy opadały mu na czoło, więc ledwie było widać jego oczy, ale jego twarz zdradzała brak pewności siebie, wyrażała pytania, które niósł ze sobą wszędzie tam, dokąd szedł: Czy tu jest moje miejsce? Czy chcą mnie tutaj? Czego ode mnie oczekują?

Moje dzieci. Moje piękne dzieci.

Mknie w powietrzu z największą łatwością ten dzielny młodzieniec na trapezie...

Lex zaczął odwracać się w zwolnionym tempie. Jego usta się poruszały, ale nie słyszałam, co mówił. Drewniane tory pod moją głową zadudniły. Usłyszałam krzyk Jimmy'ego „Niieeeeeee...”, gdy Lex odepchnął go na bok.

I wtedy rozpoznałam inne twarze w tłumie. Chrissie. Susie Faber. Brian Ferguson. Wszystkie te niewinne dzieci już na zawsze chore z winy tego człowieka.

— Pamiętaj o dzieciach... — wyszeptałam, przeturlałam się i podniosłam na rękach, które tak bardzo się trzęsły, że znowu upadłam. Rumor, wibracje pod moją głową stawały się coraz głośniejsze i głośniejsze... Ludzie biegli w moją stronę, ale kiedy podniosłam głowę, zobaczyłam, że będzie za późno. Następna kolejka, pełna dzieci, pędziła w dół po ostatnim zjeździe prosto na mnie. Zaczęła zwalniać przed peronem, ale nie dość szybko. Nie mogła się zatrzymać. Sturlałam się z torów i od razu zrozumiałam, że uderzy w pusty wagonik, który stał przy peronie.

— Supermamo! Ty dziwko! — wrzeszczał Lex, miotając się siny z wściekłości. — Jesteś skończona! Skończona! Nikt mnie nie tknie! Nikt nie tknie Leksy Osborne'a! To miasto jest moje, słyszysz mnie? Pieprzyć dzieci! Drogie, najdroższe dzieci!

I wtedy coś gorącego zapłonęło mi w żyłach, podparło mój galaretowaty kręgosłup i szum słusznego gniewu tak wypełnił mi uszy, że nie słyszałam już tej metalicznie brzmiącej melodii. Przestałam myśleć o przeszłości i mocno skupiłam się na przyszłości.

Kelly i Martin byli pięknymi nastolatkami. Byli pięknymi dziećmi. Będą pięknymi dorosłymi.

Miałam teraz więcej do zrobienia, niż tylko ścigać wspomnienia po chodniku wyłożonym smutkiem i żalem. Musiałam ścigać złoczyńców i chronić dzieci.

Byłam Supermamą.

— NIEEE! — Supermamozmysł wibrował, wypełniał mi pierś, sprawił, że wydobyłam z gardła potężny ryk. Poszłam za jego wezwaniem, zrywając się na równe nogi i celując w nadjeżdżającą kolejkę. Łaskocząc i musując, płyn czyszczący wydobył się z obu moich rąk, łącząc się w jeden ogromny strumień, który miał dosyć mocy, aby zatrzymać kolejkę pełną niewinnych dzieci dosłownie parę centymetrów przed uderzeniem w zaparkowane wagoniki. I wtedy, silniejsza i wyposażona w większą moc niż kiedykolwiek przedtem, odwróciłam się w stronę Leksa.

— To za Chrissie — powiedziałam, chwytając go za ucho. — To za Susie. — Wetknęłam mu mydło w usta. — A to za Briana. — Szorowałam energicznie. — Za Sarę, Kevina, Scotta! — Wyciągnęłam mydło. Lex bełkotał, dusił się i dławił. Powlokłam go przez peron. — Robisz teraz zdjęcia? — zapytałam zaskoczonego Jimmy'ego, po czym pociągnęłam Leksa do kąta, w którym stał komisarz policji Borden.

— Teraz mu powiedz. Wszystko.

—Ja... ja... my... my... — I opowiedział. Pluł, warczał i płakał, ale powiedział o wszystkim. O komunikatach podprogowych, o Patriotycznych Lizakach, o oralsulinie, o łapówkach od firmy Moulton Pharmaceuticals. Kiedy już skończył, opadł na podłogę, spieniona namydlona i trzęsąca się masa zawdzięczającej wszystko sobie wredoty.

Komisarz policji Borden stał dalej z nosem w kącie.

— Może pan wyjść — odezwałam się łagodnie. Zwiesił głowę.

— Och, Supermamo, przepraszam. — Po czym zebrał się w sobie i sięgnął po kajdanki, chwytając Leksa za eleganckie nadgarstki.

— Ma... Supermamo! — Kelly podbiegła do mnie, a zaraz za nią Carrie, Howard i Chrissie. Stałam twarzą do nich na szeroko rozstawionych nogach, z rękoma wspartymi na biodrach. I wtedy zobaczyłam, że z tłumu wychodzi Martin, a za nim przygarbiony Greg i poważny Carl. Nasze oczy się spotkały i zrobiłam krok w jego stronę, ale wtedy poczułam, że coś ciągnie mnie za spódnicę. Spojrzałam w dół. Mała rudowłosa dziewczynka uśmiechała się do mnie, brakowało jej dwóch przednich zębów.

— Fupermamo! Fupermamo! — zasepleniła. — Upuściłaś to! — Podała mi pelerynę ze ściereczki do naczyń, z całkiem podartymi frędzlami. Pomacałam ramiona i zdjęłam klamerkę, która wisiała przyczepiona do łopocącego skrawka materiału.

— Dziękuję. — Schyliłam się, żeby wziąć pelerynę.

— Wiesz co?

—Co?

— Chcę być taka fama jak ty, kiedy dorofnę!

— Naprawdę? — Pokiwałam głową. — W takim razie myślę, że możesz ją zatrzymać. — Przypięłam małej pelerynę, jej oczy zrobiły się ogromne.

— Nie potfebujef jej? — wyszeptała.

— Myślę, że wiem, gdzie dostanę inną. — Uśmiechnęłam się i spojrzałam na Carla.

Ale jego już nie było.

— Mowa! Mowa! — Howard cisnął na ziemię buty na obcasach i rzucił perukę w powietrze.

— Mowa! Mowa! — Carrie, Chrissie, Martin i Kelly mu zawtórowali.

—Ja... eee... to znaczy, cóż, dziękuję. — Popatrzyłam w niebo, bo tylko coś tak wielkiego i zmiennego mogło wskazać mi potrzebne słowa. Słowa zdolne wyrazić to, co w tej chwili czułam. Ale gwiazdy zamrugały porozumiewawczo: takie słowa nie istniały. Musiałam więc zadowolić się podstawowym zestawem

dla superbohaterów. — Ja... ee... przyrzekam obywatelom Astro Parku, że wszystkie dzieci będą bezpieczne, każda ławka w parku czysta, a każdy człowiek knujący przeciw dzieciom — tu kopnęłam Leksa leżącego na ziemi — znajdzie się za kratami. A teraz idźcie, ludziska, i bawcie się dobrze! A kiedy wrócicie do domu, szorujcie zęby, sprzątajcie w swoich pokojach i słuchajcie matek! — Zsalutowałam energicznie. Następnie zabandażowałam kilka zadrapań i złożyłam wiele autografów.

— Popatrz tu! — zawołał Jimmy, podnosząc aparat. Odwróciłam się, postawiłam stopę w szpilce na brzuchu Leksa i przyglądałam włosy. — Powiedz... powiedz...

— Sprzątanie w alejce czwartej! — zawołał Martin. Uśmiechnęłam się.

Błysnął flesz.

Rozdział 24

Szczerście dla Supermamy mieszkańcy Astro Parku byli tak wdzięczni, że zdołała zmusić firmę Moulton Pharmaceuticals, by zapewniła ich dzieciom darmową oralsulinę do końca życia, iż prawie jej wybaczyli utratę pracy przez powolę miasta. Po wtrąceniu Leksa do więzienia Nowy Komos zamknięto, a Patty i Harry sprzedali dom, po czym wyprowadzili się do innego stanu. Co stworzyło wakat na stanowisku przewodniczącej SPD, więcej niż chętnie zajęty przez Carrie.

Cobblepot zniknął w górach Japonii. Pojawiła się plotka, że wstąpił do buddyjskiego klasztoru, zostawiając biedną Lolly z zapasem mrożonych obiadów wystarczającym do końca życia i pudłami, które nigdy nie zostaną rozpakowane.

Na szczęście wszystkie zarzuty przeciw Supermamie upadły. Okazało się, że Jamie Flugal, kompletny dupek, też był diabetykiem. Jego rodzice, uradowani z darmowej oralsuliny, uznali za możliwe, że syn mógł minąć się z prawdą. I nagle wszyscy zaczęli zmieniać zdanie na temat wydarzeń przed szkołą tamtego popołudnia. A kiedy Martin któregoś dnia wrócił ze szkoły spóźniony, z urwanym kołnierzem od kurtki, skorzystałam z rad córki i nie powiedziałam ani słowa.

Gdy jednak następnego dnia zjawił się w takim samym stanie, tylko zwawy i z szerokim uśmiechem, nie mogłam milczeć.

— I co?

— Z czym? — Odgarnął włosy z oczu, odsłaniając solidnie podbite oko.

— Martin!

— Nie martw się — oznajmił z szerokim uśmiechem. — Jamie Flugal wygląda gorzej.

— A więc dobrze — orzekłam, też się uśmiechając. Bo nawet chore dziecko może być kompletnym dupkiem.

TYLKO U NAS! SUPERMAMA OBALA IMPERIUM ZŁA!

Autor: Jimmy Nelson, korespondent.

— Fúj! Co za ohydne zdjęcie! Brzuch mi trochę wystaje... i popatrz, chyba robi mi się podwójny podbródek!

— Och, mamó. — Kelly westchnęła. — Mówisz zupełnie jak babcia.

— Wyszoruj usta mydłem, młoda damo!

— Zmuś mnie.

— Wiesz, mogłabym.

— Tak. — Uśmiechnęła się. — Wiem.

Wstała, żeby odstawić szklanę i kolejna gazeta, „Astro Daily World” otwarta na stronie trzeciej, upadła na podłogę. Kelly się zaczerwieniła, gdy ją podniosłam i przeczytałam wydrukowane wielką czcionką ogłoszenie.

„Do rodziców i dzieci z klasy pani Flynn, rocznik 1998, od doktora Dana Lee, dermatologa. Przepraszam za uraz, który mogłem spowodować, przez nieuwagę dając mojej ówczesnej żonie niewłaściwą kasetę wideo, przeznaczoną na Dzień Orientacji Zawodowej. Nie z jej winy klasa obejrzała fragment filmu dla dorosłych przedstawiający mnie i moją obecną żonę, nakręcony ze smakiem, dużym nakładem środków. Przepraszam też moją byłą żonę za nieprzyjemności, jakie to mogło spowodować, i chciałbym podkreślić, że nie z jej winy doszło do pomyłki”.

— O tak — powiedziałam. Potem przyjrzałam się Kelly, która obgryzała paznokiec. — Dobrze się czujesz, kochanie?

Kiwnęła głową.

— Tak, rozmawiał ze mną o tym. Czemu cały czas go kryłaś?

— Ponieważ byłam idiotką — odparłam bez ogródek. — Okej? Oboje ponosimy winę za to, co się stało, nie jedno z nas, ale oboje. Długo trwało, zanim to zrozumiałam.

— Tata, Harry... mężczyźni. — Kelly cmoknęła. — Nigdy nie wyjdę za mąż.

— Nie mów tak, kochanie. Nigdy tak nie mów. Są na świecie dobrzy mężczyźni. — Potem spojrzałam na swoje ręce i westchnęłam.

— Mamo. Po prostu mu powiedz. Przecież chcesz.

Uśmiechnęłam się i założyłam jej kosmyk włosów za ucho. A potem pozwoliłam, żeby przygotowała dla mnie lunch.

— Naprawiłem ci obcas — oznajmił Martin, wchodząc do kuchni z moim butem w jednej ręce i tubką superkleju w drugiej. — Teraz powinien trzymać.

— Pneumatyczne podeszwy były genialne, wiesz? — Uśmiechnął się szeroko.

Chwilę później usłyszeliśmy łomot przy drzwiach. Kelly wyjrzała przez kuchenne okno.

— Co to było? Widziałam na dworze taką smugę czerwieni.

Martin i ja spojrzeliśmy na siebie, a potem pognaliśmy do drzwi.

— Jest! Jest! — Podniosłam kopertę ze złotym brzeżkiem i literami „ALS” na pieczęci.

— Co to jest? — Kelly zajrzała mi przez ramię.

— Daj mi przeczytać, daj mi! — Martin podskakiwał.

— Dobrze. — Uśmiechnęłam się i odgarnęłam mu opadające włosy — Zafany adiutancie.

— „Gratulacje — przeczytał. — Z przyjemnością zawiadamiamy, że spełniła pani wszystkie wymagania konieczne do uzyskania członkostwa w ALS. Obalając imperium zła w Zakładach Nowy Kosmos i ujawniając niebezpieczną intrygę mającą na celu wywołanie choroby u dzieci w Astro Parku, udowodniła pani, że rzeczywiście jest prawdziwą superbohaterką...” Mamo! Udało ci się!

— Rzeczywiście, prawda? — Usiadłam i zamknęłam oczy. Przywykłam do bycia dumną z dzieci, ale nie z siebie. Dziwne wrażenie. Czułam się nieco winna, jakby duma była cennym artykułem, którego należy używać w małych dawkach. I jak każda dobra matka przywykłam oddawać swoją porcję dumy dzieciom.

Ale ten jeden raz pozwoliłam sobie na pełną dawkę i teraz mnie wypełniła, odżywiła, przydała skórze zdrowego rumieńca.

— „Zapraszamy panią wraz z rodziną na specjalną prezentację w Klubie DC, gdzie będzie pani miała okazję wykupić tydzień wakacji w naszej uroczej wakacyjnej siedzibie na Karaibach za niepowtarzalną jednorazową niską cenę...”

— Czy to prezentacja apartamentów wakacyjnych? — Kelly zmarszczyła brwi.

— Nie, kochanie. Teraz jestem prawdziwą superbohaterką. Członkinią Amerykańskiej Ligi Sprawiedliwości. Prawda, Martin?

Kiwnął głową.

— Ooch... zaczekaj, aż usłyszysz dalej! „Ustaliliśmy także, kto będzie pani mentorem. Po starannym rozważeniu postanowiliśmy połączyć panią w parę z jedną z naszych najbardziej uwielbianych superbohatek, kimś, kogo z pewnością nie trzeba pani przedstawiać. Z przyjemnością zawiadamiamy, że pani mentorką na następny rok zostanie nie kto inny, jak... Wonder Woman". Wonder Woman?! Wonder Woman! — Martin padł na podłogę i zaczął się tam rzucać. Kelly i ja patrzyłyśmy na niego zdumione. — Wonder Woman! Moja mama zostanie przyjaciółką Wonder Woman! Myślisz, że wpadnie na kolację? A co z urodzinami? Może zacznie do nas czasem wpadać, wiesz, tak sobie pogadać o pracy i tak dalej? Może pojedzie z nami na wakacje, jak myślisz? Może.

— Boże, Martin. Weź się w garść. — Kelly zmarszczyła piegowaty nos i po królewsku przeszła nad wijącym się bratem.

— Cóż. — Wyciągnęłam rękę i postawiłam go za nogi. — Cokolwiek się stanie, na pewno okaże się przemiałą osobą. Wonder Woman. O rany. — Zachichotałam.

— Nie mogę się doczekać, kiedy ją poznam!

— Mamo, musimy już iść! — zawołała Kelly z dołu.

—Już?

— Już! Mamy bardzo napięty plan!

— No dobrze. — Westchnęłam. Po raz ostatni podkreśliłam rzęsy, a potem przyjrzałam się sobie w lustrze.

Codziennie rano spoglądałam na swoje odbicie, spodziewając się zobaczyć superbohaterkę. Ale nie. Widziałam tylko siebie, z tą samą bladą twarzą i dużymi brązowymi oczyma, brązowymi włosami, w brązowych ciuchach. Birdie, małego strzyżyka. Małego brązowego strzyżyka. Nie superbohaterkę, po prostu kobietę.

Chociaż czasami po powrocie do domu po nocnej walce z przestępczością zdarzało mi się przejść obok lustra i poczuć zaskoczenie tym, co widziałam. Kogoś z błyszczącymi oczyma, zaciętą twarzą, policzkami płonącymi satysfakcją z odniesionego sukcesu. Amazonkę, która mogła walczyć ze wszystkim, co stanie jej na drodze, która potrafiła stworzyć porządek z chaosu, ponieść heroiczną ofiarę dla tych, którzy ją ignorowali i traktowali jako coś oczywistego.

Innymi słowy mamę, supermamę.

— Mamo! — wrzasnęła Kelly! — Musimy iść!

— Dobrze, dobrze. — Z nadzieją uśmiechnęłam się do swojego odbicia, a potem zbiegłam na dół.

— Jesteś na to gotowa? — Kelly przejechała mi szczotką po kołnierzu i wyprostowała naszyjnik.

— Nie. — Pogłodziłam ją po policzku poruszona troską.

— Trudno — rzucił Martin. — Musisz to zrobić, mamo.

— Muszę?

Moja mądra córka pokiwała głową.

— Okej — pisnęłam. — Wyglądam dobrze?

— Tak, mamo. Naprawdę.

— Będzie kompletnie cikliwie? — Martin włożył wojskową kurtkę.

— Mam nadzieję. — Uśmiechnęłam się do niego. Ależ był z niego odważny facet. Czemu wcześniej o tym nie wiedziałam?

— W takim razie... do mamamobilu. — Rzucił mi kluczyki i pobiegliśmy razem do poobijanego minivana, po czym odjechaliśmy. A raczej pojechaliśmy.

Do domu pewnego naukowca.

— No dobra. — Kiedy dotarliśmy, wzięłam głęboki wdech. — No dobra. — Ale się nie ruszyłam.

— Mamo, chyba nie stchórzysz, co?

— Nie, nie. Wcale nie. — Ale tak mocno chwyciłam kierownicę, że niechcący wystrzeliłam płynem czyszczącym z lewej ręki. Wciąż jeszcze nie przywykłam do dwuręczności. — Oj.

— Mamo, przestań. — Kelly wyciągnęła rękę i jeden po drugim, oderwała moje palce od kierownicy. Potem delikatnie popchnęła mnie w stronę drzwi. — Masz. — Wetknęła mi gazetę do ręki i wypchnęła na chodnik. — Tam się schowamy! — I dołączyła do Martina za wielkim iglastym krzakiem.

Zadzwoiłam. A następnie zaczęłam się oddalać.

— Widzicie? Nie ma go w domu i...

— Birdie?

Zamarłam, potem powoli się odwróciłam. W progu stał Carl w tej głupiej — pięknej — bluzie z Rockym i Bullwinkle, tej, którą miał za pierwszym razem w parku. Spojrzał na mnie, zamrugał, wreszcie się uśmiechnął.

— Nie co dzień składa mi wizytę prawdziwa superbohaterka. A może powinienem powiedzieć Supermama?

— I to, i to. — Zaczerwieniłam się i wbiłam wzrok w ziemię. Wciąż jeszcze przyzwyczajałam się do całej tej sławy, do bycia bohaterką. Ciężki chleb, szczególnie jeśli ma się metr sześćdziesiąt i było się określanym mianem „słodkiej”.

— Zawsze wiedziałem, że dasz radę. — Głos miał taki ciepły i uprzejmy, że nabrałam nadziei. Co dało mi odwagę, by jeszcze raz spojrzeć mu w oczy, ośmieliło, by uczynić pierwszy krok poza tę trudną granicę, żeby go odzyskać.

— Ja...ja... masz. — Wepchnęłam mu egzemplarz „National Enquirer”. — Czytaj.

— „Łagodna kasjerka ze spożywczego zakochana”, autor Jimmy Nelson... — Carl podniósł wzrok, ta rozkoszna zmarszczka pojawiła się na jego czole, głębo-

kie dołeczki ujęły usta w nawias. Kiwnęłam głową, nie mogąc oderwać oczu od jego twarzy.

— „Birdie Lee z Astro Parku w Kansas chciałaby poznać wszystkim, których poznała — zaczął się uśmiechać — że zakochała się w Carlu Sayersie, znajomym z SPD, naukowcu i w ogóle porządnym facecie. «Nie ma już potrzeby, by ukrywać prawdę — oświadczyła drobna kasjerka. — Kocham tego mężczyznę i mogę tylko mieć nadzieję, że odwzajemni się tym samym. A jeśli nie, będę sypiać na jego ganku, dopóki nie zrozumie, że jesteśmy sobie przeznaczeni».

To nagabywanie czy nieszczęśliwa miłość? Czy ta łagodna sprzedawczyni, matka dwójki dzieci, mogłaby zmienić się w ogarniętą obsesją prześladowczynię o nikczemnych zamiarach? Czytajcie nas, żeby poznać odpowiedź!".

— No więc — odezwałam się znów zarumieniona — to „National Enquirer”.

— Owszem. — Carl złożył gazetę i odchrząknął. — Birdie?

— Tak? — Teraz bałam się patrzeć mu w oczy, opuściła mnie cała odwaga, wyciekła przez podeszwy stóp i zostawiła mnie stojącą przed nim, niezdolną do ruchu.

— Birdie. — Poczułam dłoń na podbródku unoszącą go, unoszącą mnie, chwytającą mnie za rękę, ramiona ogarniające uściskiem, prowadzące mnie do domu.

— Och, Birdie — mruknął Carl, chwytając mnie w ramiona, gładząc moje włosy, policzek, szyję.

— Och, Carl — odmruknęłam, gdy moje usta odnalazły jego wargi i syciliśmy się sobą nawzajem. Objęłam go za szyję i trzymałam z całej siły, gdy tymczasem oboje ponownie trafiliśmy do naszego magicznego świata; znajdował się właśnie tu, na progu jego domu. I w jego salonie. Moim salonie. Na ulicy przed domem. Na parkingu przez sklepem Marvel — znakomite przekąski i napoje. Gdziekolwiek, wszędzie. Dopóki byliśmy razem, mogliśmy stworzyć prywatny księżycowy blask i zabrać go ze sobą wszędzie, dokąd szliśmy. Obojgu nam dawało to siły. Teraz to rozumiałam.

— Przebaczasz mi? — Potarłam twarzą o koszulę Carla, chłonąc jego zapach, tym razem trochę więcej wanilii niż dymu.

— Oczywiście. Nie ma tu nic do wybaczenia.

— Tato? — Odwróciliśmy się jednocześnie i stanęliśmy twarzą w twarz z Gregiem.

— Mamo? — Nadal jednym ruchem wykonaliśmy w tył zwrot do Kelly i Martina.

Kelly klasnęła w dłonie, oczy jej lśniły.

— Och, razem wyglądacie tak słodko!

Martin i Greg przewrócili oczyma i wymienili spojrzenia.

— Mamo! To już! — Martin pociągnął mnie za bluzkę.

— Och! — I wzięłam mojego ukochanego za rękę, po czym zaprowadziłam na podwórze przed domem.

— Patrz — odezwał się Greg, pokazując coś.

— Na niebie! — krzyknął Martin.

— To ptak — powiedziała Kelly. — Samolot! To...

— Niemożliwe! — Carl spojrział na mnie szeroko otwartymi i pełnymi podniecenia oczyma małego chłopca. — Nie ma mowy! Niemożliwe!

— Ależ tak. — Objęłam go ramieniem i spojrzałam w niebo...

Gdzie w białych pióropuszech pojawiły się słowa BIRDIE KOCHA CARLA wypisywane szybciej, niż leci pocisk.

— Jak... jak...

— To premia. Wyłącznie dla członków Amerykańskiej Ligi Sprawiedliwości.
— Uśmiechnęłam się zadowolona z siebie. — Obskakuje też przyjęcia urodzinowe.

Nagle przeleciała nad nami czerwono-żółto-niebieska smuga, beztrąsko unosząc rękę w pozdrowieniu.

— Dzięki, Supermanie! — zawołałam.

— Nie ma sprawy, Supermamo! — Jego słowa powróciły echem, kiedy odlatywał, jednym susem przeskakując trzy wysokie budynki.

Na ulicy zatrzymywały się samochody, ludzie wysiadali i spoglądali w niebo, czytając naszą wiadomość, naszą deklarację, odkrywając naszą miłość.

— Dobra! — zawołał jakiś głos.

— Salut dla Carla i Birdie — huknął ktoś inny.

— Salut dla Supermamy — szepnął mi do ucha Carl.

Wkrótce wszystkie przejeżdżające samochody dźwiękiem klaksonów wyrażały swoją aprobatę. Carl i ja staliśmy tam, trzymając się za ręce, z szerokimi nie-mądrymi uśmiechami, gdy tymczasem Kelly szalała wokół nas, klaszcząc, a Martin i Greg krzywili się na dwóch przeciwległych końcach werandy.

I wreszcie wiedziałam, jak to jest śnić. Bo to był sen, prawda? Czy nie jest snem coś, za czym się tęskni, nawet o tym nie wiedząc, nawet jeżeli ktoś musi ci to pokazać palcem? I to, czy człowiek śpi, nie ma znaczenia. Najlepiej marzyć, pomyślałam, obserwując Supermana mknącego przez bezchmurne niebo i czując pewne ramię Carla wokół talii, z szeroko otwartymi oczyma.

W ten sposób można zobaczyć, jak łatwo zrealizować marzenia.

PODZIĘKOWANIA

Żaden superbohater nie potrafi wszystkiego zrobić sam i mam swoją prywatną Amerykańską Ligę Sprawiedliwości, która pomogła mi w pełni użyć posiadanych supersił.

Serdeczne podziękowania dla Laury Langlie, której szacunek i namiętny stosunek do pisarzy i pisania oraz wiara we mnie pomogły mi przetrwać ciężkie czasy; dla Laurie Chittenden za dostrzeżenie możliwości i zrealizowanie jej, a także dla Eriki Kahn za cierpliwość i pomoc. Chcę również podziękować Mike'owi Millerowi, bratu i chodzącej encyklopedii superbohaterów, Markowi oraz Stephanie Miller, mojemu bratu i bratowej, za entuzjazm i wsparcie, mojej mamie Pat Miller za wprowadzenie mnie do świata książek oraz mojemu ojcu Normanowi Millerowi za to, że nauczył mnie cenić ciężką pracę. Podziękowania dla Joyce Greening za ożywienie kostiumu Supermamy. Mam szczęście znać wielu autorów, których wsparcie okazało się bezcenne, ale szczególnie dziękuję Davidowi Kedsonowi za przyjaźń i pomoc wykraczające daleko poza głos obowiązku oraz Nicole Hayes — najlepszej partnerce, najlepszej przyjaciółce, jaką autor może mieć. No i specjalne dla Lori Bales, która wcześniej niż ja wiedziała, że jestem pisarką: „No dobra, panno Mądralińska, miałaś rację”.

I wreszcie dla tych wcale nie najmniej ważnych: Dennisa Hausera, Aleca Hausera i Bena Hausera. Komu potrzebny lokaj, kiedy mam pod ręką was, chłopaki?

O AUTORCE

Dawna członkini SPD Melanie Lynne Hauser jest prototypem Supermamy. Mieszka w pobliżu Chicago w stanie Illinois z mężem i dwoma nastoletnimi synami. Wyznania Supermamy to jej pierwsza powieść. Zapraszamy do odwiedzenia jej strony www.melanielynnehauser.com

TLR